

Jarosław Wanecki

ANTRAKTY



Książnica Płocka

Jarosław Wanecki

ANTRAKTY

Płock 2018

Jarosław Wanecki
ANTRAKTY

Copyright © Książnica Płocka

Korekta
Katarzyna Góralska

Opracowanie graficzne i skład
Magdalena Gałat

Zdjęcia

Marek Konarski (okładka), Agnieszka Czerska-Czyż – rekonstrukcja historyczna
(okładka 2 – wizerunek Oliwiera Zalewskiego za zgodą Rodziców), Patryk Maślankowski (255)

Autor nieznany – Karol Wojtyła w spektaklu *Kawaler księżycowy* (110)
archiwum prywatne (100, 176, 184 – na zdjęciu Jakub Perlak, Adrian Pech)

Plakaty teatralne

archiwum prywatne autora i Płockiego Towarzystwa Przyjaciół Teatru
Skanowanie – Wojciech Rybicki

Plakaty wg projektów Jarosława Waneckiego: Wojciech Rybicki (strona 30, 60, 96, 134, 164, 168, 215, 232),
Magdalena Gałat (20, 48), Piotr Chyba (58), Okładka Gazety Lekarskiej Grzegorz Sztank (76)

Maski otwierające ze zbiorów prywatnych Jarosława Waneckiego
Mól książkowy z książki Szaleństwo katalogowania Umberto Eco (36)

Kurtyny Siemiradzkiego w Krakowie i we Lwowie (68)

Maska pośmiertna Williama Szekspira (117)

Maska Teatru Witkacego w Zakopanem ze spektaklu *Dżuma* (176)

ISBN: 978-83-88028-94-6

DRUK
Mediakolor SP.J
ul. Podchorążych 11
09-407 Płock

Przedruk fragmentów artykułów za zgodą wydawców



Szczególne podziękowania za pomoc w wydaniu i organizacji Promocji



DZIECI PŁOCKA

ZYLICZ.COM



MYŚLNIK

Data urodzenia i data śmierci – dwa ciągi cyfr. Życie zapisane kreską.

Biegniemy. Wypatrujemy celu, odpoczynku i odmiany. W codziennej inscenizacji powtórzeń nie brakuje zwrotów burzących utrwalony schemat. W zależności od wieku, temperamentu i okoliczności przyjmujemy zmieniony rytm z zadowoleniem lub zmęczeniem, poczuciem spełniania albo przegranej. Czasem przydarzy się jakieś szaleństwo, innym razem depresja. Na końcu drogi pozostaje wystukiwanie sygnału z prośbą o ratunek, zanim w niebyt spadnie afisz z nazwiskiem.

miłości największej



PRZERYWNIK

TEATRO ALLA SCALA



Lucia di Lammermoor

Gaetano Donizetti

Stagione di Opera 2014 / 2015

SKALA

Przeglądając się stronie internetowej z niedowierzaniem przeczytałem cenę biletu do mediolańskiej La Scali. Uznałem, że taniej będzie dostać wejściówkę, kiedy dojeździemy na miejsce.

Teatralne przerywniki podczas wakacji, to dobry sposób na odpoczynek obejrzenie ciekawych spektakli uznanych scen i odwiedzenie sławnych teatrów. Miejsc nie tylko czarownych, ale i innych od tych, do których wступujemy na co dzień. Nie musi to być od razu zagraniczne tournée. Wystarczy wypad do sopockiego Atelier albo na Chramcówki w Zakopanem, gdzie niezależnie od pory roku podejmą nas herbatą na powitanie. Może to być festiwal lub przegląd, który łatwiej zorganizować podczas zamknięcia rodzimej sceny wśród tłumu wczasowiczów lub wielkomiejskich gości, na przykład poznańskiej Małty.

W teatrze zmienia się świat. Wchodzimy z ulicy i jeśli tylko nie robimy tego z przymusu towarzyskiego, pozostawiamy codzienność razem z przedarciem biletu w progu drzwi prowadzących na widownię.

Od wielu już lat strój galowy w teatrze praktycznie nie obowiązuje. Ludzie ubierają się różnie. Zaciera się granica wieku. Świątynie sztuki stały się plebejskie. Niesie to ze sobą także plusy: otwartość na inne środowiska, gusty i zasoby portfeli. Mimo to nie odstąpiono od elitarności premier, spektakli zamkniętych, specjalnych, sylwestrowo-noworocznych i finałowych. Wtedy ranga i strój dla fotoreporterów zaczynają odgrywać większą rolę.

Skala teatralnych możliwości jest nieograniczona. Praktycznie każda przestrzeń może zostać zamieniona w scenę. Towarzyszy temu tradycja jarmarcznych występów, jasełek, pokazów sztukmistrzów, kościelnych procesji i recytacji na głosy biblijnych fragmentów przywołujących mękę, śmierć i zmartwychwstanie Pańskie.

Przyzwyczajeni do klasycznych rozwiązań, lubimy obejrzeć coś na zamkowym dziedzińcu (*Sen nocy letniej*¹), plaży (*Słodkie lata 20, 30...*²), w kawiarni

1 Dziedziniec Muzeum Diecezjalnego w Płocku, Teatr Dramatyczny w Płocku, reż. Marek Mokrowiecki

2 Scena Letnia w Orłowie Teatru Miejskiego w Gdyni, Jan Szurmiej

(*Panopticom*³), oknie (*Szkice Ofelii*⁴), na molo (*Słodkie rodzyнки, gorzkie migdały*⁵), w amfiteatrze (*Zorba*⁶), na placu budowy (*Ofelia*⁷), w piwnicy (*Troja-n-ki*⁸), w hali sportowej (*Król swingu*⁹), na rynku i ulicach (*Malta*¹⁰), a nawet w studiu telewizyjnym (*Ja, Piotr Rivera*¹¹). Wszak trzeba się czasem wsłuchać w lament, który roznosi się na placu Konstytucji¹².

Teatr może być wszędzie, ale w teatrze jest mu zdecydowanie najwygodniej. Mimo tych wygod realizatorzy coraz chętniej albo z niego uciekają, albo go przeistaczają w taki sposób, aby została tylko niezbędna technika, reszta zaś ma tworzyć inny świat.

Teatr operowy dopiero odkrywam. Poza wielkimi głosami i orkiestrą, ważna jest w nim scenografia, monumentalność i rozmach. W dramatycznym jest skromniej – nie ma fanfaronady i przepychu, który przytłacza, zatykając dech w piersiach. Ważniejszy jest tekst i gest.

Muzyka to domena wielkich scen. Ludzie kochają muzykę zwłaszcza taką, którą znają i gra w ich głowach wspomnieniem poprzednich wykonań, aranżacji, detalami wyluskiwanych dźwięków. Na tej fali emocje jakby się wzmagają. *Brawo!* – krzyczą operowi i baletowi bywalcy. Wstają w galeriach, klaszczą po ariach, aktach i na ukłony, którym zdaje się czasem nie być końca. Bisowałem *Greka Zorbę* w Teatrze Wielkim w Łodzi dłużej niż trwał podstawowy czas spektaklu. Widownia wciąż przebierała nogami i klaskała.

Stałem w grupie studentów tłoczących się w teatralnym foyer. Była pierwsza połowa lat dziewięćdziesiątych. Na afiszu Przeglądu Szkół Teatralnych w Łodzi był krakowski spektakl spod skrzydeł objawionego świata Krystiana Lupy. Bilet nie do

3 Teatr Witkacego w Zakopanem, Andrzej Dziuk

4 Teatr w oknie, Długi Targ, Festiwal Szekspirowski w Gdańsku

5 Molo płockie, Teatr Dramatyczny w Płocku, Bogdan Kokotek

6 Amfiteatr płocki, Teatr Muzyczny w Łodzi

7 Plac budowy Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego

8 Piwnica teatralna Stowarzyszenia Per Se w Płocku

9 Orlen Arena, musical na podstawie filmu Janusza Majewskiego „Excentrycy, czyli po słonecznej stronie ulicy”

10 Festiwal Malta w Poznaniu ma zawsze bogaty program plenerowy

11 Studio TVP Wrocław, Teatr Capitol we Wrocławiu, Agata Duda-Grac

12 Teatr Polonia w Warszawie, Krystyna Janda

zdobycia. Trzeci dzwonek otworzył szpaler do drzwi na widownię, przez który wśród okrzyków szli jurorzy – reżyserzy i aktorzy. Jerzy Kawalerowicz – nie po raz pierwszy w ciągu tych lat festiwalowych spojrzeliśmy sobie w oczy – podał mi swoją wejściówkę. A ja, no cóż, przekazałem ją dziewczynie z Filmówki. Nie mogłem wejść sam, bez koleżanek i kolegów z roku...

Alicja Woy-Wojciechowska, autorka między innymi piosenek dla dzieci, nakrywała do stołu i opowiadała o córce przyjaciół, która marzyła o operze w najpiękniejszym dla tego celu postawionym gmachu w Sidney. Nie było internetu a podróż pozwalała na znalezienie jednego tylko wieczoru, aby zrealizować plan. Ale wszystkie miejsca wykupili już Japończycy. W takiej sytuacji nie ma się nic do stracenia. Dziewczyna kilka lat wcześniej na międzynarodowym obozie nauczyła się liczyć do dziesięciu w języku japońskim i tę praktyczną umiejętność teatralnie wykorzystała wobec pierwszego napotkanego szczęśliwca z biletami. Japończyk, po chwili konsternacji i dłuższej rozmowie po angielsku, wręczył pięć biletów na *Madame Butterfly*, dla całej europejskiej grupy swoich nowych przyjaciół.

Staliśmy przed metalowymi drzwiami Teatru Roma, aby obejrzeć *Upiora w operze* dwa dni po premierze. Bilety wyprzedane były na pół roku przed terminem. Godzinę wcześniej bez żadnych problemów dostaliśmy dwa miejsca, ale moja rodzina to trzy osoby, więc powoli żegnaliśmy się z możliwością wspólnego oglądania musicalu. Trzeci dzwonek i spóźnialscy wbiegający do holu. Krata zamykała się powoli i w tym właśnie momencie wyłoniła się podenerwowana para z wiadomością o nagłej konieczności powrotu do domu. Wybiegający pan wcisnął w moje ręce bilet z doskonałą lokalizacją. Gasły światła. Orkiestra zaczęła uverturę.

Kasjerka w telefonie uparcie odradzała nam podróż w stronę Gdyni. Teatr Muzyczny nie chciał zarezerwować *Opentańca* dla dwóch osób w drodze. Zziąjany wbiegłem do przeszklonego westybulu, stanąłem w krótkiej kolejce do kasy a dwadzieścia minut później podniosła się przed naszymi oczyma kurtyna jednego z najciekawszych wydarzeń początku dwudziestego pierwszego wieku z muzyką Sztaby i Filipczaka.

Jeśli widz bardzo chce teatru coraz częściej kładą poduszkę na schodach podczas spektakli ze stałym brakiem miejsc. Na dziesięć podejść dziewięć jest udanych, a fotel najczęściej wygodny. Trzeba tylko liczyć na łut szczęścia.

Kiedy okazało się, że wejściówki, w polskim tego słowa znaczeniu, w Mediolanie nie istnieją, a miejsca na galeriach należy wystać w długiej, międzynarodowej kolejce, pozostało skorzystać z usług konika i przepłacić.

Galernicy nie wchodzi do Scali głównym wejściem i nie mają prawa podczas przerw schodzić na niższe piętra. Nie wolno mieszać posiadaczy różnych cen biletów. Dopiero wyjście jest wspólne, ale słuchanie, ziewanie i klaskanie podzielone jest jednoznacznie i nieodwołalnie na pater, amfiteatr, łoże i kolejne piętra aż po sufit i krance, z których doprawdy widać czasem zaledwie połowę scenografii.

Teatr ma różną skalę oddziaływania. Nie tylko poprzez grę aktorów, ale także miejsce zajmowane przez Widza. Sztuka ma niewiele wspólnego z demokracją. Nie zawsze na ustach wszystkich są najlepsi z najlepszych. Sondowanie gustów odbywa się przy kasowym okienku, które ma dwie strony.

Mediolańska publiczność na galeriach wstała do owacji. Parter klaskał gorąco, nie ruszając się z miejsc. Realizatorzy długo nie zapalali świateł, rozsuwali kurtynę. Ukłony, kwiaty, okrzyki. Otworzono wszystkie przejścia, by na wielki finał tragicznej miłości Łucji z *Lamermooru*¹³ spotkać się foyer.

13 opera tragiczna w stylu w trzech aktach z muzyką Gaetana Donizettiego i librettem Salvatora Cammarano

STOPNIOWANIE

Stopnie schodów są dwukierunkowe
Spadają w dół, unoszą ku górze
Z poręczami przy straceńców murze
Wytarte czasem, skrzypiące, strome.

Stopnie uczuć są ambiwalentne
Z najwyższych sfer i niskich pobudek
Płynne humory, nastroje, które
Labilne w ocenach i pokrętne.

Stopnie miłości są skalą bytu
Podażą ducha, ciała popytu
Linia błędzącą wokół równika

Wykresem zdarzeń, gradacją osób
Słupkiem rtęci w termometrze losu
Wstrząsem Richtera, niemocą NYHA!¹⁴

14 skala niewydolności układu krążenia

sarah Kane



4.48

PSYCHOSIS

REŻYSERIA+



Teatr Polski w Poznaniu

MIASTO SIOŁĘCZNE WARSZAWA



NA BOSAKA

Przekraczanie teatralnych progów wzbudza dreszcz. Nawet jeśli budynek znam i bywam na jego zapleczu, gdy mijam portiera czy kasę, podaję bilety w drzwiach, czy wkradam się bocznym wejściem na balkon, przez ułamek sekundy czuję ten dziwny stan podniecenia oraz przyspieszającego bicia serca. Wrażenie jest silniejsze, kiedy nikogo nie ma wokół, a trzeba przejść przez zaciemnioną scenę czy widownię, poszukać czegoś w korytarzach, ominąć pomieszczenia zaplecza pełne starych dekoracji, zajrzeć do pracowni, gdzie trwa nieustanne przygotowywanie kolejnych premier.

Kiedy pierwszy raz stałem w długiej kolejce po karnet Przeglądu Szkół Teatralnych w Łodzi, nieznajoma dziewczyna wepchnęła w moje ręce pisemko festiwalowe, w którym opisano Jana Peszka z krakowskiej szkoły, chodzącego podczas próby bez butów. Nie wiem skąd wywodzi się ten zwyczaj, ba, nie wiem nawet czy ktokolwiek inny reżyserując ma podobne pomysły, ale sam kilka już razy biegałem boso na próbach generalnych. Zabobon czasem uśmierza lęk.

W farsie *Czego nie widać*¹⁵ scena i jej zaplecze pokazywane są w kolejnych aktach naprzemiennie, dowodząc, że to, co dzieje się podczas przedstawienia, ma zupełnie inne tempo po drugiej stronie dekoracji. Za kulisami toczy się zwyczajne życie. Aktorami targają inne niż sceniczne emocje. Kiedy przebrzmia pierwsze spektakle, wkrada się rutyna. Publiczność tego nie różnicuje oglądając jeden raz to, co pracownicy techniczni i sami aktorzy realizują po wielokroć.

Na boscie nogi przez starożytne wieki zakładano koturny. Podwyższano się, aby ostatnie rzędy amfiteatru w Epidauros spoglądały łaskawie na odtwórców komedii i tragedii. Minęło dwa i pół tysiąca lat. Zamknęliśmy się w pudełku podzielonym kotarą na dwa światy. Za jednym stoi ściana sceny, za drugim ściana płaczu, a tylko czasem śmiechu.

15 Teatr Współczesny w Warszawie, Maciej Englert

Magdalena Cielecka biegła półnaga i bosa. Nic dziwnego, że *4.48 Psychosis*¹⁶ to przez wiele lat spektakl, na który nie sposób było dostać biletów. Krótka kreacja, ekspresja, ściana, na której zostają już nie tylko łzy, ale i krew z rozbitej głowy. Wstrząsający pokaz na co porywa się współczesne aktorstwo i jak daleko mu do koturnów, peruk i masek, do słów wymawianych wolno, ważonych i poetyckich... Jak bardzo chcemy na scenie zagrać życie, a może śmierć?

Zagłądała przez uchylone drzwi, ciekawa tajemnicy teatru. Dotknął jej dłoni. Położył palec na ustach. Nie opierała się lekkiemu pociągnięciu w głąb korytarza prowadzącego ku granicy proscenium i sali pachnącej pluszem nowych foteli. Westchnęła zachwycona. Chciał, żeby zdjęła szpilki i weszła boso na czarne deski sceny. Nie zdążyła – hałas z drugiej strony cofnął ich do światła foyer. Jak gdyby nigdy nic...

Dwie godziny po wyjściu z Teatru Rozmaitości oglądałem program telewizyjny z Magdaleną Cielecką, która opowiadała o swoich pasjach i planach. Nie miała rozciętego czoła ani smutku depresyjnej samobójczyni, nie miała śladu teatralnej stylizacji. Nie była bosa. Jak gdyby nigdy nic...

Od greckiego amfiteatru aż po Awinion, teatr opowiada historie esencjonalne, mocne, przemawiające do wyobraźni, ale nierzeczywiste! Oparte na faktach, ale nie będące faktami. Tylko krzyż i stopy z zadrami bolą naprawdę. Nawet jeśli nie zdąży się zdjąć butów.

16 TR Warszawa (Teren Warszawa), Teatr Rozmaitości w Warszawie), Grzegorz Jarzyna

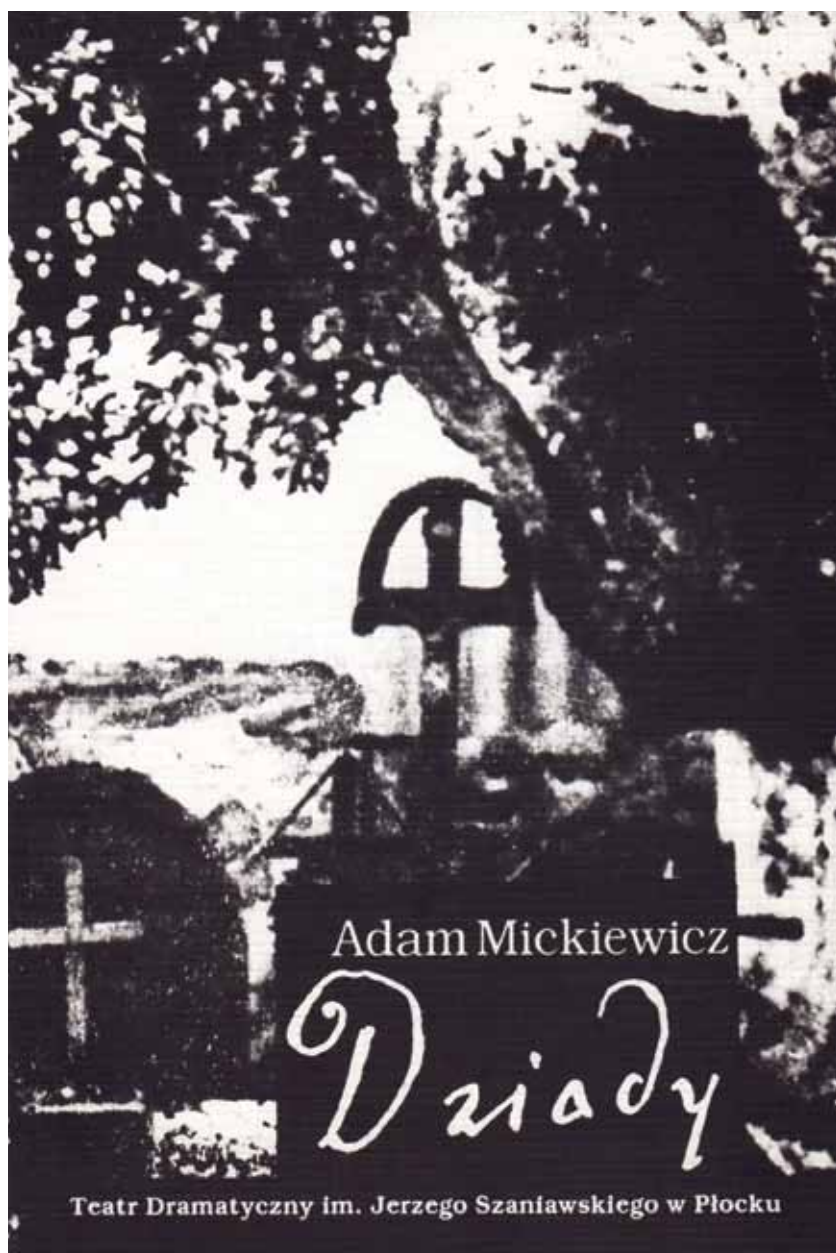
PASCHA

Każda miłość ma swój Wielki Piątek
Krzyżemznaczony na naszych barkach
Włócznią, która serce chce rozszarpać
W słowach wrogich przyrzeczoną klątwę

Każda miłość ma Wielką Niedzielę
Zmartwychwstanie z obrusa proporcem
Zimny okład zastępuje kolce
Tli się życie w zdrowiejącym ciele

Każda miłość czeka na ofiarę,
Goryczy kroplę, przelaną czarę
Niewinnego białego baranka

Każda miłość niesie Wielkie Słowa,
Co jak gwoździe chciałaby pochować
W najskrytszych dłoni zakamarkach.



Adam Mickiewicz

Dziady

Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku

JAK KAZAŁEŚ, TAK SIĘ STAŁO

Rocznik absolwentów medycyny 1995 nie miał łatwego wejścia do zawodu. Dziś, kiedy brakuje w Polsce lekarzy w każdej niemal specjalizacji, wspomnienie wyda się niewiarygodne. Przed podjęciem stażu nadano nam, po raz pierwszy w historii miasta, status bezrobotnych.

Skończyliśmy studia i w oczekiwaniu na etat, wpis na listę w urzędzie pracy pozwalał na podwójne finansowanie zoz-u: z ministerstwa i funduszy podwyższających wskaźniki zatrudnienia. Taka zabawa w statystykę i sprytny obieg kasy między publicznymi instytucjami. Sytuacja wydawała się chora, ale Pan Dyrektor kazał, a słudzy wykonali.

Czułem się jak dziad pod kościołem, kiedy stanąłem w kolejce do urzędowego okienka, a wcześniej lustrowałem tablice z ogłoszeniami pracy tylko dla ślusarzy i murarzy. Brakowało mi tchu, kiedy wypełniałem ankietę. Potem jeszcze jakieś głupie tłumaczenie. Za mną kolejni petenci. Na każde wezwanie miałem zgłaszać się i potwierdzać gotowość podjęcia oferty. Upokorzenie człowieka, który odebrał dyplom jednego z najbardziej pożądaných zawodów na świecie, nie mogło udać się lepiej.

Teatr Polski w Bydgoszczy wystawił *Dziady* w reżyserii Pawła Wodzińskiego. Do tytułu dodano wyraz *performance*. W ostatnich latach Teatr nie żywi się już własną krwią, ale podkrada z innych sztuk. Często realizacje sprawiają wrażenie wypychania dzieła podstawowego, nie tylko z dotychczasowych ram i przyzwyczajeń, ale nawet z sensów i słów. Do Bydgoszczy nie pojechałem, ale postanowiłem odwiedzić Opolskie Konfrontacje Teatralne i tam, na innej niż macierzysta scenie posłuchać performatywnej Wielkiej Improwizacji. Muszę przyznać, że było warto. Przede wszystkim ze względu na obrzęd guślarski. Druga część zawsze mnie magnetyzuje, a pomyśl, aby umieścić ją na polu namiotowym i rozegrać wywoływanie duchów razem z narodowymi kompleksami i strachami, wydał mi się znakomity. Odbывało się zbiorowe kopanie i walenie kijami bejsbolowymi w manekina, przerzucanie go sobie z rąk do rąk w kręgu nienawiści i odreagowywania lęków agresją. Doprawdy przejmujące

sceny z człowieczym losem odbijającym się od zachcianek, przepisów, sztucznych barier, interesowności władzy, obojętności lub arogancji współobywateli.

Pierwszy raz zapatrzyłem się na Gustawa-Konrada w teatrze telewizji. Był to akt małej świadomości, a mimo to obraz malowany wyobraźnią Konrada Swinarskiego pozostał w mojej pamięci jako podstawowy. Grał Jerzy Trela.

Kilka lat później poszedłem do płockiej katedry, by zobaczyć drugą w historii realizację *Dziadów* w kościele. Doskonały pomysł Marka Mokrowieckiego cieszył się niezwykle powodzeniem i na początku lat dziewięćdziesiątych był sposobem na wyjście z teatru. Siedziałem w ławce gdzieś pod koniec nawy. Mrok świątyni rozpraszany reflektorami grał, chociaż aktorzy przy braku mikroportów musieli niezwykle wysilać głos, aby poszczególne fragmenty tekstu docierały do Widza. W tej realizacji najbardziej podobał mi się salon warszawski, który tańczy (tak to zapamiętałem) z rozpalonymi świecznikami i prowadzi swoje jałowe rozmowy. Minęło już 25 lat od widowiska, które powtórzono 40 razy dla ponad 8-tysięcznej publiczności.

Urodziłem się w 1968 roku, w roku spadających z afisza *Dziadów* Dejmkowskich. Głos Gustawa Holoubka zapisany w filmie *Lawa* Tadeusza Konwickiego, zaskoczył mnie w realizacji Radosława Rychcika z Teatru Nowego w Poznaniu. Traf chciał, że znów był to występ gościnny podczas 35. Warszawskich Spotkań Teatralnych. Kilka dni później usłyszałem odczytanie tego zabiegu jako wywołanie ducha wielkiego aktora. Duch wywołał przede wszystkim brawa – spontaniczne, szczere, zasłużone. Spoglądałem kątem oka na Maję Komorowską, która złożyła ręce do pierwszego kłaśnięcia, po kilku zaledwie słowach Wielkiej Improwizacji. Na scenie nie działo się nic. Przygasły światła. Grał Duch. Można było przymknąć oczy i rozmawiać z Bogiem. A On milczał.

W marcu 1968 roku ostatecznie zakazano w Teatrze Narodowym dalszego wygłaszania Wielkiej Improwizacji. Niezwykły tembr głosu, przenikliwość spojrzenia, asceza kreacji Gustawa-Konrada, Gustawa-Holoubka, poruszyły lawinę, której efektem były demonstracje, aresztowania, pałowanie, wyrzucanie z uczelni, czystki

w kolejnej odsłonie polskiego antysemityzmu. Afisz z *Dziadów* stał się pochodnią. Na chwilę zaświecił nadzieją, potem znów zapadł mrok.

Mickiewicz nigdy nie zobaczył swojego arcydzieła na scenie. Dopiero Moniuszko w 1865 roku zaprezentował kantatę *Widma* opartą na obrzędzie guślarskim, którą współcześnie wykonuje Polska Opera Królewska w Teatrze Stanisławowskim. W 1901 roku inscenizację dramatyczną pokazał Wyspiański. Historia zapisze także Michała Zadaregę, który w Teatrze Polskim we Wrocławiu wystawił arcydzieło bez skrótów.

Po stażu rozgrywano naszymi etatami. Korzyliśmy się jak dziady przed lekarzem wojewódzkim, nie rozumiejącym wojewodę i kolejnymi przedstawicielami elity, która dzierżyła władzę. Po wielu bojach udało się. Zostaliśmy zatrudnieni i mieliśmy rozpocząć specjalizację. I wtedy właśnie kilkanaście osób postanowiło założyć Stowarzyszenie Kapituła *Szczere Połączenie*, mające na celu integrację środowiska i walczące z duchami przeszłości, i stereotypami. Zanim usłyszę pytanie o przegraną, od razu ją potwierdzę. Ale kilka miesięcy niosło pomysły i nadzieję. Fala starszych kolegów nie była silna. Może uznano, że już wystarczająco dostaliśmy za swoje.

W ramach stowarzyszenia zrekonstruowaliśmy kabaret prowadzony przez Grażynę Wendt w latach siedemdziesiątych i przed stanem wojennym. W prezencie na Jej benefis, nagraliśmy *Dziady lekarskie 1998*¹⁷. Był to czas zmian. Cztery wielkie reformy wchodziły w życie. Powstawały Kasy Chorych przekształcone później w Narodowy Fundusz Zdrowia. Guślarz wywołał stażystów, ordynatorów, szefową Izby i dyrektora kasy. Wywołaliśmy duchy. Nie obyło się bez kontrowersji, gdy chór powtarzał:

Posłuchajcie i zważcie u siebie,

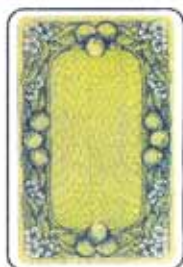
Że podług dawnego rozkazu,

Kto nie poda ręki ni razu,

Tego nikt nie podtrzyma w potrzebie.

17 Adam Mickiewicz/Jarosław Wanecki – spektakl dostępny w formie słuchowiska na płytach CD był dodatkiem do Biuletynu wydawanego przez Okręgową Izbę Lekarską w Płocku, reżyseria dźwięku Piotr Tobota.

KONCERT PROMOCYJNY



♦ **W**IARA * **N**ADZIEJA ♥
♠ **M**OJA **M**IŁOŚĆ ♣



LOKOMOTYWA

Będąc uczniem liceum, trafiłem za namową polonistki pod dach Klubu, gdzie odbywały się teatralne widowiska. Była połowa lat osiemdziesiątych. Szarzyzna. I tylko przez okno EMPIK-u widać było świat estrady, może trochę chałturnictwa aktorskiego, ale i wybitne kreacje. Nigdy nie zapomnę **Lokomotywy** Juliana Tuwima recytowanej na bis przez aktora Teatru Polskiego w Warszawie Bogdana Baera, a tym bardziej **Ballady o Januszku** z Ryszardą Hanin i Henrykiem Talarem.

W trzeciej klasie wymyśliliśmy z Arkiem Rudowskim (obecnie stomatologiem) Konkurs Piękności *Miss Szkolonia*. Głównie po to, by zainicjować jakąkolwiek działalność, by pokonać otaczający nas marazm. Impreza przerosła nasze najśmielsze oczekiwania. Tłum dosłownie walił drzwiami i oknami. Pomogło nam wówczas Płockie Towarzystwo Przyjaciół Teatru w zaproszeniu Damiana Damińskiego, który wystąpił jako gwiazda wieczoru. Wspominam ten czas z kartkami na paliwo i nocnymi negocjacjami telefonicznymi licealisty i znanego aktora, poprzez syna Grzegorza (tyle razy później oklaskiwanego przeze mnie w Ateneum). Wspominam ten czas, bo już po studiach wróciłem do przedstawień muzycznych w mojej szkole i za namową Katarzyny Góralskiej, koleżanki i dyrektora, potem wicekuratora mazowieckiego i znów dyrektora w Małachowiance, wystawiłem kilka oryginalnych instalacji.

Pierwszy był **Koncert na 3 pa** z Maćkiem Kołodziejskim. W ten sposób nieco przewrotnie i niebanalnie chcieliśmy uczcić 33-lecie III LO. Za drugim razem zagraliśmy z Maćkiem Bieńkiem **Cud niepamięci**.

W 1992 roku w samolocie, który wystartował z Amsterdamu, zepsuły się silniki. Maszyna runęła na budynek zabijając jego mieszkańców. Kilka miesięcy później psychologowie sprawdzili, co z wielu przekazanych przez media informacji o katastrofie utkwiło w pamięci studentów. Jedno z zadawanych pytań brzmiało: *Czy widziałeś w telewizji moment, w którym samolot uderzał w budynek?* Ponad 60% badanych przytaknęło. Pamiętali nawet szczegóły, chociaż żadna kamera nie zarejestrowała spadającego samolotu.

Podatność na sugestię jest cechą pamięci wspomaganą przez jej nietrwałość. Ulegamy czarom chwil i słów, pamiętając to, co jest w danej sytuacji wygodne, a ponieważ pojemność zapamiętywania jest ograniczona, system powoli usuwa dane rzadko przywoływane, chociaż nie zawsze. Albowiem jest jeszcze pamiętliwość, czyli chorobliwa skłonność do pamiętania doznanych krzywd i przykrości, nieprzejednana i niezrozumiała zawziętość, która wbrew logice zdarzeń, nie zmienia się pod wpływem argumentów i staje się nieusuwalną.

Istnieje wiele przyczyn, które wywołują niepamięć o charakterze chorobowym. W głównej mierze są to zmiany zwyrodnieniowe i naczyniowe układu nerwowego, urazy, guzy, infekcje mózgu, choroby innych narządów oraz proces starzenia się. Na część z nich znajdujemy lekarstwo, które odwraca lub opóźnia niekorzystny postęp, ale nierzadko trzeba pogodzić się z najgorszym.

Dlatego zanim zapomnimy czytany właśnie tekst, tak jak wiele innych zapisanych na stronach gazet i książek, zanim wspomnienie zatrze obejrzany spektakl czy wysłuchany koncert, zapomnijmy się na chwilę. Teraz! Zapomnijmy o pracy i o nauce, o kłopotach i wielkich oczekiwaniach, o ambicji i poszukiwaniu zaginionej arki, o polityce. Zatrzymajmy obraz. Zatrzymajmy dźwięk. I po krótkiej refleksji wyrzucmy z dysku informacyjny szum.

Pamięć złego i dobrego nie jest przenoszona z pokolenia na pokolenie. Każdy buduje swój zbiór odczuć i pragnień, nie ucząc się na błędach ani na sukcesach innych, chce doświadczeń własnych, nawet jeśli zabolą. Tak było zawsze, mimo pamiętek w muzealnych zbiorach i archiwach państwowych. Życie toczy się dalej, a wszystkiego nikt nie spamięta.

Żadna szkoła nie uczy zapomniania, ale doświadczenie podpowiada, że nieraz w życiu trzeba wiele zapomnieć, aby móc pamiętać to, co naprawdę ważne. I jeśli uznamy, że ważny jest człowiek: jego godność i wolność osobista, poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji oraz prawo wyboru i głosu, nawet jeżeli jest w mniejszości, o reszcie możemy zapomnieć.

A potem była **WIARA, NADZIEJA, MOJA MIŁOŚĆ** – dwugodzinny maraton z lokomotywą stojącą na zrujnowanym dworcu kolejowym w Płocku, na którego peronach śpiewaliśmy o trzech siostrach pragnących innego życia. Dla tego spektaklu zbudowałem kilkupiętrową, amfiteatralną widownię na scenie auli, na parkiecie rozstawiłem stoliki kolejowego baru, a zwykle, uchylone dwuczęściowe drzwi prowadziły z kolejowej rampy w świat wiary, nadziei i miłości. Maciej Bieniek opracował aranżacje. Chór i soliści: Piotr Rozmaryn, Aneta Piegat, Ola Ujazda, Karolina Wiśniewska i Kamil Ziółkowski, śpiewali brawurowo, a mój syn Krzysztof wystąpił jako nieprzejeđnany Nemeczek¹⁸ (kilka lat później zagrał Bokę w Szkole Podstawowej nr 22). Popis dały tancerki grupy Agnieszki Brzozowskiej. Spektakl stał się początkiem traktatu *Choroba miłości*, zaprezentowanego w Domu Darmstadt w 2008 roku. Mówiłem wówczas rozsypując karty do gry: *Wierzimy, mamy nadzieję, kochamy. Żyjemy. Tracimy wiarę, gasną nadzieje, niszczymy miłość. Umieramy. Czy warto żyć? Wierzyć w Boga i ludzi? Ze spokojem i nadzieją patrzeć w przyszłość? Pragnąć i poszukiwać prawdziwej miłości? Perły? Ze skostniałych pancerzy wyluskajmy to, co w nas najbardziej wartościowe. Postawmy swoją wieżę, piramidę marzeń, z naszych podróżynych walizek, strzępów rozmów i zapatrzenia w nieboskłon. Niechaj nie będzie to domek z kart. Nieraz jest trudno, nieraz podróż wydaje się bez celu i bez sensu, a i tak przecież warto żyć.*

18 Ferens Molnar, Chłopcy z placu broni



SZUMI PAMIĘCI WIATR

HAGADA

Jechałem przez zatłoczony Płock ulicą Kwiatka. Kolejny raz zahamowałem, ruszyłem, zahamowałem. Powolutku, zgodnie z rytmem zmieniających się świateł na skrzyżowaniu z Tumską, przemieszczałem się w kierunku domu. Był upalny późnowiosenny dzień. Kolejny postój wypadł na wysokości rozwalającego się budynku bożnicy albo, jak kto woli, małej synagogi. Od lat słyszałem, że nie wiadomo, jakie będą jej dalsze losy. Trochę sporów, bezwładu, dużo niewiary, wiele pomysłów i żadnej dokończzonej koncepcji. A tynk odpadał, zamurowano okna, zabezpieczono stemplami stropy, jakiś artykuł się ukazał i zapadła cisza. W mojej ocenie pustka i aż strach patrzeć.

Zadzwoiłem do zaprzyjaźnionej Katarzyny Góralskiej (wówczas dyrektorki płockiego III LO) i mówię: *a może zrobimy coś razem z uczniami, żeby pokazać, że niszczycze, że na tradycję tego miasta składała się także kultura żydowska, że Płock był miastem wielokulturowym i to stanowiło jego potencjał – może jakiś koncert zaśpiewamy?*

Za dwa dni siedzieliśmy w gabinecie już we trójkę. Dołączył Prezes Stowarzyszenia *Synagoga Płocka* i twierdził, że *mu właśnie jak manna z nieba spadliśmy i pomysł kupuje na pniu. No, tak, ale gdzie ten występ?* – pytam. *Może w Szkole Podstawowej nr 22, bo jako jedyna ma za patrona Żyda – samego Janusza Korczaka?* Dzwonimy do pani dyrektora na Podolszyczach Południowych i słyszymy: *jesteśmy otwarci na każdą propozycję.*

Kolejny dzień przegadaliśmy we czwórkę. Pomysł dobry, ale jak zrobić, żeby był nośny? Po pierwsze zgodę musi wyrazić Prezydent, poprosimy o pomoc ambasadę Izraela i marszałka województwa, a może jeszcze ministra kultury. Rozdzwoniły się telefony.

Prezydent miasta przyjął mnie ciepło, podpisał patronat i zapewnił o pomocy. Ambasada, ku naszemu zdziwieniu zapisała termin i przekazała, że ambasador Izraela – pan David Peleg będzie osobiście. Sekretariat marszałka mazowieckiego zadał dwa pytania organizacyjne i przysłał decyzję pozytywną. Ministerstwo dopytywało, co rozumiemy jako *projekt edukacyjny* (wówczas to jeszcze była rzadkość) i wyraziło również zgodę.

No to się narobiło. *A może coś więcej niż koncert – padło nieostrożnie. Dobrze byłoby jakiś film pokazać, nauczyć młodzież tańca, może smakołyki kuchni żydowskiej. Wystawa. Koniecznie trzeba pokazać stare zdjęcia. Folder. Trzeba porozmawiać o współczesnych relacjach pomiędzy Izraelem i Polską. Konferencja.*

Mijam ruinę bożnicy, czekam w korku, a telefon dzwoni bez przerwy.

W realizacji każdego, nawet najmniejszego przedsięwzięcia, najtrudniej o pieniądze. Dni Kultury Żydowskiej, które miały pomieścić: maraton filmowy, warsztaty taneczne i teatralne dla uczniów, wystawy fotograficzne, spotkania autorskie, panel dyskusyjny dla nauczycieli i maturzystów, kosztują. Najpierw trudno wszystko oszacować, a później trzeba znaleźć środki. Ten moment jest zawsze najtrudniejszy.

Ku mojemu zdziwieniu dzień po dniu przybywało sojuszników inicjatywy na rzecz odbudowy i adaptacji bożnicy płockiej. Po pierwsze znalazł się sponsor strategiczny, czyli ORLEN. Muszę przyznać, że profesjonalizm służb marketingowych najbogatszej polskiej firmy, podniósł mnie na duchu. Podobnie z właścicielami firm wspomagających, którzy dołożyli tyle, ile mogli, pokazując, że nie są im obojętne tradycja i kultura miasta, w którym mieszkają i pracują. Pokrzepiający stał się fakt jednomyślności mediów lokalnych. Inicjatywą zainteresowała się TVP Polonia, a otwarcie zgodził się poprowadzić znany prezenter – Radek Brzózka, absolwent III LO.

Nie znaczy jednak, że nie napotykał się na przeszkody. Nie wszystkich udało się zaprosić. Wiele odpowiedzi było negatywnych, głównie z powodu innych zajęć, wcześniej wpisanych do kalendarza. Zostaną nam w pamięci rozmowy z ludźmi. Dla mnie najważniejsze: z Markiem Edelmanem i Franciszkiem Pieczką.

W pewnym momencie stwierdziliśmy, że sami nie damy rady. I tu kolejna miła niespodzianka. Organizacji dyskusji o stosunkach polsko-żydowskich z udziałem: Macieja Kozłowskiego (b. ambasadora Polski w Izraelu), Dawida Warszawskiego (publicysty), księdza Wojciecha Lemańskiego z Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów,

i Moniki Krawczyk (dyrektora generalnego Fundacji Ochrony Dziedzictwa Żydowskiego) podjęło się Mazowieckie Samorządowe Centrum Doskonalenia Nauczycieli.

Ostatnie przygotowania do koncertu. Ustawianie krzeseł i witanie gości. Strach zaglądał wszystkim w oczy, chociaż byliśmy tylko amatorami, chcieliśmy zrobić wszystko jak najlepiej.

Studio 3 bloku F Telewizji Polskiej przy Woronicza 17 było przygotowane na naszą wizytę, którą zaplanowaliśmy już kilka tygodni temu. Redaktor Joanna Bator zaprosiła nas najpierw do charakteryzatorni, gdzie zostaliśmy elegancko upudrowani. Później omówiliśmy szczegóły rozmowy, która miała oddać klimat i przebieg płockich Dni Kultury Żydowskiej, zakończonych w niedzielę wielkim koncertem.

Reprezentacja była skromna. Szef Stowarzyszenia *Synagoga Płocka*, uczennica klasy muzyczno-humanistycznej III LO i ja. Po podłączeniu mikrofonów opowiedzieliśmy o pomyśle na przywrócenie pamięci o płockich Żydach. Magda oceniła jako *niezapomnianą* pracę nad repertuarem koncertu. Imponująca liczba telefonów z gratulacjami po popisie stuosobowego zespołu była bardzo miła, zwłaszcza, że część z nich wypowiadali ludzie, którzy na organizacji kultury znają się lepiej ode mnie. Nie obyło się bez wzruszeń i odkrycia, że tak naprawdę to nie znamy historii swojego miasta, demonizujemy przeszłość i obracamy się w kręgu śmiesznych stereotypów.

Ambasador Dawid Peleg pierwsze kroki po koncercie skierował do dzieci i młodzieży. Chwalił i dziękował. Przekonywał, że będzie namawiał swoich rodaków do odwiedzin w Płocku. Mówił wiele o rozpoczynającym się szczycie pokojowym i nadziei na konstruktywne rozmowy z Palestyną.

Szumi pamięci wiatr, tyle lat byli tu, więc czemu poszli nagle w świat... – śpiewnie roznosiło się przez szkolne forum. Zadanie zostało zakończone. Artyści wkrótce wyjechali na wycieczkę do Telewizji Polskiej i na spektakl baletowy do Teatru Wielkiego. Projekt został przedstawiony w Yad Vaschem. Za kilka miesięcy rocznica Marca'68.

Przygotowując scenariusz koncertu *Szumi pamięci wiatr* przeczytałem kilka książek, przesłuchałem kilkanaście płyt i obejrzałem synagogi w Krakowie i Warszawie. I nadal nie widziałem, co z tego ma powstać. Na szczęście wpadły mi w ręce wspomnienia Adama Neumana-Nowickiego i piosenki Justyny Steczkowskiej z tekstami Romana Kołakowskiego. Zmusiłem się do przeróbki Króla Maciusia Pierwszego Janusza Korczaka i szukałem miejsca dla przynajmniej jednego akordu *Austerii* Juliana Strykowski. W latach studenckich byłem na pokazie studyjnym z udziałem Jerzego Kawalerowicza, a tekst *Tak być musiało* mógłby kończyć niejedną historię.

Jeszcze nigdy nie stałem przed tak wielkim zadaniem koncertowym. Agencja estradowa zbudowała scenę, powstał mural pokazujący kamienicę z bramą na podwórko przy ulicy Kwiatka.

Metoda pracy była podobna do poprzednich realizacji. Nazywałem ją puzzlami. Każdy pracował nad swoim elementem, a potem w ciągu zaledwie jednej próby technicznej i jednej generalnej powstała całość. To formuła, która obniża bardzo koszty, ale niekoniecznie rozładowuje emocje. Pracowały dwa chóry, kilku solistów, kółko teatralne, dwie sekcje taneczne, muzycy. Równolegle odbywały się nagrania studyjne podkładu tekstowego i prezentacji. Setka ludzi od siedmiolatka do licealistów.

Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię.

A ziemia była pełnym pustkowiem,

ciemność zalegała głębie wód,

a tchnienie Boże unosiło się nad wodami.

I rzekł Bóg:

Niech powstanie światło!

Narrator prowadził przez przedwojenny Płock, a kolejne piosenki opowiadały o zwykłym życiu gminy żydowskiej, o obyczajach i miłości. O tragedii wojny. Głos

Henryka Józwiaka przywracał dawne miejsca: *Wracam dziś do mojego miasta... Ale tego nikt już nie pamięta...*

Przedstawienie miało kilka momentów zwrotnych. Jednym z nich była śpiewna recytacja hagady. Odkryłem ją w książce Nowaka i od samego początku wydała mi się znakomitą materiałem do wykonania przez małe dzieci. Zaraz po koncercie dostaliśmy zaproszenie do Seminarium Duchownego z jednoznaczną prośbą jej powtórzenia. Ksiądz Henryk Seweryniak mówił klerykom, że przez całe swoje naukowe życie snuł opowieść o hagadzie, której recytacja towarzyszyła Żydom przez wieki i dopiero teraz, dzięki uczniom z podstawówki może ją zaprezentować. Był szczęśliwy, słysząc powtarzające się frazy:

*Mój ojciec kupił kozę za dwa złote
Zapłacił tylko dwa złote
Dwa złote za jedną kozę*

*Przyszedł kot i zagryzł kozę
Którą mój ojciec kupił za dwa złote
Zapłacił tylko dwa złote
Dwa złote za jedną kozę*

*Przyszedł pies i zagryzł kota, co zagryzł kozę
Którą mój ojciec kupił za dwa złote,
Zapłacił tylko dwa złote
Dwa złote za jedną kozę*

*Przyszła palka, która zbiła psa, co zagryzł kota, co zagryzł kozę
Którą mój ojciec kupił za dwa złote
Zapłacił tylko dwa złote
Dwa złote za jedną kozę*

ANTRAKTY

*Przyszedeł ogień, który spalił palkę, co zbiła psa, co zagryzł kota, co zagryzł kozę
Którą mój ojciec kupił za dwa złote,
Zapłacił tylko dwa złote
Dwa złote za jedną kozę*

*Przyszła woda, która ugasila ogień, co spalił palkę, co zbiła psa, co zagryzł kota,
co zagryzł kozę
Którą mój ojciec kupił za dwa złote,
Zapłacił tylko dwa złote
Dwa złote za jedną kozę*

*Przyszedeł byk, który wypił wodę, co ugasila ogień, co spalił palkę, co zbiła psa, co
zagryzł kota, co zagryzł kozę
Którą mój ojciec kupił za dwa złote,
Zapłacił tylko dwa złote
Dwa złote za jedną kozę*

*Przyszedeł rzeźnik, który zarznął byka, co wypił wodę, co ugasila ogień, co spalił
palkę, co zbiła psa, co zagryzł kota, co zagryzł kozę
Którą mój ojciec kupił za dwa złote,
Zapłacił tylko dwa złote
Dwa złote za jedną kozę*

*Przyszedeł anioł śmierci, który uśmiercił rzeźnika, co zarznął byka, co wypił wodę,
co ugasila ogień, co spalił palkę, co zbiła psa, co zagryzł kota, co zagryzł kozę
Którą mój ojciec kupił za dwa złote,
Zapłacił tylko dwa złote
Dwa złote za jedną kozę*

*Przyszedeł błogosławiony święty Pan Bóg, który uśmiercił anioła, co uśmiercił rzeź-
nika, co zarznięł byka, co wypił wodę, co ugasila ogień, co spalił palkę, co zbiła
psa, co zagryzł kota, co zagryzł kozę
Którą mój ojciec kupił za dwa złote,
Zapłacił tylko dwa złote
Dwa złote za jedną kozę...*

Huczna owacja dla brawurowego wykonania młodych artystów i wspólne śpiewanie żydowskich piosenek z przyszłymi księżmi zostanie w moich uszach na zawsze. Postanowiłem jednak pokazać hagadę jeszcze raz, ale z zupełnie innej strony. Tekst nasunął mi myśl, że ksiądz nie do końca miał rację i nie musiał aż tak długo czekać na artystyczną prezentację do swoich wykładów. Przyglądając się bowiem twórczości polskich poetów, zwłaszcza twórczości dla dzieci, znajdziemy tak wyraźne i jednoznaczne jej echa.

Kolejny pokaz odbył się w Restauracji Żydowskiej Estera prowadzonej przez Krzysia Krajewskiego. Gościem była grupa doktorancka Instytutu Historii Nauki Polskiej Akademii Nauk oraz pani senator Janina Fetlińska¹⁹. Dzieci rozpoczęły od recytacji **Rzepki** Juliana Tuwima, potem był *ojciec, który kupił kozę za dwa złote*. Snułem opowieść o rymowanych *bolerach* w polskiej literaturze. Płasaliśmy na wzór harcerskich zabaw: *Stary Donald fermę miał, Jestem muzykantem konszabelantem* i przypominaliśmy sobie wierszyk **Bagaż**²⁰, którego uczyliśmy się w szkole na pamięć po rosyjsku:

Pewna dama krzyknęła:

– Tragarz!

Proszę mi oddać na багаż:

Zielone pudelko,

Plecione krzeselko,

¹⁹ Zginęła w katastrofie smoleńskiej 10 kwietnia 2010 roku

²⁰ Samuel Marszak w tłumaczeniu Janusza Minkiewicza

ANTRAKTY

*Pluszową kanapkę,
Akwarium i klatkę,
I stolik, i skrzynkę,
I malusieńką psinkę.*

Na koniec nauczyłem gości płasu **Kukułka**, który przez wiele lat towarzyszył mi na koloniach zuchowych. Pierwszy raz zaśpiewała go z nami, a byłem wówczas w szkole podstawowej, druhna Zofia Rychlicka. Od tamtej pory dopisywałem kolejne elementy, a nasza *harcerska hagada* z biegiem lat była dłuższa, śpiewało się ją szybciej i wywoływała coraz więcej śmiechu podczas kolejnych powtórzeń i opisywania gestami wyrazów wykrzykiwanych przez kukułkę. Niezależnie od tego, w jakiej części Europy zaczynałem ten płas zawsze wprawiał międzynarodową publiczność w dobry nastrój.

Kilka lat później bożnicę oddano do użytku społeczności Płocka po remoncie ze środków unijnych. Na uroczystość nie dostałem zaproszenia, ale dzisiaj stojąc w ulicznym korku patrzę z dumą na małą synagogę.

Z okazji koncertu postanowiłem do znanej melodii żydowskiej napisać swój tekst. Nazwijmy to okazjonalnie. I tak powstała **Dona**²¹.

21 Tradycyjna muzyka żydowska, piosenkę zaśpiewała Karolina Wiśniewska

DONA

Przy bożnicy wielkie drzewo pogubiło liści moc
Wiatr w gałęziach tylko szumi, wspominając stary Płock
Biegnę z Tobą dziś, tam gdzie kwitły bzy.
Nadwiślański dzień bez granic. Daj osuszyć lzy.

Ref.

Zasadzimy drzewa młode,
By szumiały chwały pieśń.
Niechaj puszczą pędy zdrowe,
Ciepły czulent pora wnieść.
Dona, dona, dona, dona
Dona, dona, dona, da.
Dona, dona, dona, dona
Dona, dona, dona, da.

Przy bożnicy, na ulicy, kantor śpiewa słodki psalm
Stary Rabin patrzy czujnie z malowidła złotych ram
Biegnij ze mną dziś, tam gdzie słychać śpiew.
Tylko pamięć mogę oddać za przelaną krew.



KOLEDA DLA DRUHA

Bywa, że w zamian za ocalenie, za zdrowie, za szczęśliwy łut, praca społeczna przeistacza się w misję, która ma na celu uchronić od zapomnienia, na przykład tradycyjny strój, obrzędowość, mowę ojczystą, nuty. Wokół takich idei skupiają się kolejni zapaleńcy: przychodzą i odchodzą w sztafecie pokoleń, starzeją się i zapraszają do wspólnego kręgu coraz młodszych i coraz bardziej zagubionych, dla których wolność, chleb, pokój są zwyczajnymi wyrazami, zastaną codziennością, bez walki, nostalgii i ponadczasowej wartości.

Druh Wacław Milke uczył nas Polski. A kiedy odszedł, przechowywane przez niego skarby: *ogień polskości na Forum*, lokalny patriotyzm Mazowsza, kult przodków i miejsc, pozostały w naszych rękach, głowach i sercach.

Dlatego właśnie pamięci wybitnego nauczyciela grono znajomych poświęciło rok wolnego czasu, swoich pasji, szaleńczego zrywu, by pozostawić trwałe ślady walki o życie w niemieckich obozach koncentracyjnych, niezłomności wobec systemów totalitarnych, codziennej pracy u podstaw z dziećmi Płocka i wiary w krzyż.

Po zaledwie roku od początku akcji, odsłonił się pomnik druha ufundowany przez Płocczan, wrzucających grosz do puszek i tysiące złotych na konto budowy epitafium w katedrze i kręgu na starówce. Aby dotrzymać terminów potrzebny był jeden akord, do którego wszystkich namawiałem.

Zaśpiewaliśmy razem w finałowym koncercie *Kolędę dla druha* – aktorzy Teatru Dramatycznego, wirtuozi Płockiej Orkiestry Symfonicznej, śpiewacy, muzycy i tancerze zespołów *Wisła*, *Mazovia* i *Jodelki* z Podhala oraz *Dzieci Płocka* wraz z całą widownią, organizatorami, sponsorami i przyjaciółmi w podziękowaniu Wacławowi Milke. Wolne miejsce na scenie podczas wspólnego kolędowania zajęły nasze wspomnienia.

Zbieranie pieniędzy uczy pokory, nawet jeśli jest zbieraniem na najszczytniejsze cele, z wypisanymi na sztandarach najpiękniejszymi hasłami i imionami.

W żebraczym żywocie jest bowiem element, który dla zawodowca jest czymś oczywistym, stanowiącym koszt poniesiony w imię korzyści majątkowej zdobytej za pomocą bardziej lub mniej teatralnych środków w lamencie, łachmanach i okaleczonym ciele. Dla tych, którzy sięgają po puszkę, wystawiają charytatywny bilet, drukują numerowaną cegielkę i organizują aukcję z wyprzedzą anegdot lub wspomnień, to poddanie własnej twarzy identyfikacji przechodnia, czytelnika, słuchacza, widza, działacza społecznego, politycznego lub administracyjnego. Dowód popularności idei, wiarygodności i uczciwości, że ani jeden grosz nie przepadnie, nie zostanie zamieciony pod prywatny dywan. Dlatego złotówki z dna kieszeni, z zakamarka portmonetki, z dziecięcych rąk, do których włożyli je rodzice, radują najbardziej, potwierdzając zaufanie ludzi nie tylko dla akcji, ale przede wszystkim do jej wolontariuszy.

Naród polski budował pomniki w różnych formach. Kraków namiętnie usypuje kopce, w Poznaniu stoi teatr, który jest symbolem przetrwania. Na skwerach i placach mijamy wielkie bryły posągów przywódców, muzyków, poetów i kapłanów. Łódź i Warszawa mają ogromne szpitale, które codzienną służbą na rzecz swoich pacjentów oddają hołd polskim dzieciom i matkom za los żołnierski, powstańczy, sierocy, wdowi, za ubóstwo i bohaterstwo, niesione zawsze z myślą o Ojczyźnie.

Oto nasza megalomania. Tak jak Kraków czci Piotra Skrzyneckiego, a Łódź Juliana Tuwima, my czcimy pamięć swojego wychowawcy, piewcy piękna tej ziemi, twórcy naszej artystycznej wrażliwości w ciężkich latach powojennych i patriotyzmu w czas wielkich przemian.

Najpierw wmurowaliśmy kamień węgielny²². Pod nim schowany został rulon, który opisał czas i miejsce akcji. Później nastąpiło projektowanie pomnika, rozmowy

22 Inicjatywa Doroty Zaremby z udziałem m.in. Krzysztofa Kamińskiego, Jerzego Skarżyńskiego i Tadeusza Milke.

PRZERYWNIK

z rzeźbiarzem, z odlewnią, z konserwatorem, z władzami miasta. Na koniec pomnik stanął i został skrytykowany, po polsku, i wiedzieliśmy, że jakby został już poświęcony i będzie wraść w tradycję szybciej niż nam się wydawało. Na uroczystość odsłonięcia przyszli wszyscy: przemawiali, gratulowali, przecinali wstęgę.

Dzieci Płocka śpiewały:

Idziemy naprzód i ciągle pniemy się wzwyż

By zdobyć szczyt ideału, świetlany harcerski krzyż...

Przechodząc koło kręgu druha Milke trzeba obowiązkowo dotknąć pomnika. To zawsze przynosi szczęście. To pozdrowienie na dobry dzień.

Lamiemy chleb. Człowiek to nasz Druh²³

Siadamy zgodnie przy stole

Płyną gawędy, a w żłobie Bóg

Łączy łańcuch pokoleń.

Lamiemy chleb. Lamiemy serc lód.

Stawiamy wolne nakrycie

Płyną kołędy, a każda z nut

Niesie wiarę i życie.

23 Kolędę dla Druha wykonała Płocka Orkiestra Symfoniczna pod dyrykcją Sławomira Wróblewskiego, śpiewała Ola Art do muzyki Przemysława Marcyniaka (fragment).



WSZECHŚWIAT

Szkoła realizuje wiele zadań, ale podstawowym jest wprowadzenie do tajemniczego świata książek – biblioteki, który można odkrywać i zwiedzać przez całe życie, będąc nadal nienasyconym, trawiąc na studiowaniu pism całe noce i całe dni. Współczesny system kształcenia zastępuje pozyskiwanie wiedzy, pozyskiwaniem umiejętności. Zastępuje zamiast łączyć. Śpieszymy się, aby móc pokazać wszystkie zależności, jakie rządzą ludzkością, lecz zapominamy o stworzeniu solidnej podstawy, na której można zbudować twórczy ogląd tła.

Skąd metaforyka biblioteki? Jak u Jorge Luisa Borgesa: *biblioteka-wszechświat to zaprojektowany z matematyczną dokładnością labirynt, struktura sprawiająca – mimo swej symetryczności – wrażenie zupełnej nieprzenikalności. Biblioteka jest nieograniczona i periodyczna – gdyby wędrowiec przebywał ją w dowolnym kierunku, musiałby w końcu odnaleźć te same tomy ustawione w takim samym porządku albo raczej w nabierającym nowego sensu nieporządku, bo przecież jest to biblioteka Babel – symboliczny zamęt i bezład.*

Z okazji 40-lecia mojego liceum postanowiłem wszystkich zaprosić do księżnicy, w której opowiedziałem historię literatury, epoka po epoce, za pomocą piosenek. Wybór ograniczał czas, wiedza realizatorów, możliwości młodych wykonawców, ale krótki kurs odkurzał karty wspomnień z lat spędzonych w szkolnej ławce.

Scenograficznie ustawiliśmy stoliki z czytelnymi półkami z książkami. Za placami był obraz *Mól książkowy* wyjęty z jakiejś galerii prywatnej i pokazany w *Szaleństwie Katalogowania* Umberto Eco. Koncert rozpoczął właśnie tekst Borgesa: *Wszechświat, (który inni nazywają Biblioteką)...*

25. urodziny płockiej izby lekarskiej postanowiliśmy uczcić zaproszeniem Jerzego Bralczyka, aby publicznie porozmawiać o zdrowym języku. Najpierw połączyłem się telefonicznie z bliską współpracowniczką profesora, panią docent Grażyną Majkowską z Instytutu Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Od razu nawiązaliśmy

doskonały kontakt i nasze spotkanie stało się pewne. Profesora trochę się bałem, więc przełamując treść, rozmowę prowadziłem znacznie ostrożniej. Zupełnie niepotrzebnie. Ustaliliśmy ramy wystąpienia, dzieląc je na wykład o kondycji języka polskiego, a następnie pogawędkę o słowach opisujących ochronę zdrowia takich, jak: płatnik (NFZ), świadczeniodawca (lekarz, pielęgniarka, położna), świadczeniobiorca (chory, pacjent), podmiot leczniczy, przedsiębiorstwo podmiotu leczniczego (szpital, przychodnia), procedura medyczna (badanie pacjenta, ciąg postępowania diagnostyczno-terapeutycznego), koordynator oddziału (ordynator), produkt medyczny, usługa medyczna (praca lekarza, pielęgniarki). Przyznam, że nie spodziewałem się tak doskonałego spektaklu. Na scenie ustawiliśmy mównicę, obok stolik dla profesora, pani docent i dla mnie. Swobodna dyskusja i brawurowa prezentacja poglądów na temat naszego komunikowania się i relacji pacjent – lekarz, w której lekarz umiejętnie przekazujący wiedzę i ładnie mówiący staje się częścią leku, porwała publiczność, która słuchała i co chwila wybuchała śmiechem. W tle przygotowałem slajd, na którym umieściłem *mola książkowego* z koncertu licealistów. Jerzy Bralczyk opowiedział, że patrzy na ten obraz codziennie w swoim gabinecie.

Z okazji 80. rocznicy Książnica Płocka otrzymała tekst piosenki napisanej z okazji koncertu *Noce i dnie* w III Liceum Ogólnokształcącym im. Marii Dąbrowskiej w Płocku na jego 40-lecie.

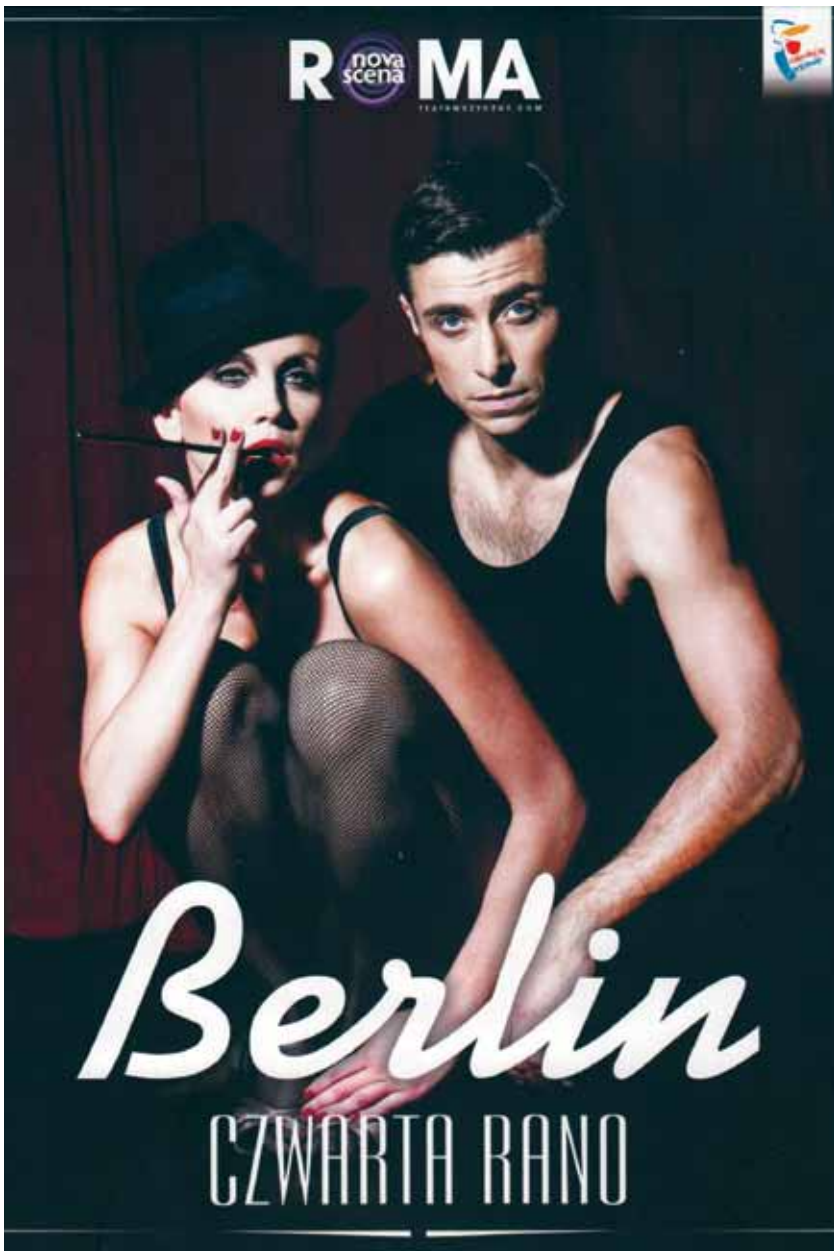
BIBLIOTEKA (fragment)

Na początku było Słowo
Kilka liter z klina
Odkrywany sens na nowo
W imię ojca, syna,
Słowo w słowo, księga w księdze
Wszechświat – Biblioteka
Fix idea w set potędze
Modlitwa człowieka.

Na początku były baśnie
Kilka stronic z puentą
Zło i Dobro zanim zaśnie
Stoczy wojnę świętą,
Słowo w słowo szepczą usta
Wszechświat – Biblioteka
Bez niej wokół tylko pustka
Samotność człowieka.

Na początku były wiersze
Kilka strofek z rymem
Gdy kobiety śnione, pierwsze
Razem z pieśnią, winem,
Słowo w słowo uniesienie
Wszechświat – Biblioteka
Wielka miłość jak natchnienie
Istota człowieka.

R nova
scena MA
FEATURING THEATRE.COM



Berlin

CZWARTA RANO

TAŃCZYMYSŁABADA

Nie lubię tańczyć. Nie znaczy to jednak, że nie lubię z zazdrością patrzeć na taniec innych, zwłaszcza profesjonalistów. I nie zawsze musi to być Pastor, Bajadera czy popisy Bałtyckiego Teatru Tańca Izadory Weiss. Czasem wystarczy dobrze przygotowane telewizyjne show.

Wybraliśmy się do studia nagrań pod Warszawą, aby podziwiać jeden z odcinków kolejnej edycji *Tańca z gwiazdami*, realizowanej przez TVN. Bilety zdobyte cudem, zima, na miejscu trzeba było pojawić się dwie godziny przed emisją na żywo. Zanim zobaczyliśmy cokolwiek na parkiecie, przeszliśmy szkolenie z klaskania na siedząco i stojąco, z owacji wyreżyserowanej i bezdyskusyjnej.

Na godzinę przed sygnałem początkowym nagrano gwiazdę wieczoru. Nie pamiętam nawet, kto nią był. Piosenkę powtórzono czterokrotnie. Potem rozpoczęły się tańce konkursowe i wariactwa konferansjerów odczytujących przygotowane wcześniej bon moty. Z twardego krzeselka na małej powierzchni stłoczonej widowni mało było widać szczegółów, w telewizji widać znacznie więcej. Oddalonym jurorom nie można było spojrzeć w oczy, a wstający przed nami do owacji zasłaniaли kłaniające się gwiazdy i ich nauczycieli. Mimo wszystko zabawa była fajna.

*Opentaniec*²⁴ zauroczył widowiskiem Adama Sztaby i Tomasza Filipczaka. Kaskada wody w tle, obłędna muzyka z wykorzystaniem polskiej tradycji ludowej, doskonali soliści i balet, fabuła wypowiedziana ruchem. Dla kogoś tak mało wykształconego w tańcu – cudownie!

Doktor Joanna Maślankowska z Klubu Lekarza postanowiła nauczyć nas tańczyć. Nas, czyli lekarzy i ich małżonków. Chętnych do odbycia warsztatów nie zgłosiło się zbyt wielu, ale pierwsze kroki zostały postawione. Wymiękłem. To nie jest aktywność artystyczna, w której się spełniam, co nie znaczy, że nie organizuję z zapalem

24 Teatr Muzyczny w Gdyni

ANTRAKTY

lekarskich bali, których tradycja sięga lat sześćdziesiątych. Na balu przecież nie trzeba tańczyć. Można się tylko spotkać ze znajomymi, pogadać, coś zjeść, jak ktoś lubi, to się napić.

Na małej scenie Teatru Roma wystawiono *Berlin, czwarta rano* – mroczny spektakl z niemieckimi piosenkami czasów międzywojennych. Katarzyna Zielińska, płocczanin Kacper Kuszewski oraz dwójka tancerzy Anna Głogowska i Rafał Maserak, których poznałem już wcześniej w programie *Taniec z gwiazdami*, poprowadzili przedstawienie pełne czarnego humoru i pięknej choreografii.

Piosenka i taniec współgrają najlepiej!

SEWILLA

Śniła mi się Sewilla. Miasto tańca
Krwawej korridy fiesta finale
Trzepot wachlarzy walczących z upałem
Kobiece ręce splecione w różańcach

Mamilem dziewczynę z kastanietami
Obcas uderzał w kamienne proscenium
W zmysłowym miłosnym pieśni misterium
Szarpanym gitar schrypłymi strunami

Wiatr gonił w amoku za twą sukienką
Tańcząc w falbanach rytmiczne flamenco
Duszną sjęstę dławiąc nad Alkazarem

Zamknięte szczelnie okiennice domów
W uliczkach już tylko śmiech pikadorów
Hipnoza zmieszana z ulotnym czarem.

Koncert

Europejskiego Chóru i Orkiestry Studentów Medycyny EMSOC 2015



PŁOCK

24.07.2015, godz. 19:00

Bazylika Katedralna
pw. Wniebowzięcia NMP
ul. Mostowa 2

WARSZAWA

25.07.2015, godz. 19:00

Sala Koncertowa
Uniwersytetu Muzycznego
Fryderyka Chopina
ul. Okólnik 2

SOLIŚCI:

HANNA ZAJĄCZKIEWICZ/SOPRAN
PRZEMYSŁAW KUMMER/BAS-BARYTON
BARTOSZ ZWOLAN/FORTEPIAN

JANUSZ POWOLNY/DYRYGENT

JUSTYNA CHEŁMIŃSKA
ANNA-KATHARINA KALMBACH/
PRZYGOTOWANIE CHÓRU



W PROGRAMIE:

**J. BRAHMS, F. CHOPIN,
S. MONIUSZKO, R. BASZUN**

WSTĘP WOLNY

ŚPIEWANIE CHÓREM

Europejska Orkiestra Studentów Medycyny istnieje od 1993 roku i powstała w Niemczech. Europejski Chór Studentów Medycyny po raz pierwszy zaśpiewał w londyńskiej Regens Hall w 1996 roku. Koncert połączonych: orkiestry i chóru odbył się w 2009 roku w Słowenii.

W lipcu 2015 roku muzykujący studenci uniwersytetów medycznych z całej Europy uczestniczyli w warsztatach przygotowujących do wspólnego występu w Polsce. Zamieszkali w akademikach, ćwiczyli intensywnie w kompleksie dydaktycznym Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego przy Trojdena, wieczorami zwiedzali stolicę i bawili się.

Kulminacyjnym momentem całego przedsięwzięcia były dwa koncerty. Miałem przyjemność prowadzić je dzień po dniu dla licznie zgromadzonej publiczności w płockiej bazylisce katedralnej oraz sali koncertowej Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie.

Zapowiadanie muzyki poważnej jest zawsze trudnym wyzwaniem. Kiedy pierwszy raz poprosiła mnie o to Anna Bramska, prowadząca chóry katedralne w Płocku, długo się wahałem. Strach mój budziło muzyczne nieprzygotowanie i fakt, że właściwie mogę zaproponować jedynie autorskie wprowadzenia, o tyle może ciekawe, że po prostu inne niż profesjonalne. Od zapowiedzi przecież wiele zależy – buduje nastrój, rozdziela utwory, pozwala usunąć dotychczasowe dźwięki i przygotować się do kolejnych muzycznych odsłon. Cisza tej roli nie spełnia. A gadanie, zwłaszcza trochę zaskakujące, i owszem.

Kilka lat temu dostałem zadanie od mojego poprzednika, szefa Okręgowej Izby Lekarskiej w Płocku, zorganizowania *wydarzenia kulturalnego* z okazji odbywającego się w Dębowej Górze największego wówczas w dziejach samorządu lekarskiego, Kongwentu prezesów izb, rzeczników odpowiedzialności zawodowej i przewodniczących sądów lekarskich z całej Polski. Na spotkaniu miało być i było prezydium Naczelnej Rady Lekarskiej.

Jak zawsze ciągnęło mnie do teatru, ale wybrałem wbrew sobie, także z powodu pewnych ograniczeń czasowych. Ważne było, aby wszyscy przed wieczorną, uroczystą kolacją na zakończenie obrad, pojawili się na Wzgórzu Tumskim, a co za tym idzie w płockiej katedrze.

Kilka tygodni wcześniej, w zaciszu biblioteki Domu Darmstadt, odbyłem pierwszą rozmowę z Anną Bramską, ustalając szczegóły koncertu dla moich koleżanek i kolegów. Jakby przy okazji opowiadaliśmy sobie o fascynacjach artystycznych, o planach i możliwościach, które mogłyby być pełniej wykorzystywane, gdyby w porę zostały dostrzeżone. Widziałem wówczas iskry w oczach pani Anny, które, jak przekonałem się w ciągu najbliższych lat, potrafiły rozpalic zauroczenie muzyką poważną, sakralną, trudną i wzniosłą, rzesze chłopców, niedawno także dziewcząt i całych rodzin.

Zapowiedziałem koncert i schowałem się za filarem przed ołtarzem Matki Boskiej Mazowieckiej wraz z nestorką płockiej medycyny Barbarą Kacer, drząc, czy sprościliśmy gustom wytrawnej publiczności z wielu miast: profesorów, pracowników naukowych, luminarzy środowiska lekarskiego, w wielu wypadkach zaangażowanych *bywalców* festiwali i konkursów. Muzyka unosiła... Genialna gra na organach Wiktora Bramskiego wyznaczała początek. Niezwykłe były interpretacje na saksofon Krzysztofa Kralki. Po trzecim utworze doktor Kacer ścisnęła mnie za rękę i powiedziała: *udało się, jest pięknie*. Kiedy spojrzałem ponownie na publiczność, wszyscy stali, wiele osób ocierało łzy wzruszenia, owacja przez wiele minut nie pozwalała na prezentację, ale kiedy chłopcy z tupotem zbiegali po schodach i szli środkiem nawy do ukłonów, wiwaty osiągnęły apogeum. Bisów słuchano na stojąco!

Kiedy pojawiaam się na zjazdach i mówię, że reprezentuję Płock, mimo upływających lat od tumskiego koncertu, słyszę gratulacje. Dostrzegam w nich zauroczenie poziomem, repertuarem i interpretacją *provincialnego chóru*.

Dwoje ludzi: Anna i Wiktor Bramscy, przemierzając świat zatrzymało się w Płocku. Na chwilę, żeby sprawdzić brzmienie katedralnych piszczałek, żeby zaśpiewać i szukać dalej. Zostali. Bez tych dwojga ludzi moje miasto byłoby uboższe. Jak dobrze, że im uwierzyliśmy.

Długo czekałem aż autokary ze studentami podjadą pod katedrę. Ulokowaliśmy towarzystwo w salach Muzeum Diecezjalnego, gdzie mogli się rozpakować i przebrać. Najpierw zaplanowano zwiedzanie, później próbę. Zanim plan ruszył, wszyscy weszli do bazyliki i przymierzali się do swoich miejsc za nutowymi pulpitami i na praktykablach. Szurali, hałasowali, nawoływali się. Kościelny nawet trochę zaczął się denerwować.

Kiedy stoję przed płocką publicznością koncertową, wiem, że nie przyszli przypadkiem. Tradycja chóralna jest u nas ogromna, co najlepiej widać podczas kolędowania, gdy wszyscy śpiewający mieszkańcy z wielu zespołów dla dzieci, młodzieży i dorosłych, spotykają się razem.

Od wizyty podczas warsztatów chórów izb lekarskich w Kórniku, wiem, dlaczego tak chętnie lekarze słuchają muzyki wykonywanej w kościołach. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak wielu z nas tę sztukę uprawia, jak jest w nią zaangażowanych. Różnorodność tamtego doświadczenia była ogromna. Lekarze potrafią zaśpiewać wszystko!

Beata Herman²⁵ – dyrygentka orkiestry Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, a jednocześnie prowadząca chór Okręgowej Izby Lekarskiej w Warszawie, główna sprawczyni mojego udziału w śpiewaniu europejskich studentów w Polsce, siedziała w garderobie sali koncertowej Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina i patrzyła na transmisję koncertu. Przed momentem na scenie mówiłem o chorowitym chłopcu urodzonym w Żelazowej Woli i o projekcie profesora Wojciecha Cichego, który, analizując objawy opisywane przez Chopina w listach do siostry, stwierdził, że wielki kompozytor miał mukowiscydozę i próbował zdiagnozować, w jaki sposób mogło to oddziaływać na jego muzykę. Na początek i na koniec koncertów wykonywano utwory Stanisława Moniuszki: *Bajkę*, czyli uwerturę fantastyczną oraz mazura z opery *Straszny Dwór* z librettem Jana Chęcińskiego. Następnie z udziałem Bartosza

25 Obecnie chórmistrzyni Polskiej Opery Królewskiej w Warszawie

Zwolana (studenta wydziału lekarskiego WUM) popłynęło brawurowe *Rondo a la Krakowiak*. Połączone siły studenckie mierzyły się później z *Pieśnią przeznaczenia* Johanesa Brahmsa na chór mieszany i orkiestrę, które poprowadził maestro Janusz Powolny. Wyjątkowym momentem plockiego i warszawskiego spotkania było wykonanie utworu na orkiestrę, chór, organy i dwóch solistów *Tota Pulchra* Renaty Baszun, która przyjechała na obydwie koncerty, a publiczność zgromadziła jej wielkie owacje za monumentalną kompozycję. Partie solowe śpiewała sopranistka Hanna Zajączkiewicz (laryngolog) oraz bas Przemysław Kummer. Na organach grała doktor Joanna Lubarśka pochodząca z Płocka. Chór przygotowały Anna Katerina Kalmbach z Niemiec i Justyna Chełmińska, związana z Wielkopolską Izbą Lekarską w Poznaniu.

Patrzyłem z boku na zaangażowanie tych młodych ludzi rozśpiewujących gamy, roześmianych, strojących instrumenty pod czujnym okiem koncertmistrzyni. Słuchałem mazura Moniuszki, którego wydały gardła codziennie mówiące wieloma językami świata, w ten jeden moment zespolone słowami chwalącymi muzykę i napisanymi po polsku: *Ona wszystkich sztuk jest chlubą najdawniejszą w świecie, A z nią nawet lubo, kiedy źle na świecie...*

Prezes Wielkopolskiej Izby Lekarskiej w Poznaniu, Krzysztof Kordel, z dumą rozdawał członkom Naczelnej Rady Lekarskiej płytę z nagraniem finałowego koncertu III Festiwalu Chórów Lekarskich w Trzemesznie. W Bazylice pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny wystąpiło 11 chórów lekarskich, w tym gościnnie zespół *Rodina* z Sofii. Wspólny utwór *Ave Verum* Mozarta wykonano z towarzyszeniem orkiestr Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego i *Operacja Muzyka* z Poznania.

Za pulpitem dyrygenckim stanął maestro Marcin Tomczak, profesor gdańskiej Akademii Muzycznej im. Stanisława Moniuszki. Cały festiwal przygotowała Justyna Chełmińska – doktor nauk medycznych i zawodowy dyrygent chórów.

Prowadziłem festiwal w zastępstwie.

Najpierw zawitaliśmy do Katedry Gnieźnieńskiej. To niezwykle wrażenie stać na tle sarkofagu świętego Wojciecha i opowiadać o samorządzie lekarskim i muzyce. W przejmującym zimnie wystąpiły cztery zespoły: z Lublina, Opola, Szczecina i Poznania.

Drugiego dnia spotkaliśmy się wszyscy w Teatrze Fredry w Gnieźnie. Na scenie towarzyszyła mi Ola Bakun, która znacznie lepiej ode mnie przedstawia wykonawców i utwory. Przygotowania sceniczne były błyskawiczne. Widownia wypełniła się do ostatniego miejsca. Na zewnątrz lał listopadowy deszcz, a reprezentacja piłkarska zmagala się towarzysko z Urugwajem. Łącznikiem poszczególnych części stał się hrabia Aleksander Fredro i wspólne śpiewanie kupletów Papkina z **Zemsty**, z czego wśród rozbawionej publiczności *narobił się, pani matko, łoskot!*

Kończący koncert w Trzemesznie odbywał się z okazji Święta Niepodległości. Orkiestry zagrały na koniec *Poloneza z Pana Tadeusza* Wojciecha Kilara i *Boże coś Polskę*. Śpiewaliśmy chórem: lekarze i nasi goście, potencjalni pacjenci, parafianie i przyjezdni z Warszawy, Opolszczyzny, Białegostoku, Pomorza Zachodniego, Gdańska, Śląska, Warmii i Mazur, Bydgoszczy, Lublina i Wielkopolski. Razem.



SCENA NARODOWA

W foyer Teatru Narodowego usłyszałem z okazji 44. urodzin gromkie sto lat zainicjowane przez przyjaciół z Naczelnej Izby Lekarskiej, a kontynuowane przez kilkadziesiąt uczniów, którzy ubierali się i wybiegali już do autobusu. Jeden z tych obcych, młodych ludzi podszedł i wyrecytował: *my także życzymy Panu wszystkiego dobrego*.

Teatr Narodowy w Warszawie poznawałem przez ostatnie lata po trochu. Najpierw scena po scenie, spektakl po spektaklu, a potem kulisa po kulisie z nauką kolejnych tajnych przejść i garderób przy Sali Bogusławskiego. Dostałem taką możliwość dzięki decyzji, że Srebrna Gala Samorządu Lekarskiego odbędzie się właśnie tutaj i że mogę ją przygotować. Od początku do końca.

Andrzej Wąsik (menedżer TN) zaprosił mnie do bufetu teatralnego. To miejsce jest drugim po scenie tak czarującym i niezapomnianym. Aktorzy, których tam nie zaczepiam i nie proszę o autograf, są naturalnym i zapierającym dech elementem zwyczajnie toczącego się życia.

Przygotowania rozpocząłem od scenariusza, ale o tym nie warto pisać. Scenariusze są w głowie, trzeba je tylko przelać na papier, rozpisać partyturę zadań i to nie dla siebie, ale dla tych, którzy mają je zrealizować. Zamykam oczy i widzę kolejne sceny.

Gwardia techniczna Teatru Narodowego wydawała się nie dostrzegać żadnego obrazu z mojej głowy. Spotkaliśmy się w kilkunastoosobowym składzie w saloniku przylegającym na pierwszym piętrze foyer: brygadier sceny, oświetleniowcy, akustycy, ekipy: filmowa, multimedialna, scenograficzna. Towarzyszyła mi scenograf i przyjaciel Ewa Strzelecka, z którą przez wiele dni i kilkadziesiąt godzin omawialiśmy poszczególne pomysły i praktyczne możliwości ich zastosowania. Nie było łatwo. Amator stojący naprzeciw profesjonalistów zaproponował pasję, swoje święte przekonanie, że kompromisy będą minimalne, a całość bliska doskonałości. Iluż oni takich wariatów widzieli w swojej pracy?

Zostałem przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego Jubileuszu. Nie tylko teatr, ale także hotele, aprowizacja, koncert chóru podczas mszy, bankiet, listy VIP-ów, odznaczenia, zaproszenia, plakaty, kabiny dla tłumaczy, zagraniczni goście, sesja historyczna to wszystko spadło na moje barki. W sali Naczelnej Rady Lekarskiej zbierała się kilka razy ekipa pracowników biura NIL, która realizowała kolejne punkty. Bez tych ludzi, bez ich osobistego zaangażowania i pomysłów z pewnością część układanki pogubiłaby się w awanturze o jednoosobowy pokój lub kolor identyfikatora.

Przez kilka tygodni uzgadnialiśmy z Płocką Orkiestrą Symfoniczną, kto powinien zostać gwiazdą naszej gali. Wreszcie postawiliśmy z rzecznikiem prasowym NIL Katarzyną Strzałkowską na Janusza Radka. Całość poprowadził maestro Tomasz Filipczak. Znałem obydwu ze sceny. Pierwszego z odwiedzin na Przeglądach Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu, a drugiego z realizacji *Opentańca*.

Prezes Maciej Hamankiewicz i Kasia Strzałkowska towarzyszyli mi w rozmowie z Jurkiem Woy-Wojciechowskim, który, mając szerokie koneksje w środowiskach artystycznych, miał nam pomóc w znalezieniu konferansjerów i solisty, który by podołał zaśpiewaniu *Pieśni Lekarzy* w nowej aranżacji. I tak się stało. Kolejne telefony do Piotra Fronczewskiego, doktor Ewy Wiśniewskiej (zawsze tak się do pani Ewy zwracam) i Wiesława Ochmana należą do tych, które będę wspominał. Wszyscy odmówili honorarium.

Montaż scenografii a dodatkowo w foyer wystaw – malarskiej i fotograficznej rozpoczął się bardzo wcześnie rano. Był mroźny dzień grudniowy. Mikołajki. Asia Maślankowska (moja prawa ręka z Komisji Kultury) dostała plik kluczy do pomieszczeń, w których kolejno lokowaliśmy wykonawców. Na początek przyjechała ekipa techniczna orkiestry, a potem instrumentalisci. Janusz Radek rozśpiewywał się na korytarzach. Tapicerzy przykrywali podłogę wykładziną; monterzy zawieszali sztandary na sztankietach; przygotowywano ekran, do którego sprowadzono specjalnej mocy rzutnik; ustawiano światła, rozkładano kable kamer i nagłośnienia; próbowano

przesuwanie wózków scenicznych, na których miała ustawić się orkiestra. Inspicjent sprawdzał scenariusz. W tym czasie w Hotelu Victoria toczyła się już uroczysta sesja historyczna pod kierunkiem Zyty Kaźmierczak-Zagórskiej.

Przed występem w Kościele św. Krzyża wpadł na próbę chór Okręgowej Izby Lekarskiej w Warszawie. Beata Herman po kilku minutach rozmowy z Tomaszem Filipczakiem była gotowa ze swoją śpiewającą grupą. Wiesław Ochman rozpoczął punktualnie. Na scenie zasnutą foliami Ewa Strzelecka stawiała kubiki wypełnione różami, a próba wypadła fatalnie. Nerwy.

Kiedy rozpoczynała się msza w intencji lekarzy w teatrze pojawili się: Ewa Wiśniewska i Piotr Fronczewski. Zajęli garderoby na poziomie sceny. I czekaliśmy aż przyjdą, gdyż scenariusz oraz tekst do czytania mieli przekazany dziesięć dni wcześniej. Nagle Asia dzwoni, że mam natychmiast pojawić się w garderobie konferansjerów. Biegnę. Skracanie i dopowiadanie przygotowanego materiału... W pewnym momencie doktor Ewa mówi: *Panie doktorze, niech Pan tylko nie wyobraża sobie, że będzie nas Pan reżyserował. My jesteśmy zbyt wybitnymi aktorami.* Chwila konsternacji, a potem śmiech, który rozszedł się po zakamarkach teatralnych.

– *Przed Państwem moja wybitna koleżanka, dla mnie wciąż piękna i młoda dziewczyna Ewa Wiśniewska* – próbował tekst pan Piotr na scenie, a zza niej słyszał krzyk: *Piotr, ty nie mów o mnie wybitna.* Na co Fronczewski: *A jak ja to powiem Ewuniu, to co Ty mi zrobisz?* (i znów śmiech).

Do realizacji widowiska potrzebne są wrażenia wizualne, kilka momentów wzruszających, element podniosły, historyczne wspomnienie i wspólne wykonanie czegośkolwiek. Oprawą graficzną zajął się Piotrek Żylicz. Okazało się, że zrobił to doskonale. Dźingiel na podstawie projektu Magdy Gałat, sentymentalne wspomnienie twarzy umarłych doktorów i film o historii samorządu. Dziesięciominutową projekcję z materiałów archiwalnych *Gazety Lekarskiej* przygotowywaliśmy przez trzy miesiące w kilku studiach: fotograficznym, reklamowym, gdzie

zrobiono skany starych gazet; nagrań, z wyczelowanym co do jednej sekundy tekstem spikerskim; by na końcu osiągnąć efekt projekcji dokumentalnej z muzyką i dynamiką zdarzeń.

Goście zbierali się na widowni. Kurtyna poszła w górę. Stałem obok realizatorów światła i dźwięku. Wszystko poszło jak z płatka. Dzień wcześniej odbywał się Konwent Prezesów, na którym powiedziałem, że pierwsza część potrwa siedemdziesiąt minut, co przyjęto z rozbawieniem. Dotychczasowe Jubileusze rozwlekają się w czasie przemówień i niespodzianek.

Wzruszeniem na koniec miało być przekazanie *Pieśni Lekarzy* Alicji i Jerzego Woy-Wojciechowskich dla całego środowiska lekarskiego. Jerzego na scenę wywołali jego przyjaciele Ewa Wiśniewska i Piotr Fronczewski oraz mix wykonań *Kormoranów* od Carrerasa do Krystyny Wieczorek. Kiedy następował uroczysty akt darowizny, w dymach wjechała orkiestra i wkroczył chór, pojawił się Wiesław Ochman. Na ekranie wyświetlono tekst poloneza lekarskiego. Na koniec sala stała. Siedemdziesiąt minut od ostatniego dzwonka!

Koncert Janusza Radka w drugiej części nie jest do opisanania, jest do ponownego przeżywania, wsłuchiwania się i śpiewania. Owacja, bisy i wspólne wykonanie przeboju węgierskiego zespołu Omega, pozostawiło w gościach niezatarte wrażenie święta. Zanim jednak Janusz Radek zaczął występować, nie odmówiłem sobie wejścia na scenę. Naprawdę tam byłem w 250. sezonie artystycznym: witając, dziękując, zapraszając.

Demontaż trwał kilka godzin. Żegnałem się ze wszystkimi, którzy mi zaufali. Jeden z pracowników Teatru Narodowego podszedł, podał rękę i powiedział: *Dziękujemy za to, z jakim szacunkiem podchodził pan do naszej pracy, dziękujemy, że mogliśmy pracować w tak komfortowych warunkach.*

Poranek następnego dnia zakończył się propozycją profesorów Marka Rudnickiego i Romualda Krajewskiego, bym zajął się organizacją inauguracji IX Kongresu Polonii Medycznej w Teatrze Narodowym...

PRZERYWNIK

Szanowny Panie Doktorze!

Szczerze gratuluję Panu wspaniałej reżyserii galowego koncertu IX Kongresu Polonii Medycznej, który obfitował w fantastyczne, a niekiedy nawet brawurowe wykonania wokalne i chóralne lekarzy na tak Dostojnej Scenie, jaką jest Teatr Narodowy.

*W mojej ocenie, **takiej Gali w izbach lekarskich jeszcze dotychczas nie było!** Jestem, wraz z moimi licznymi przyjaciółmi z całego świata, których znowu spotkałem w Polsce, pod wrażeniem tego wydarzenia i Pańskiego zaangażowania w to dzieło.*

W swoim i ich imieniu dziękuję Panu Doktorowi.

Serdecznie pozdrawia: Marek Stankiewicz

Beatko: Maestro, Dyrektorze Artystyczny Koncertu Inauguracyjnego IX Kongresu Polonii Medycznej w Warszawie! Chciałbym za Twoim pośrednictwem podziękować wszystkim za współpracę przy realizacji Projektu w Teatrze Narodowym.

Panie i Panowie:

Justyna Chelmińska, Beata Herman, Elżbieta Willim, Bożenna Sawicka, Ewa Czyżewska, Joanna Krause, Dorota Dzielak-Szczepan, Małgorzata Wawruk, Elżbieta Czechowska, Dobrochna Martenka, Ruben Silva wraz z całym zespołami i osobami odpowiedzialnymi za ich działalność, Andrzej Seweryn, Hanna Zajączkiewicz, Anna Kutkowska-Kas, Aleksandra Bakun oraz Ewa Strzelecka (scenografia, organizacja wystaw), Piotr Żylicz, Krystian Ferens (grafika), Tomasz Zalewski (akustyka), Joanna Maślankowska (logistyka kulis), Andrzej Wąsik (menedżer zespołu pracowników Teatru Narodowego ze szczególnym uwzględnieniem Panów: Leszka, Krzysztofa, Zbyszka i Mariusza), Paweł Jastrzębski i Joanna Kalupa (menedżerowie Kongresu), preses Izby warszawskiej Andrzej Sawoni, który uwierzył pomysłodawcom i zgodził się na realizację Koncertu, Marek Rudnicki (bez którego kongresu by nie było), Maciej Hamankiewicz (szef).

ANTRAKTY

Powiedzieć dziękuję, to tak jakby nic nie powiedzieć! Jakie jednak inne słowa lub gesty mogą oddać uznanie, szacunek, wdzięczność za rzetelnie wykonaną pracę. Dziękuję więc wszystkim i każdemu z osobna, jednocześnie przepraszając za wszelkie niedogodności, pokrzykiwanie, trzymanie w ryzach i na niewygodnych miejscach zaplecza teatralnego. Dziękuję i przepraszam z nadzieją, że wysłicie Państwo z gmachu Teatru Narodowego wzmocnieni wiarą, że jeśli się tylko chce, można zrealizować nawet najbardziej niewiarygodne marzenia. Trzeba jednak pamiętać, że nie byłoby spełnień bez profesjonalnej pomocy ludzi teatru: cierpliwych, wyrozumiałych, czasem pobłażliwych wobec dziwacznych pomysłów realizacyjnych.

Sukces artystyczny a nie sukces organizacyjny zdecyduje o zapamiętaniu IX Kongresu Polonii Medycznej. Życzę Państwu sukcesów: Wysokiego C.

Z szacunkiem: Jarek Wanecki

P.S. Odczytajcie Państwo ten list swoim zespołom i współpracownikom.

Magdo, koledzy – prezesi okręgowych izb lekarskich w Polsce!

Przesyłam list Marka Stankiewicza po Koncercie i Gali w Teatrze Narodowym. Chciałbym jednoznacznie w oparciu o napływające gratulacje podziękować Wam za wkład w budowę kultury w poszczególnych okręgach. Za koncert dziękuję szczególnie: Krzyszłowi Kordelowi, z którego Izby przyjechały orkiestry z Dobrochną i Elą oraz chór Justyny Chelmińskiej; Jackowi Kozakiewiczowi za wspianą zespół z panią Dorotą, który tworzył niezwykłą atmosferę podczas prób i spotkań integracyjnych; Januszowi Spustkowi – za genialny i ożywczy występ z Wele wele wetką; Jurkowi Jakubiszynowi za panią profesor, jej spokój i profesjonalizm; Markowi Zabłockiemu za Małgorzatę Wawruk, która mimo rodzinnych problemów była z nami i Olą Bakun, która włożyła wiele trudu, aby wszystko poszło w dobrym kierunku; Andrzejowi Sawoniemu za to, że mi uwierzył i Beacie Herman, która ze strony Warszawy była mózgiem artystycznym koncertu; Staszowi Prywińskiemu za świeżość zespołu pod bardzo

młodą batutą i Januszowi Kłoczko za panią profesor Sawicką – niezwykle wymagającą i życzliwą oraz doskonały występ Białegostoku. Ponadto dziękuję Magdzie Wiśniewskiej – bo co prawda jej chór nie było, ale wszyscy wykonali Magnificat w opracowaniu dyrygenta szczecińskiego chóru Pana profesora Handke i bez Jego pracy koncert byłby niemożliwy.

Pozdrawiam: Jarek Wanecki

Zaczęło się jak zawsze od awantury. Beata nie chciała się zgodzić na postawienie orkiestry na ostatnim piętrze ośmiokondygnacyjnej konstrukcji, którą wymyśliłem, aby dwieście czterdzieści osób z chórów i orkiestr lekarskich zmieścić na scenie i pokazać je w pełnej krasie. Uważała, że nie można poprowadzić muzycznie zespołów przy tak słabej komunikacji z dyrygentem. Poddawała się i wygrała!

Oficjalną część poprowadził Andrzej Seweryn. Między zapowiedziami recytował specjalnie wybrane fragmenty *Pana Tadeusza*. Przemówienia przeplataliśmy muzyką Kilara, Chaczaturiana i Komedy. Po przerwie razem z Olą Bakun z Olsztyna, na podstawie przygotowanych przez nią tekstów konferansjerskich, komentowaliśmy kolejne utwory. Finałowa odsłona przyjęta została huraganem braw. Prezentowały się na niej trzy orkiestry lekarskie, osiem zespołów chóralnych z wątpiącymi do ostatniej chwili dyrygentami, sopran-laryngolog Hania Zajączkiewicz i maestro Beata Herman. *Magnifikat* zabrzmiał imponująco!



NACZELNA
IZBA LEKARSKA

WOYA WINA

BENEFIS JERZEGO WOYA-WOJCIECHOWSKIEGO



Gazeta
Lekarska

ELABORACJA

MOJA WOYA WINA!

13 grudnia 1981 roku zawiesił, a w konsekwencji zakończył swoją działalność Teatrzyk Piosenki Lekarzy *Eskulap*. Stan wojenny ostatecznie przerwał niezwykle artystyczne tournée rozpoczęte przez studentów Akademii Medycznej w Warszawie pod przywództwem Jerzego Woy-Wojciechowskiego. Przez 30 lat zespół wystąpił cztery tysiące razy, pozostawiając po sobie nie tylko wspomnienia, ale także zdjęcia, filmy, książki, plakaty, płyty, teksty i nuty.

Tyle lat, tyle lat, lecz czas nam nie zaszkodził

*Wokół nas się zmienia świat – my jesteśmy młodzi*²⁶

Eskulapa założyli laureaci I Uczelnianych Eliminacji Zespołów Artystycznych. Wokalny kwartet męski, czyli panowie: Józef Antepowicz, Marcel Wróbel, January Jarczewski, Zbigniew Błoński połączył swoje siły z kwartetem *Cztery szmery*, który tworzyły panie: Hanna Przekwas, Krystyna Wieczorek, Ingeborga Kozłowska i Halina Snopkiewicz. Za fortepianem zasiadł Jerzy Woy-Wojciechowski. Tuż przed pierwszymi wakacjami zdobyli III miejsce w warszawskim konkursie Studenckich Zespołów Artystycznych. Rok później we Wrocławiu byli już w ogólnopolskiej czołówce. W czasach wzmożonej agitacji i propagandy, trudno było przebić się z własną twórczością. Dopiero w 1955 roku pozwalają sobie na autorski program. Polityczna odwilż daje oddech. Rodzi się konwencja teatrzyku piosenki, w którego składzie zostaje Jurek Woy, Krystyna Wieczorek i Józef Antepowicz. Przez kolejne lata przewiną się na krócej, na dłużej lub na zawsze lekarze: Maciej Brodowski, Tadeusz Grigo, Jerzy Jastrzębski, Jerzy Kawiecki, Kofi Kordzi z Togo, Felicja Łapkiewicz, Tadeusz Łojek, Krystyna Oleszczuk-Raszke, Jerzy Meissner, Jan Młynarski, Konstanty Mrozek,

26 Wszystkie cytaty z repertuaru Teatrzyku Piosenki Lekarzy ESKULAP

ANTRAKTY

Kazimierz Niemczewski, Andrzej Niklewski, Krystyna Oleszczuk, Jerzy Proniewski (razem z żoną Wiesławą zasiadającą co wieczór do projekcji slajdów), Jerzy Przedlacki, Ferdynand Radziwiłł, Julian Raszke, Victor Randall Sackey jr. z Ghany, Elżbieta Sawicka-Chitryn, Michał Sepiōła, Zbigniew Sołownik, Żana Stankowska-Kantecka z Bułgarii, Karol Taube, Roman Świącicki, Janusz Wiśniewski, Antoni Zienkiewicz. Nową gwiazdą zostaje Elżbieta Tuszyńska. Na afiszach są także farmaceuci: Hanna Łuszczuk (Rek), Romuald Quas de Penno, Adolf Ubysz i wiele, wiele innych osób z kręgu przyjaciół i zawodowych artystów. Od 1969 roku filarem literackim zostaje Alicja Kozłowska (Woy-Wojciechowska), która prowadzi koncerty, pisze teksty i kolejne scenariusze.

Grunt, żebyśmy zdrowi byli w domu i urzędzie,

Grunt to zdrowie moi mili, reszta jakoś będzie.

Grunt, żebyśmy wino pili, jeśli jest przyczyna

Grunt, żebyśmy zdrowi byli. Wiwat medycyna.

W 1957 roku *Eskulap* po raz pierwszy występuje w programie telewizyjnym. Konkurs ***Zapraszamy na estrady*** prowadzi Kazimierz Rudzki. Odbierając dyplomy lekarskie, członkowie zespołu stają przed dylematem jak pogodzić medycynę z estradą? A kalendarz z każdym dniem pęcznieje. Ściana w sali prób w przychodni rejonowej przy ulicy Jasnej w Warszawie (potem w Klubie Medyka) zapełnia się kolejnymi dyplomami zwycięskich konkursów. Ślą zaproszenia domy kultury i stacje radiowe. Kuszą wyjazdy zagraniczne.

Różne troski macie w domu, lecz zostawcie je,

tutaj każdy musi śmiać się, czy chce, czy też nie.

Niech się pani już nie dąsa i niech pan podkręci wąsa,

ten jest młody, ten jest zdrowy, kto się umie śmiać.

Przeglądam ważniejsze wydarzenia w dziejach *Eskulapa*. Koncerty niemal w całej Polsce. Coraz liczniejsze zagraniczne tourné, w tym ogromny artystyczny sukces wśród Polonii amerykańskiej i kanadyjskiej. Niebagatelny wkład w budowę Centrum Zdrowia Dziecka, w zamian za bilety-cegiełki. W tle solowe sukcesy, które nie zaburzają w żaden sposób pracy zespołu. Ogromne zaangażowanie w projekt Domu Lekarza Seniora, którego kulminacją jest gala w Sali Kongresowej pod niewyobrażalnym dzisiaj tytułem *Stolica Swoim Lekarzom*, z udziałem wielkich gwiazd polskiej estrady i teatru.

*Tyle lat, tyle lat, aż człowiek wprost się lęka,
Nie ma zysków, nie ma strat, tylko jest piosenka...*

A wszystko zaczęło się w 1951 roku od słów kończących cenzorskie przesłuchanie chóru rewelersów: *Niech zagrają na Sylwestra, a potem się ich rozwiąże...*

Myśl organizacji benefisu Prezesa Polskiego Towarzystwa Lekarskiego miała na celu podziękowanie Jerzemu Woy-Wojciechowskiemu za siedem kadencji pracy i niebagatelny wkład w odrodzenie izb lekarskich w 1989 roku. I tak Komisja Kultury Naczelnej Rady Lekarskiej przystąpiła do nowego zadania. Przedsięwzięcie miało różne oblicza.

Strona miła, nie zapowiadała stron pozostałych. Gościnny dom na Służewcu odwiedzaliśmy razem z szefową Klubu Lekarza i sekretarzem KK NRL Joanną Maślankowską, przeprowadzając rekonesans możliwości: nagrania filmowe i radiowe, zdjęcia, wspomnienia, książki i nuty. Opowiadania przy ciastku i kawie mogłyby się toczyć do dzisiaj, ale terminy były nieubłagane, mimo że dwukrotnie zmieniane.

Narastanie przerażenia zaczęło się na etapie scenariusza i towarzyszyło innym stronom aż do końca. Ogarnięcie profesorskiego dorobku wymagało niemałej gimnastyki, a pomysły trzeba było zamknąć w 150-minutowym koncercie. Liczenie zdarzeń

scenicznych zakończyło się na numerze 75. Wypełnienie treścią każdego punktu miało zainteresować ucho (muzyka), oko (scenografia, grafika multimedialna, światło, ruch sceniczny), język (coś na ząb zawsze łagodzi obyczaje). Całość miała nie być nudna, mimo elementów, których samo nazwanie już jest początkiem ziewania.

Strona organizacyjna zajmuje zawsze dużo czasu. Negocjowanie teatru, cateringu, druk książki, tłoczenie płyt. Finansowanie: uchwały, zgody, sponsoring. Logistyka prób i harmonogram budowy scenografii. Detale decydują o całości. Ale na szczęście organizować się lubimy.

Strona artystyczna. Postanowiłem zaprosić młodych wykonawców, którzy odtworzą *Teatrzyk Piosenki Lekarzy Eskulap* sprzed kilkudziesięciu lat. Nie było to łatwe, ale jak się okazało trafne. Nowe wykonania zapewniły efekt świeżości. Do tego dodaliśmy śpiewających zawodowo lekarzy. Wisienką na torcie i rozładowaniem początkowego napięcia stał się występ dziecka z piosenką *Duże różowe słońce* – hymnem UNICEF. Wybraliśmy najbliższą, czyli Aśki córkę Marysię, spędzającą w izbie czas, gdy mama uczestniczy w różnych naradach i spotkaniach. Scenografię zbudowała niezawodna Ewa Strzelecka. Akcję umieściliśmy w bibliotece. Potrzebowaliśmy jeszcze super-akcentów, czyli nadzwyczajnego wspomnienia. Ten element zapełniły gwiazdy: Ewa Śnieżanka, Krystyna Wieczorek, Wiesław Gołas, Joanna Racewicz i Piotr Fronczewski oraz liczne grono innych artystów, którzy wystąpili na wielkim ekranie.

Strona towarzyska wydawała się najtrudniejsza. Organizacją widowni w Teatrze Capitol w Warszawie zajęły się pracownice biura Płockiej Izby Lekarskiej. A praca nie była łatwa. Wszystko spinała do ostatniej chwili Olga Gajewska. Fotele zajęli: rodzina, przyjaciele, profesorowie, władze samorządu lekarskiego i Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. Nie zabrakło celebrytów – benefisy karmią się takimi smaczkami.

Strona sentymentalna. Koncert opisywał w pięciu częściach życie zawodowe i twórcze kompozytora *Kormoranów*. Przemówienia nie okazały się nudne. Wszyscy wpisali się w nastrój jubileuszu bez zadęcia i z mocnym akcentem muzycznym. Woj był i zdenerwowany na początku, i wzruszony na końcu.

PRZERYWNIK

Strona osobista. Kolejny raz profesjonalna scena uwierzyła amatorom. Wspomnieniem tej pracy nie będzie ból nóg Asi biegającej po wszystkich kondygnacjach teatralnych, ani mój ból wszystkich mięśni połączony z pustką w głowie zanim zabrzmi pierwszy takt. Wspomnieniem tej pracy jest satysfakcja, że znów się udało.

Tyle lat, tyle lat, Woy z nami a my z Woyem

Zawirował wokół świat, zostały przeboje...



WENA I PARNAS

*Był bowiem profesor Andrzej Szczeklik – jak pisał we wstępie do książki **Śluch absolutny** Jerzy Illg – postacią nieomal mityczną. Dla wszystkich, którzy znali go bliżej czy choćby zetknęli się z nim przelotnie, pozostanie niepojętą zagadką, jak potrafił łączyć wszystkie swoje zajęcia: kierowanie kliniką (i użeranie się z urzędnikami szpitalnej administracji), pracę naukową (był najczęściej cytowanym za granicą polskim uczonym), starania o granty i aparaturę, światowe kongresy i wykłady, aktywną działalność w Polskiej Akademii Umiejętności, członkostwo w Papieskiej Akademii Nauk, rozległe lektury, twórczość literacką (książki, eseje pisane do kolejnych numerów **Zeszytów Literackich**, wieloletnia praca nad pomnikowym podręcznikiem chorób wewnętrznych, po jego śmierci nazywanym po prostu *Interną Szczeklika*). W jaki sposób znajdował ponadto czas na występy Piwnicy pod Baranami, wyjazdy na narty, spotkania z przyjaciółmi – przede wszystkim jednak dogłądanie pacjentów, których odwiedzał czasem kilkakrotnie: wczesnym rankiem, jeszcze przed odprawą, w ciągu dnia i nierzadko jeszcze wieczorem?*

Przyszedłem na spotkanie grona jurorów 6. edycji Konkursu Literackiego **Przychodzi wena do lekarza**, onieśmielony nazwiskami osób, które mimo rozlicznych zajęć, potwierdzają swoją ciężką pracą przywiązanie do *mitycznej nieomal postaci* profesora Andrzeja Szczeklika. Anna Dymna spieszyła się na próbę **Wesela** Wyspiańskiego w reżyserii Jana Klaty, a mimo to, a może *mimo wszystko* z wielką skrupulatnością omawiała każdy wybrany utwór. Ewa Lipska wróciła właśnie z Moskwy, gdzie miała spotkania autorskie, ale wspominała także pracę ze Zbigniewem Preisnerem przy koncercie dla Wrocławia – Europejskiej Stolicy Kultury, pytając **Dokąd?** Pytanie okazało się adekwatne, także w trattorii Soprano. Maria Szczeklik, żona profesora, opowiadała o skromności męża. Anna Wierchowska – Woźniak, skrzętnie notowała uwagi i liczyła głosy. Waldemar Hładki

z entuzjazmem opowiadał o przygotowaniach do 50-lecia Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, chwając literacki dorobek środowiska. Adam Zagajewski przepraszał, że do Słowackiego nie przyjdzie, ale w tym samym dniu i godzinie przyznana będzie Międzynarodowa Nagroda Literacka im. Zbigniewa Herberta w warszawskim Teatrze Polskim. Bronisław Maj ze swadą opowiadał anegdoty i rozdzierał szaty w obronie autorów, którym serdecznie zazdrościł poetyckich fraz. Piotr Gajewski (Medycyna Praktyczna), zadawał pytania o formułę konkursu – zmieniać czy nie zmieniać? Dosiadłem się do tego grona, przysłany z Komisji Kultury Naczelnej Rady Lekarskiej, byśmy wspólnie toczyli świeżą krew literatury!

Po burzliwej wymianie zdań, w atmosferze przekomarzania i głośnego czytania fragmentów nadesłanych prac, aby słuch przekonał nas do słów, wybraliśmy dziewięcioro laureatów. Konkursowi rokrocznie towarzyszy wydawnictwo z nagrodzonymi utworami nie tylko lekarskiej *Weny*, ale także Ogólnopolskiego Konkursu Poezji Osób Niepełnosprawnych *Słowa, dobrze, że jesteście*. Przypadło mi w udziale napisać wstęp do nowej antologii, który wykorzystaliśmy podczas Gali w Teatrze Słowackiego, którą realizowałem.

Zgasły światła widowni i niepowtarzalne dzieło Henryka Siemiradzkiego ożyło wzbogacone tekstem czytany przez aktora Narodowego Starego Teatru, Aleksandra Fabisiaka: *Stoję za kurtyną w krakowskim Teatrze Słowackiego, malowaną olejem na wielkim płótnie. Barwna alegoria dzieli przestrzeń między widownią a sceną. Na środku Natchnienie kojarzy Piękno z Prawdą, poniżej Komedia w towarzystwie błazna. Po lewej Tragedia spogląda na płaczącego Erosa, a na prawo Zbrodnie, Występek, Furie i Widma. Dalej Psyche, Muzyka, Śpiew. Pomnik Terpsychory i orszak Bachusów wokół. Ileż postaci, by pokazać Człowieka?*

Stoję przed diagnozą pisaną urzędowym językiem międzynarodowych kodów. Karta informacyjna podzieliła przestrzeń między lekarzem a pacjentem. Na środku Nadzieja. Po prawej Strach. Po lewej Decyzja. Dalej Dylemat i orszak niekończących się Pytań. Bezgłośnie wołam Samarytanina.

Wena to synonim Natchnienia, ale także łacińska „żyła”, którą krew mozolnie wraca do serca. Wena to alegoryczne naczynie, wezwanie profesora Andrzeja Szczeklika: „Wpuścić snop światła w ciemności na zawsze zamknięte powłokami ciała! Otworzyć! Zobaczyć!”.

Podnieśmy kurtynę! Otwórzmy kolejny tom, gdzie epilog sztuki i medyczna epikryza, po żmudnych poszukiwaniach, niezmiennie dyktują słowa: dobrze, że jesteś, Człowieku!

Możliwe, że więcej ładniejszych jest miast, ale tylko we Lwowie na żelaznej kurtynie, chroniącej scenę przed pożarem, Stanisław Jasiński przykleił płótno z panoramą grodu wielu kultur, narodowości i dramatycznych doświadczeń, którego początki sięgają roku 1251. Przez malowane, masywne ogrodzenie mającą wieże ratusza, kościołów, cerkwi, synagog i kopiec na horyzoncie. W miejskiej zabudowie trudno dostrzec wieńczący Wały Hetmańskie na Prospekcie Swobody gmach Teatru Opery i Baletu, gdzie na prośbę Prezesa Naczelnej Rady Lekarskiej – Macieja Hamankiewicza z ogromnym wysiłkiem zorganizowałem jubileuszową galę 150-lecia Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego. Wieczór poprowadziłem z Zosią Iwanową.

Za pierwszą lwowską kurtyną odsłania się druga, porównywalna z krakowską, której twórcą jest również Henryk Siemiradzki. Na Parnasie przed ołtarzem greckiego boga Słońca i patrona sztuk pięknych Apolla, Pytia przycupnęła na zdobnym trójnogu, by jak co dzień z oparów ziemi wieszczyć przyszłość.

Oto 2 grudnia 1867 roku w sali radnej Ratusza Lwowskiego 47 lekarzy wpisało się do pamiątkowego aktu założycielskiego, postanawiając zawiązać Towarzystwo Lekarskie, które odegrało ważną rolę w rozwoju nauki polskiej. Do 17 września 1939 roku towarzystwem kierowało 58 prezesów, zmieniających się rotacyjnie profesorów fakultetu medycznego. Był wśród nich Ludwik Rydygier, który jako pierwszy na świecie przeprowadził resekcję żołądka w przebiegu choroby wrzodowej.

ANTRAKTY

W nocy z 3 na 4 lipca 1941 roku w wąwozie na Wzgórzach Wuleckich na podstawie rozkazu Heinricha Himlera żołnierze niemieccy zamordowali 23 profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza. Na wieczny dyżur odeszli także lekarze. W Operze Lwowskiej wspomnieliśmy wszystkich dzięki działalności Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie, założonego w 1991 roku.

Na próbie stanąłem przed kurtyną Siemiradzkiego, malowaną olejem na wielkim płótnie. W delficką wróżbę wsłuchały się wielkoskrzydła Poezja i ważąca słowa sprawiedliwa Temida. Na kamiennym proscenium zebrały się odświętnie ubrane ukochane córki Zeusa – Muzy. Nie wszystkim jest do śmiechu, zwłaszcza tym, które kątem oka widzą kłębiący się tłum ludzi. Nazywają ich Gwałt, Zbrodnia, Klęska i Rozpacz. Klio trzyma tabliczkę z łacińską sentencją: *Tak było, tak jest, czy tak będzie zawsze?* i znacząco patrzy na widownię. Oto Fortuna wysypuje złote monety z rogu obfitości, a ponad nią leci Sława z surmą i wieńcem laurowym, a dalej Rozkosz sypie kwiaty Erosa. Iluzja bogactwa, rozgłosu i przyjemności.



POMIĘDZY

Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku
Dyrektor Naczelny i Artystyczny
Marek Mokrowiecki

Witold Gombrowicz



OPERETKA

Premiera 2 lutego 2008 - 2 (268) premiera sezonu 2007/2008

DZIEŃ W TEATRZE

Dzięki uprzejmości teatru miałem możliwość oprowadzenie po zakamarkach płockiej sceny uczniów szkoły podstawowej z Gostynina, którzy obejrzeni wcześniej legendę o *Złotej kacze*²⁷. Zajrzeliśmy z dziećmi do pracowni dekoratorskiej i fryzjerów. Swoje królestwa pokazali akustycy i oświetleniowcy. Gong wydał piękny dźwięk po uderzeniach inspicjenta. Maszynista podnosił i spuszczał kurtynę. A nad głowami *fruwały* sztankiety z wysłonami, ekranami, fragmentami scenografii i mnóstwem reflektorów.

Kilkadzieści razy w sezonie buduję *czwartą ścianę* polskich teatrów. Czasami zaglądam za kulisy, a z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru mam zaszczyt stać na scenie i wręczać Srebrne Maski Płockiego Towarzystwa Przyjaciół Teatru. Na obleganych przez publiczność spektaklach przysiadam na straponterze, co zgodnie z definicją Tadeusza Nyczka oznacza *urządzenie znane głównie z autobusów i pociągów, inaczej siedzenie bez oparć przymocowane sprężynowo do ściany korytarza lub podstawowego fotela. Ocalało w niektórych teatrach, bo widzowie, jak się okazuje, mniej się zmieniają niż pojazdy ruchu zbiorowego. Straponteny teatralne przyłączone są do obu skrajnych foteli każdego rzędu, od strony przejść. Są numerowane i odpłatne*.

Dostawka wielokrotnie była moim marzeniem. W latach studenckich oszczędzałem dzięki niej na bilecie, ale częściej pozwalała wejść do teatru w ostatniej chwili, przycupnąć gdziekolwiek, rozejrzeć się i po ostatnim dzwonku zająć wolne miejsce na widowni. Tak obejrzałem swoje pierwsze przedstawienie Przeglądu Szkół Teatralnych w Łodzi. Ostatnio korzystałem z dodatkowego krzesła podczas koncertu Płockiej Orkiestry Symfonicznej, której repertuar przyzwyczaja do *po brzezi* wypełnionej sali.

U Krystyny Jandy w Teatrze Polonia strapontem jest kolorowa poduszka a siedziskiem strome schody. W łódzkim Teatrze Wielkim na dostawkach czuwają panie

27 Jan Polak, Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku, Jan Polak

bileterki, zwłaszcza podczas przedstawień szkolnych. W Piwnicy pod Baranami na pół godziny przed rozpoczęciem kabaretu cała widownia usuwa się na rzecz napływającej rzeki kolejnych chętnych, a krzesło można postawić praktycznie na scenie.

Na dobre spektakle nie ma nawet dostawek, chociaż zawsze namawiam do wytrwałości, gdyż w moim przekonaniu trzeba mieć wielkiego pecha, żeby nie zdobyć dwóch biletów *rzutem na taśmę*. Warunkiem jest jednak determinacja pod okienkiem kasowym, którą zastępujemy spokojną rezerwacją telefoniczną lub internetową.

Dziecięcą wycieczkę zakończyła wizyta w garderobie złotej kaczki²⁸. Były autografy, zagłębienie do szaf i strojenie min przed aktorskim lustrem.

Podglądanie warsztatu pracy innych profesji, zwłaszcza artystycznych, jest bardzo intrygujące. Przeistaczanie się pomysłu, scenariusza i wizji autorskiej w widowisko, bywa niejednokrotnie ciekawsze niż sam spektakl. Tworzenie będące mieszanką zabawy, niepokoju, eksperymentów i ciekawości kończy się podczas premiery. Wielu aktorów od tego miejsca odtwarza wyuczoną rolę, nie kreując niczego od nowa. Mimo to inscenizacje różnią się od siebie, jednego wieczoru przyjmowane z aplauzem, innego odrzucane.

Reakcje polskiej publiczności są raczej stonowane, chociaż zależą od miejscowości, sposobu zorganizowania widowni, pokazów premierowych oraz *zielonych spektakli*, wystawianych na pożegnania tytułu z afiszem. Ostatnie warto oglądać ze względu na psikusy, które aktorki przygotowują sobie nawzajem, bawiąc się rolami, zmieniając tekst, specjalnie się *wysypując*. Zmienną konwencję mają również spektakle *zamknięte*, zupełnie nieprzewidywalne, gdy widownię stanowią koledzy, jak podczas znanych benefisowych spotkań w krakowskim Teatrze STU²⁹.

Teatr zakulisowy ma swoje własne ścieżki i zabobony. Jak pisze wspomniany już Tadeusz Nyczek: *przesąd teatralny, ma moc zwyczaju przekazywanego z pokolenia*

28 Garderoba Katarzyny Anzorge

29 w styczniu 2018 roku Konwent Prezesów izb lekarskich uczestniczył w przedpremierowym spektaklu Wiedźmy Krzysztofa Jasińskiego zorganizowanym przez Andrzeja Matyję.

na pokolenie, więc dziedzictwa już świętego, stąd tak niechętnie na scenie pojawia się trumna, zwiastując rychłe odejście dyrektora (dlatego Albertynka z plockiej *Operetki* kręci się w koszu na zakupy, zamiast w trumnie). W teatrze nie wolno gwizdać (żeby nie być wygwizdanym podczas przedstawienia), należy przydeptać egzemplarz sztuki, która spadła na podłogę (aby jej nie *położyć*). Dobrze jest unikać rozsypywania pudru i rozkładania parasolek. Zdarzenia nieszczęśliwe lub śmieszne obrastają potem legendami, przekazywane są w anegdotach, stanowią kodeks pouczeń, jak zachować się na scenie, by wyczarować sukces.

W Stanach Zjednoczonych o powodzeniu widowiska decyduje recenzja, w Polsce odwrotnie. Przyznaję, że spektakle najbardziej *obsmarowane*, bywają jednymi z ciekawszych z pełną salą i zachwytem w foyer, a te, które krytyka wychwala jako odkrywcze, są często ciężkostrawne i nudne.

Teatr nie zawsze lubi swoich gości. W terminologii aktorskiej *zabie oko* określa kłopotliwego widza: krytyka, dziennikarza, znawcę, nieraz bliskiego kolegę, przed którym pragnie wypaść się jak najlepiej. Wówczas trema rośnie. Kulisy mobilizują się³⁰.

Przerwa w zajęciach dobiegła końca. Uczniowie wrócili do szkoły, aktorzy do przygotowywania ról, a ja do pacjentów.

30 Jednym z najważniejszych recenzentów wśród moich kolegów jest Marek Jodłowski – sekretarz Naczelnej Rady Lekarskiej, którego krytyka jest zawsze analizą, a nie pochlebstwem lub przyganą.

ROZMOWA O ZDROWIU: Na marginesie priorytetów – Anna Lella

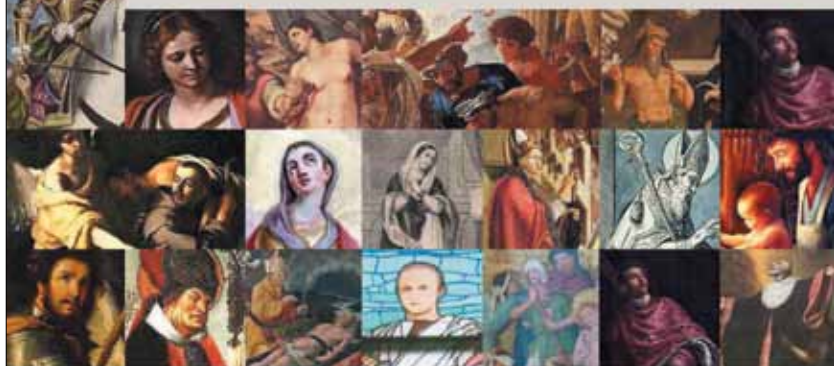
11 • 2013

Gazeta Lekarska

PISMO IZH LEKARSKICH



Wszyscy święci chorób i lekarzy



Wybory samorządowe
Korespondencyjnie
na TAK!

s. 34

Stomatologia
Zwyciężyć z siecią – historia
pewnego znieśławienia

s. 44

Ochrona zdrowia w UE
Japonia – kraj zadowolonych
stulatków

s. 46

MODLITWA O ZDROWIE

Od wieków procesom terapii towarzyszy modlitwa. Wśród świętych lekarze i lekarze dentyści mają swoich patronów, a pacjenci orędowników w chorobie, do których zanoszą codzienne prośby o uzdrowienie.

Na ścianach sal szpitalnych, w przychodniach, sanatoriach i w gabinetach lekarskich często widzimy krzyż. Nadal można zobaczyć przy łóżkach chorych przyklejone do stolików niezdarnie i dawno temu obrazki świętych. Ciekawa jest historia sportretowanych tam ludzi, wyniesionych na ołtarze. Warto się nad ich życiem i niejednokrotnie męczeńską śmiercią choćby na chwilę zatrzymać. Galerie malarstwa, obrazy i rzeźby zdobiące bazyliki, sanktuaria, kościoły i kapliczki w różnych zakątkach świata, będące świadectwem dziedzictwa kulturowego ludzkości, dopowiedzą resztę.

W parafii św. Wojciecha w Płocku lekarze i lekarze dentyści ufundowali witraż poświęcony św. Łukaszowi, patronowi służby zdrowia, z medalionem św. Apolonii, która ma pod swoją opieką stomatologów i ludzi cierpiących na ból zębów. To badaj jedyne dzieło sakralne, które łączy te dwa zawody. A przecież życiorysy obydwójga były zgoła różne.

Łukasz, który wbrew powszechnej opinii nie był apostołem, z pewnością był erudytą i lekarzem z Antiochii Syryjskiej. Zajmował się nie tylko uzdrawianiem, ale po nawróceniu, także pisanem Ewangelii, Dziejów Apostolskich, podróżowaniem misyjnym i malowaniem ikon między innymi Matki Boskiej. Według jednej z legend Obraz Jasnogórski jest kopią jego dzieła. Wędrował ze św. Pawłem i św. Barnabą, który zgodnie z podaniami hagiografów, kładł na głowy chorych Ewangelię według św. Mateusza i uzdrawiał. Łukasz opisał wskreszenie młodzieńca z Naim, scenę uzdrowienia dziesięciu trędowatych, podał przypowieść o dobrym Samarytaninie. Zmarł w 84 roku życia.

W połowie III wieku Apolonię schwytano z innymi chrześcijanami w Aleksandrii za panowania Filipa Araba. Prześladowcy najpierw wyrwali jej zęby, potem złamali

szczękę, po czym zagrozili spaleniem na stosie, jeśli nie wyrzeknie się Chrystusa. Sama rzuciła się w płomienie. Według źródeł była już w podeszłym wieku, ale w ikonografii wciąż jest młoda z obcęgami, w których trzyma wyrwany ząb. Na Zatybrzu w Rzymie ma swoją bazylikę, a *Pontyfikał krakowski* z XV wieku nazywa ją patronką Królestwa Polskiego, prawdopodobnie ze względu na wpisana w imię łacińską nazwę Polski. Skojarzenie to wykorzystał również Krzysztof Warlikowski w jednej ze swoich teatralnych inscenizacji³¹.

Pantaleon jest 305 świętym zarówno katolickim, jak i prawosławnym. To męczennik zaliczany do grona Czterdziestu Świętych Wspomożycieli. Pochodził z Nikodemii. Realizując plany ojca, po zdobyciu niezbędnej wiedzy został lekarzem na dworze cesarza Maksymiliana. Po nawróceniu na chrześcijaństwo zaczął leczyć bezpłatnie w imię Boga, co przysporzyło mu wielu wrogów. Odmówił wyparcia się wiary, za co został uwięziony, poddany torturom i ostatecznie ścięty. Relikwie Pantaleona znajdują się w Madrycie i w Lyonie.

Św. Rafał to Anioł Stróż, który opiekuje się lekarzami. Mówi o nim Księga Tobiasza, opisując życie prywatne rodziny przebywającej w niewoli babilońskiej, złożonej z Tobiasza starszego, żony Anny oraz ich syna Tobiasza młodszego i jego żony Sary. Tobiasz starszy, mimo doświadczeń związanych z niewolą: utraty majątku, prześladowań i ślepoty, pozostał wierny Bogu, pełnił uczynki miłosierne i modlił się wytrwale. Czując jednak bliskość śmierci i myśląc o przyszłości rodziny, przypomniał sobie, że krewnemu mieszkającemu w Raga, pożyczył pieniądze. Wysłał więc syna po ich odbiór, polecając poszukanie sobie towarzysza znającego drogę. Młodzieniec spotkał Anioła Rafała, który przedstawił się jako Azariasz i zapewnił: *Nie bój się! Zdrowi wyjdziemy i zdrowi powrócimy, ponieważ droga jest bezpieczna. Gdy Tobiasz wszedł do rzeki Tygrys, aby umyć nogi, wysunęła się z wody wielka ryba i chciała ugryźć nogę chłopca. Ten krzyknął, a anioł rzekł: Uchwyc ją i nie puszczaj, rozplataj, i wyjmij z niej żółć, serce i wątrobę,*

31 Apolona, TR Warszawa, (Teren Warszawa, Teatr Rozmaitości w Warszawie)

i zostaw je przy sobie. Żółć bowiem, serce i wątroba będą pożytecznym lekarstwem, które wygryzie i ściągnie bielmo z oczu, a ojciec twój przejrzy.

Opiekunami chorych, niezależnie od dolegliwości ogłaszano często osoby, które przyczyniły się do budowania i prowadzenia szpitali, zajmowali się pielęgnacją lub leczeniem pacjentów. Warto tutaj wspomnieć św. Jana Bożego, czyli Jana Cicade, który urodził się w 1495 roku w Portugalii. Uciekł z domu za misjonarzem. Jego matka umarła z rozpaczy, a ojciec wstąpił do klasztoru. W wieku 27 lat został żołnierzem w wojnie z Francją. Cudownie uchroniony od śmierci, z wyrzutami sumienia udał się na pielgrzymkę do Santiago del Compostela. Został księgarzem, pragnąc promować dobre słowo i naukę wiary. Potem poświęcił się ludziom chorym, bezdomnym i sierotom. Początkowo pracował jako pielęgniarz w szpitalu miejskim, potem kupił dom i otworzył szpital na 47 łóżek. Założył zakon Braci Miłosierdzia, czyli bonifratrów, którzy oprócz leczenia ziołami wprowadzili kartę choroby.

Podobne losy spotkały św. Kamila de Lelis, który w XVI-wiecznej Italii prowadził najpierw życie lekkoducha, był żołnierzem i walczył przeciw Turcji. Po wojennych doświadczeniach wstąpił do zakonu kapucynów. Z powodu choroby wrócił do Rzymu, wyzdrowiał, został pielęgniarzem i powołał Stowarzyszenie *Kamilianów*, którzy służą ofiarną posługą chorym. Z jego inicjatywy powstało 65 szpitali.

W tym samym czasie posłudze chorym oddawali się św. Katarzyna Genueska i św. Wincenty a Paolo, wieśniak urodzony w 1581 roku w Akwitanii. Porwany za młodu, wrócił na wolność po nawróceniu swojego właściciela i otrzymał misję jałmużnika królowej Margot³², z której zrezygnował zostając duszpasterzem galerników. Założył zgromadzenie lazarystów, przytułki dla podrzutków, sierot i upadłych kobiet, a także zakon Sióstr Miłosierdzia, nazywany szarytkami, które do dzisiaj noszą pomoc chorym.

300 lat później ich śladami poszedł Ojciec Pio, czyli Francesco Forgione, kapucyn, który otrzymał stygmaty i według podań leczył dotykiem. W 1956 roku ufundował

32 Królowa Margot, Teatr Narodowy, Grzegorz Wiśniewski

szpital przy klasztorze, w którym leczy się 60 tysięcy chorych rocznie. Został kanonizowany przez Jana Pawła II w 2002 roku.

Lekarzami byli: św. Cezary w Konstantynopolu, św. Zenobiusz – męczennik i św. Błażej, pochodzący z Kapadocji, który podczas prześladowań chrześcijan był zdradzony i torturowany. Tradycja podaje, że w więzieniu cudownie uzdrowił chłopca, mającego przecięte gardło. Na pamiątkę zdarzenia dotyka się szyję małymi świecami nazywanymi *blażejkami*. Wszyscy trzej opisani żyli w IV wieku.

Nieco wcześniej działali w Azji Mniejszej bracia bliźniacy: święci Kosma i Damian. Nawracali pacjentów w myśl zasady *Ja leczę, Bóg uzdrawia*. Pomagali paralitykom, przywracali wzrok. Ubogich leczyli za darmo, dlatego nazywano ich arargyroi – nie biorący zapłaty. W wyniku prześladowań najpierw zostali poddani torturom, później ścięci. W VI stuleciu w Rzymie wzniesiono bazylikę ku ich czci, gdzie chory na gangrenę Justynian, został uratowany dzięki cudownej interwencji braci, którzy amputowali jego chorą nogę i przeszczepili inną, z ciała Afrykanina. Stąd w ikonografii jedna kończyna uzdrowionego jest malowana jako biała, a druga czarna. Kosma i Damian są patronami transplantologii i szeroko pojętej chirurgii naprawczej.

Jan Paweł II wyniósł na ołtarze 6 lekarzy, w tym dwóch: Giuseppe Moscati i Ryszard Pampuri zostało kanonizowanych.

Przegląd chorób czy zaledwie objawów chorobowych, o których wyleczenie możemy prosić za wstawiennictwem świętych, to niekończąca się lista. Spróbujmy przyporządkować dolegliwości ich orędownikom: niepłodność – Idzi; choroby brzucha – Erazm; objawy dyzuryczne – Florencjusz; błonica – Balbina; epilepsja – Apostoł Piotr, Wit i Walenty; choroby gardła – wspomniany już Błażej; bóle głowy – Anastazja i Dionizy; kaszel – Kwintyn; choroby oczne – Otylia i Łucja z Syrakuz; ospa – Marcin z Tours; porażenie mięśni – Wolfgang; choroby płuc – Mamert i Agata; choroby psychiczne – ponownie Walenty; nowotwory – Aldegunda; reumatyzm, febra, gorączka – Wawrzyniec i Serwacy; dermatozy, trąd – Antoni, Jerzy i Bartłomiej; męczennik, który został obdarty ze skóry; bóle stawów – Burchard; tyfus – Genowefa; choroby

uszu – Klara; wścieklizna – Hilary z Poitiers; choroby zakaźne – Rozalia z Palermo; ukąszenie węża – Magnus; malaria – Zygmunt (relikwiarz znajduje się w płockim Skarbcu); choroba wieńcowa – Teresa; cholera – Kasper del Bufalo, podagra – Maurycy; róża – Benedykt; rany wojenne – Sebastian...

Swoje liczne patronki mają kobiety ciężarne, rodzące i karmiące piersią. Św. Małgorzata z Antiochii była córką pogańskiego arcykapłana, nawróconą przez piastunkę. Odmawiając związku z zakochanym w niej prefektem Olibriuszem, została poddana torturom. Według podań w więzieniu odpędziła znakiem krzyża diabła, który nawiedził ją pod postacią smoka. Święta. W momencie śmierci przyrzekła opiekować się rodzącymi. Z kolei św. Agata to patronka kobiet karmiących piersią. Żyła w Katanii, u stóp Etny, w połowie III stulecia. Jej uroda zwróciła uwagę konsula Kwincjana, poganina, który postanowił ją bezskutecznie uwieść. Aby złamać jej opór, powierzył ją właścicielowi domu publicznego, potem torturował, zmuszając do odstąpienia od cnotliwości i nakazując wyrwać jej piersi. W polskiej rodzinie trwa kult Matki Boskiej Karmiącej.

Kończąc katalog wspomóżycieli, warto przypomnieć św. Józefa, który patronuje dobrej śmierci. Pochodził z królewskiego rodu Dawida. Utrzymywał się jako stolarz. Był opiekunem Maryi i jej syna Jezusa Chrystusa.

27 kwietnia 2014 roku papież Franciszek kanonizował błogosławionego Jana Pawła II, uznając cud uzdrowienia, do jakiego doszło dzięki wstawiennictwu papieża Polaka. Konsulta lekarska uznała przypadek za niewytłumaczalny medycznie i przedstawiła do zaaprobowania komisjom teologów i biskupów. Karol Wojtyła został wyniesiony na ołtarze 1 maja 2011 roku przez Benedykta XVI. Kilka lat wcześniej, już jako Honorowy Członek Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, pobłogosławił Kodeks Etyki Lekarskiej, uchwalony podczas obrad VII Nadzwyczajnego Krajowego Zjazdu Lekarzy w Toruniu i przyniesiony do Watykanu przez Prezesa Naczelnej Izby Lekarskiej.

Na Placu Wszystkich Świętych w Krakowie, pod pomnikiem doktora Dietla odebrałem telefon z prośbą o napisanie libretta do muzyki dziękującej za zdrowie.

Napiszę je w przerwie między przyjęciami.



NA PRZEŁĘCZY



Spojrzeliśmy ku Tatrom ...



NA PRZEŁĘCZY

Wcześniej tylko raz rozmawiałem z Andrzejem Dziukiem – założycielem, dyrektorem i kreatorem Teatru Witkacego w Zakopanem. Było to w Krakowie, w hotelu pod Różą, w przerwie obrad Konwentu Prezesów Okręgowych Rad Lekarskich. Z tym większą przyjemnością przyjąłem zaproszenie na otwarcie rewitalizowanej, zakopiańskiej sceny, po dwuletnim remoncie, sfinansowanym w dużej części ze środków Unii Europejskiej. Teatr nie przerwał nawet na chwilę gry, ale z obawą czekaliśmy w gronie przyjaciół na prapremierę, drżąc o zachowanie jedynej w swoim rodzaju atmosfery wewnątrz i szczególności formy podhalańskiej świątyni Melpomeny.

Teatr Witkacego to teatr intelektualny, pytający, stworzony dla ludzi idących z gór, zmęczonych szlakiem, doświadczonych przez życie i stojących przed nowymi wyzwaniem. Teatr Witkacego rzadko ubiera się w garnitur i lakierki, częściej w sweter, traperskie czy narciarskie buty i jak zawsze wita zdrożonych wędrowców gorącą herbatą w ciepłym salonie sztuki. Kwestie wypowiedziane przez artystów nie są łatwe, pozbawiają złudzeń, obdzierają z hipokryzji. Dzięki temu wystawiane dzieła mogą uzdrawiać relacje i pozwalają zgodnie z maksymą zespołu godnie żyć.

Nowa Scena została bajecznie wyposażona w sprzęt. Nie to było jednak w ten zimowy wieczór najważniejsze. Ponad doskonałymi możliwościami mobilności scen i widowni, światel, kurtyn i zapadni, przeważał dramat hiszpańskiego mistrza baroku Felixa Lope de Vegi.

Na niby – naprawdę należy do sztuk opartych na żywotach świętych, w tym wypadku Świętego Genezjusza, zawodowego aktora, który w czasach prześladowań chrześcijan za panowania cesarza Dioklecjana, nawrócił się podczas grania przedstawienia mającego wyszydzić wyznawców Chrystusa, za co zapłacił życiem. To sztuka o grze na różnych poziomach teatralnego świata, gdzie mieszą się role odtwarzane w życiu prywatnym, zawodowym, politycznym i społecznym. W zmieniających się

scenografiach mylą się nam teksty, nie wytrzymujemy tempa codziennego spektaklu, nie potrafimy opanować emocji, ukrywamy pod uśmiechniętą maską prawdziwy dramat człowieczeństwa.

Gines – bohater utworu w doskonałym wykonaniu Andrzeja Bieniasa, umiera podłączony do śmiercionośnej kroplówki, która w powszechnym rozumieniu powinna nieść nadzieję rekonwalescencji i powrót na scenę życia. Całości towarzyszą genialne kompozycje Jerzego Chruścińskiego, niosące rytm stałej walki o prawdę, sumienie, sens każdego oddechu oraz zmienny rytm miłości i zdrady ideałów. Oto Misterium, w którym bezwiednie bierzemy udział, zakładając na przykład kostium lekarza – współczesnego szamana, aktora dyktującego za pomocą słów receptę na kolejny przeciwbólowy lek.

Moja wielka przygoda z Teatrem Witkacego zaczęła się wiele lat wcześniej od *Doktora Faustusa* na podstawie powieści Tomasza Manna. Doświadczenie tamtego spektaklu pozostało we mnie na zawsze. Muzyka. Wizja. Ustawienie widowni wokół sceny, spod której wydobywały się kolejne postacie.

Andrzej Dziuk zawsze żegna się ze swoimi widzami stojąc w drzwiach. Zaprasza na kolejne spotkania. Ile ich było? *Caligula*, *Bal w operze*, *Panopticum*, *Kto się boi Wirginii Woolf*, *Mazepa*, *Miguel Maniara*, *Dzień dobry Państwu*; *Dżuma*, *Ccy–Witkac–y*; *Vis a vis* Beaty Ficoń w Dworcu Tatrzańskim.

Teatralna wycieczka lekarzy do Zakopanego prowadziła przez Kraków, a wracała przez Łódź. W Witkacym czekali *Na przełęczy*. Skakali po szafach i stołach. Szli w Tatry w deszczu, przez noc, na skraju. A góralska muzyka grała.

Poprosiłem Andrzeja Dziuka, żeby porozmawiał chwilę z moją teatralną grupą. Zgodził się pod warunkiem, że w spotkaniu weźmie udział cały zespół aktorski. Warunek był nie do odrzucenia. Po spektaklu zostaliśmy na miejscach i słuchaliśmy artystycznego credo dyrektora z Chramcówek. Życzyłem artystom mecenasa najbardziej niezawodnego, czyli Widza kupującego bilet. W zamian były zdjęcia i pamiątkowe drobiazgi.

POMIĘDZY

Górska kapela grała nam dalej w jednej z zakopiańskich karczm. Myślałem sobie o przełęczy między górami, o miejscu biwakowym, spokojnym, o schronisku przed nocą, o miłości największej.

Między Niebem a Ziemią

Zanurzony w ciszy

Nad Zawratu przełęczą

Cień Twój Panie wisi

Otulonyś Ty mgłami

Osieczonyś deszczami

Ty pochylasz się zawsze

*Nad nami...*³³

33 fragment piosenki z muzyką Jerzego Chruścińskiego w wykonaniu Doroty Ficoń, Na przełęcz.

ATENEUM

Teatr im. Stefana Jaracza

Mikołaj Gogol

REWIZOR

Dyrektor
Zbigniew Libera

Dyrektor Artystyczny
Gustaw Holoubek

REWIZOR

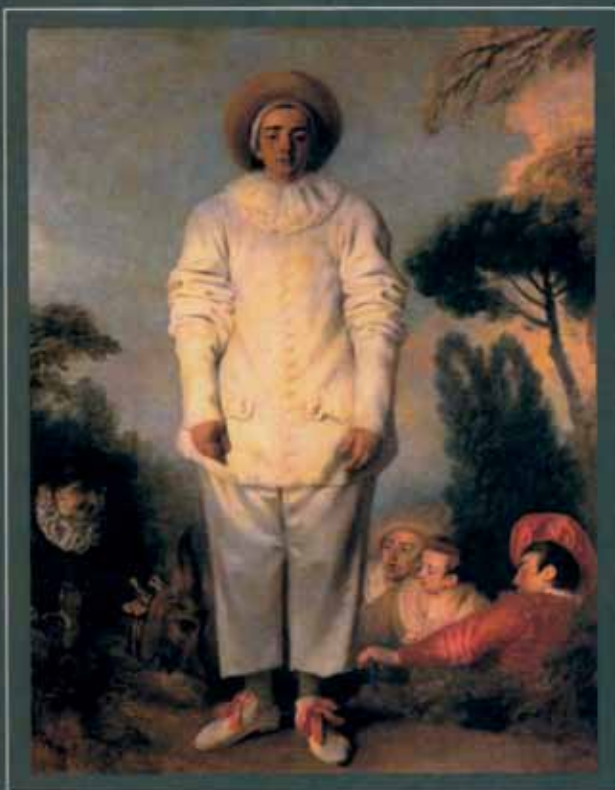
Gogol opisywał Rosję, ale im dłużej czytam i oglądam *Rewizora*³⁴, tym częściej dostrzegam nie tylko jego ponadczasowość, ale także przekraczanie kulturowych i państwowych granic.

Z czego się śmiejemy? Z siebie się śmiejemy.

Część polskiego społeczeństwa zachowuje się jak Horodniczy i jego ekipa, która z honorami przyjmuje przebranego rewizora. Kontrola wywołuje w nas albo strach, albo gniew. Częściej, tak jak w tym przypadku, strach, który pociąga za sobą szereg działań zaradczych. Spójrzmy więc jak ten mechanizm przebiega. Pierwsza reakcja za nami. Druga: analiza sytuacji – zły stan sądownictwa, służby zdrowia, edukacji, kłótnie, intrygi, łapownictwo. Diagnoza wydaje się od samego początku postawiona – wiadomo i Ziemiańskie, i Sędziemu, i Kuratorowi, i samemu Horodniczemu czego mają się bać. Trzecią reakcją powinna być terapia, próba wykorzystania wizytacji do poprawy spraw, za które odpowiadamy! Ten krok zamiast efektywnego tupnięcia zaczyna przechodzić w markowanie, tuszowanie i zamydlenie spraw wstydlivych. Zamiast leczyć wyrzuca się pacjentów do domu. Zamiast rządzić zakłada się knebel i kolejnymi decyzjami nadbudowuje wieżchołek nieprawidłowości platformą, która go tymczasowo zasłania.

Nasz rewizor to nasi pacjenci. Różnie o nich dbamy. Paradoksalnie i niejednokrotnie to oni zabiegają o nas. Jeśli mieści się to w granicach etyki, dobrego tonu, należynej zapłaty za wykonane czynności lekarskie, jeśli wyrazy wdzięczności nie są wyrwane ludziom z portfela – wszystko w porządku. Ale kiedy rewizor nas osacza, wykrzykuje tytułami prasowymi i migawkami w telewizorze najgorsze oskarżenia, stawia pod ścianą z wyrokiem ustalonym odgórnie, odczuwamy gniew. Kto to odślonił? Czyja to gra? Tak dobrze nam w tym kryzysie wartości, że kiedy ktoś się o nie upomina, patrzymy na niego z wyrzutem. *Hipokrates? Nie zwracajcie mi tu głowy głupotami!*

34 Teatr Ateneum w Warszawie, Krzysztof Zalewski



Jan Kott

LUSTRO

CZYTELNIK

LUSTRO

Teatr odbija rzeczywistość wokół nas. Ale jak to ze zwierciadłami bywa obraz jest w nim nazbyt płaski. Zdarzenie sceniczne jest raczej wejściem do lustrzanej kabiny wystawianej przy wesołym miasteczku, gdzie w gabinecie śmiechu, możemy spojrzeć na siebie szerzej lub wężej, urosnąć lub skarleć, roześmiać się albo przestraszyć własnego wizerunku.

Nastawiony już budzik na szóstą mętnie senne odbija mnie lustro³⁵

Tylko ja czuwam jeszcze w moim oknie na piętrze

I w uśpioną uliczkę mą krzyczę

Krzyczę! A może tylko z oknem jak lustrem, rozmawiam?

Lustreczko z bajki o królewnie pokazuje wyłącznie najpiękniejsze istoty. Jego wszechwiedzący duch mówi uprzejmie, że jest się pięknym, ale ostrożnie bo nieopodal w krasnoludkowej chatce kryje się ktoś świeższy, dorodniejszy, a przede wszystkim młodszy.

Upiór w operze³⁶ ma swoją piękną, lustrzaną scenę, w której Kristin widzi się w ślubnej sukni. Teatralna sztuczka z ekranem lub z podobną do złudzenia aktorką po drugiej stronie ramy. Oko Widza nie jest w stanie wyłowić niuansów, gdy oszukamy go rozproszonym i niezbyt mocnym światłem, gdy migniemy przez ułamek sekundy niepasującymi do siebie obrazami.

Z lustrem ciężko się gra. Najczęściej stanowi ono element teatralnej garderoby z żarówkami wokół, aby wykonanie makijażu było doskonałe. Siedziałem przed takim lustrem w Teatrze Narodowym. Widać w nim każdą zmarszczkę, fałd skóry, odbarwienia, nierówność zębów, włos sterczący niedbale i niedogolony podbródek.

³⁵ Jeremi Przybora: O Romeo

³⁶ Teatr Muzyczny ROMA w Warszawie, Wojciech Kępczyński

Są też lustrzane, wypolerowane ściany, które nie odbijają wprost, ale rozpraszają światło, pokazują cienie postaci, wykrzywiają, zniekształcają. Ciekawa bywa dyskotekowa kula złożona z tysięcy zwierciadlanych odłamków przyklejonych pod różnym kątem. W zależności od ruchu światła i samej kuli powstają niezwykle wrażenia wzrokowe, czasem powiedziałbym nawet magnetyzujące. *MAMMA MIA*³⁷.

Lustro jest zdradliwe. Kiedy się stłucze niesie zabobon siedmioletnich nieszczęść. Trzeba się mocna natrudzić by nie uwierzyć w przeznaczenie.

Miłość jest jak lustro. Najpiękniejsze i najstraszniejsze zarazem. Często pęka i rozpada się na drobne kawałki, dając efekt dyskotekowej kuli w śmiertelnym tańcu byłych kochanków. Lustro miłości oszukuje długo, potem zabija i zdradza *w gabinecie śmiechu* bez żadnych skrupułów.

– *Mąż zostawił mnie w Wielki Piątek* – opowiadała jedna z pacjentek – *z taką moją dawną przyjaciółką, która zaraz po śmierci swojego zakręciła się za dawną sympatią. Poleciał do niej jak stał. Cekał na tę okazję czterdzieści lat. Patrzyłam przez okno. Szedł przez osiedle. Widziałam w szybie jak po policzkach płyną mi łzy, a ja przecież wcale nie płakałam, nie mogłam wydusić z siebie nawet najmniejszej pretensji, krzyku, przekleństwa. W tym dniu w łazience nie wiadomo dlaczego pękło lustro. Zobaczyłam w nim swoją twarz przepołowioną, starą, wykrzywioną. Zostawił mnie w Wielki Piątek, a ona, ta moja dawna koleżanka ze szkoły, już wtedy chora była, potrzebowała kogoś, kto poda jej szklankę wody. Doktorze! Czy można coś było na to poradzić?*

– *Boli mnie lusterko* – powiedział starszy pacjent, kładąc się na lekarskiej leżance ze ściągniętymi do kolan spodniami i slipami. Natychmiast przypomniałem sobie książkę Szymona Kobylińskiego *Pasjans erotyczny*, czytany na studiach przez połowę mojej grupy, gdzie w jednym z rozdziałów autor zastanawiał się nad wulgarnością, naiwnością i anatomicznością polskiego nazewnictwa seksualnego oraz próby oddania słowem istoty narządów płciowych. Nie przypominam sobie wśród przykładów

37 Teatr Muzyczny ROMA w Warszawie, Wojciech Kępczyński

lusterka, a przecież takie piękne odbicie relacji intymnej jest w tym rzeczowniku. I nie budzi demonów, jak w opowiadaniu córki, opisującej cheszącą się przed lustrem, chorą na demencję matkę, która w odbiciu rozpoznawała lekarza rodzinnego i toczyła z nim zażarty spór o zdrowiu.

Spaczony obraz lustra spotykamy w wielu chorobach, ale najczęściej mówimy o anoreksji, w której chude wydaje się nadal grube, a co za tym idzie nieakceptowane, odrzucone, jak gdyby nie swoje. Bohaterka *Beauty 3.0*³⁸ grana przez Kasię Anzorge, ma także kłopot z tożsamością, uciekając od przeszłości poprzez operację plastyczną, która i tak koniec końców doprowadza do tragicznej konfrontacji z rzeczywistością.

W teatralnych lustrach dość często odbija się *Tartuffe*³⁹ albo *Szalbierz*⁴⁰. Krytycy opisują to jako nagły zwrot akcji w sztuce Moliera – spojrzenie na odwrócony obraz w zwierciadle, dzięki czemu król demaskuje oszustwo i przywraca porządek. Ja częściej określam to za Eurypidesem jako *Deus ex Machina*.

W źrenicach oczu odbija się świat. Nieraz widać tam smutek, obłęd, łzawą mgiełkę, iskrę nadziei, nerwowe tiki, porażenne opadanie powiek. Czasem możemy przeglądać się w oczach innych, najlepiej jeśli mają dla nas odrobinę miłości i podobają się wzajem oblicza odbijane jednocześnie. Wtedy sięgamy aktorskiego szczytu, bo *aktorzy są oczywiście tacy jak my wszyscy, którzy nie jesteśmy aktorami, albo jeszcze inaczej: każdy i każda z nas, którzy nie jesteśmy aktorami, w różnych okolicznościach, rzadziej lub częściej, zachowujemy się jak aktorzy, stroimy miny, i to nie tylko przed lustrem*.⁴¹

38 Ilona Kusiak, prapremiera Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku, Rafał Matusz

39 *Tartuffe* albo *Szalbierz*, Molier, Teatr Narodowy, Jacques Lassalle

40 *Szalbierz*, György Spiró, Teatr Dramatyczny Miasta Stołecznego Warszawy, Mate Gabor,

41 Jan Kott, *Lustro*, Czytelnik 2000



NIE MA CIAŁA, NIE MA ZBRODNI

Sprawa uprowadzenia i zamordowania płockiej lekarki była głośna w całej Polsce. Dochodzenie i poszlakowy proces nie wyjaśniły wszystkich okoliczności. Ślad po doktor Stefanii Kamińskiej, która wyszła z domu, aby zbadać dziecko i nigdy już nie wróciła, zaginął. Ale zagadka lat siedemdziesiątych wciąż inspiruje historyków i dziennikarzy śledczych. Z tym większą ciekawością sięgnąłem po książkę Jacka Ostrowskiego opartą na faktach sprzed prawie pół wieku.

Stefania Kamińska urodziła się w Żernikach pod Jarocinem 111 lat temu⁴². Maturę zdała w Szamotułach, medycynę skończyła na Uniwersytecie Poznańskim w 1934 roku. Wyszła za mąż za pulmonologa Kazimierza Kamińskiego i przeprowadziła się do Płocka. W czasie wojny była żołnierzem AK. Pacjentów przyjmowała w przydomowym gabinecie kamienicy Tumskiego 6.

5 czerwca 1970 roku nieznany mężczyzna zamówił wizytę do Brwilna. Doktor wsiadła do jego samochodu i odjechała. Kamiński po dwóch dniach zgłosił zaginięcie żony. Sprawa nabrała rozgłosu dzięki ogłoszeniom w prasie, radiu i telewizji. Motyw wiązano z anonimem domagającym się okupu, ale nie wykluczano porachunków wojennych. Skontrolowano kilka tysięcy zarejestrowanych maszyn do pisania! Po wielu miesiącach połączono sprawę porwania i serii anonimów z pogrózkami, które odbierali mieszkańcy Konina. O zatrzymaniu wpływowego byłego dziennikarza *Gazety Poznańskiej* i hodowcy królików, zdecydował przypadek. Zygmunt Bielaj początkowo wszystkiemu zaprzeczał, był agresywny i twierdził, że cała sytuacja jest prowokacją. Tymczasem śledczy popełniali błędy. Dopuszcili do sprzedania zatrzymanego trabanta, w którym nowi właściciele zatarli ślady przewożenia Stefanii Kamińskiej. Nie zabezpieczono też pieców w domu i na fermie podejrzanego. Nie potrafiono udowodnić, że doktor Kamińska nie żyje. Sprawę utrudnił fakt, że podejrzany służył

42 Gazeta Lekarska 2017

w Armii Czerwonej, a później w NKWD. Szok spowodowało przyznanie się sprawcy do wielu zabójstw, za które z powodu przedawnienia nie groziła mu kara. Sąd uznał aresztowanego winnym porwania i szantażowania anonimami, i skazał na 15 lat więzienia. Mężczyzna zmarł w 1993 roku w jednym z domów pomocy społecznej. Ciało zamordowanej i odpowiedzi na wiele pytań nie znaleziono.

Ostatnia wizyta Jacka Ostrowskiego przenosi czytelnika w realia lat siedemdziesiątych, a historia opowiedziana jest przez pryzmat uwikłanego w zbrodnie z przeszłości porywacza i seryjnego mordercy, bankruta poszukującego sposobu na odbicie się od finansowego dna, na wpół lojalnego wykonawcę poleceń tajemniczych mocodawców. Doskonale zatarta została granica fikcji literackiej, której głównym zadaniem było pokazanie ludzkich odruchów oraz umiejętna charakterystyka głównych postaci. Autor celowo zmienił ich imiona i nazwiska. Świetnie opisał Konin i Płock sprzed lat.

Porwanie doktor Stefanii Kamińskiej do dzisiaj w środowisku lekarskim jest tematem powracających rozmów i lęków. Odnajdujemy stare zdjęcia i patrzymy na to najsłynniejsze, niemal reklamowe, z uśmiechniętym bobasem. Próbuje dopowiedzieć do intrygującej kryminalnej historii, prawdę o wspaniałej lekarce uwielbianej przez małych pacjentów i ich rodziców, silnej osobowości, autorytecie medycznym, której życie przed porwaniem także niesie jakąś nieopisaną bliżej tajemnicę czasów okupacji. Jej wyjaśnienia prawdopodobnie już nigdy się nie doczekamy.

Kilkanaście lat temu dostałem od Grażyny Przybylskiej-Wendt, z jej przepastnego, prywatnego archiwum zdjęcia, które wstępnie datowaliśmy na początek lat pięćdziesiątych. Na jednym była pierwsza płocka karetka pogotowia zaparkowana pod kamienicą przychodni rejonowej przy ulicy Królewieckiej 28. Na drugim pozował chłopiec ze złamaną nogą podwieszoną na wyciągu ortopedycznym w szpitalnej salce z kaflowym piecem na Kościuszki. Nasze największe zainteresowanie budziła zatrzymana w kadrze scena badania niespełna rocznego chłopca przez nieznaną panią doktor,

którą postanowiłem rozpoznać. Udało się to w miarę szybko, kiedy czterdziestoletni pacjenci ze wzruszeniem zaczęli wspominać dbającą o ich zdrowie Stefanię Kamińską.

W swoich zasobach mam pracę doktorską Stanisława Palczewskiego, mojego opiekuna do II stopnia specjalizacji z pediatrii, poświęconą historii płockiej medycyny. Od wielu lat znajduję tam wiele danych, ale przede wszystkim zdjęcia doktorów, których nazwiska czcimy przy różnych rocznicowych okazjach.

W jednej z domowych szuflad gromadzę podarowane dokumenty i fotografie sprzed lat. Nie mam czasu na ich archiwizację, ale znam ich wartość i wiem, że musi nadejść taki czas, aby wszystko spokojnie skatalogować, opisać i przekazać młodszym.

W 2013 roku zaprosiłem do studia nagrań trzynastoro lekarzy i lekarzy dentyistów, którzy przeczytali książkę przedwojennego doktora Mieczysława Themersona *Nowele chińskie – Manza*. Cyfrowy zapis zatrzymał głosy mistrzów i przyjaciół, łącząc wspólnym opowiadaniem o dalekiej Mandżurii, okropieństwach wojny i bólu egzystencji.

Agnieszka Czerska-Czyż chętnie zgodziła się opracować sesję fotograficzną z małym Oliwierzem, reprezentującym drugie pokolenie moich małych pacjentów. W *naszej Przyszłości*, przy Czwartaków 4, współprowadzonej drugą już dekadę z Gosią Piskorską, było z tego powodu wielkie zamieszanie: zamknięta część dla zdrowych, profesjonalne lampy, komponowanie tła. Najtrudniejsze było zabawianie, nad podziw cierpliwego dziecka, odwracającego co chwila głowę w kierunku odgłosu migawki aparatu.

Pstryk. Zanim czas porwie nas na zawsze...

03^{ty} 2018
SOBOTA
GODZINA 20:00
HOTEL TUMSKI



II BAL
PRAWNIKÓW
I LEKARZY

allpe



ZAPISY

OKRĘGOWA RADA ADWOKACKA W PŁOCKU - 24 262 97 02
OKRĘGOWA IZBA LEKARSKA W PŁOCKU - 24 264 56 46

WIĘCEJ INFORMACJI: www.oliplock.pl www.ora.plock.pl

MASKARADA

Analogią sztuki lekarskiej i teatralnej jest maska. Karnawał i chorowanie sprzyjają zakrywaniu prawdziwej tożsamości. Angielskie widowiska masek z przełomu XVI i XVII wieku wywodziły się ze zwyczajowych przemówień i tańców powitalnych na cześć gości, które stawały się okazją do popisów oratorskich i tanecznych z jednoczesnym przebieraniem w niezwykle wyrafinowane kostiumy. Podobnie bywa z dolegliwościami chorobowymi, które przychodzą upudrowane, czarują banalnością rozpoznania, łatwością terapii, schematem rutyny. Ale czasem wybija północ i Kopciuszka trzeba szukać z butem w dłoni, cierpliwie eliminując kolejne pretendujące do roli królowny schorzenia pospolite.

– *Doktorze, lubi pan maskarady?* – zapytała Nora, swojego przyjaciela, cichego wielbiciela i jednocześnie śmiertelnie chorego lekarza w dramacie Ibsena. W odpowiedzi usłyszała – *Gdy są na nich zajmujące maski.*

Jakie maski codzienne nas zajmują? Komediowe z przyklejonym uśmiechem, który nigdy nie blednie. Tragiczne – wykrzywione krzywdą, zdradą, cierpieniem. Balowe, weneckie przysłaniające pół twarzy, lśniące od kosztowności. Zwierzęce z chórów greckich. Demoniczne? Może niebiańskie jak w średniowiecznych jasełkach.

Symbolem dżumy stał się charakterystyczny ubiór ochronny noszony przez lekarzy w czasie epidemii, z maską w kształcie dzioba, w który wkładano wonne olejki tłumiące feter rozkładających się zwłok. Mam imitację⁴³ takiej maski w swoim gabinecie, łączącej medycynę i teatr. Niektórych gości widok ten przestrasza, doszukując się w niej symbolu choroby i przemijania, nieuniknionej maski pośmiertnej.

Dzisiaj maseczki chronią przed smogiem zadymionych przemysłem i komunikacją miast, zapobiegają kropelkowej transmisji chorób na salach operacyjnych,

43 na stronie 71

w laboratoriach, fabrykach produkujących lekarstwa oraz w czas wizyt u osób z zaburzeniami odporności.

Co za bal

*Maskarada samych kłamstw*⁴⁴

– śpiewają soliści i chór, schodząc po schodach paryskiej opery i tańcząc w kolorowych przebraniach, zanim upiór nie przypomni po raz kolejny o swoim prymacie.

Choroba lubi gubić ślady. Pod maską ukrywa się czasem zawał serca, depresja, choroba wrzodowa, zmiany hormonalne tarczycy, psychoza. Zadaniem lekarza jest odsłonić prawdziwą tożsamość dolegliwości. Czasem jednak północ bije szybciej, bal się kończy, a Kopciuszek nie chce założyć zagubionego buta.

44 Upiór w operze, Teatr Muzyczny ROMA, Wojciech Kępczyński

MARIACKA⁴⁵

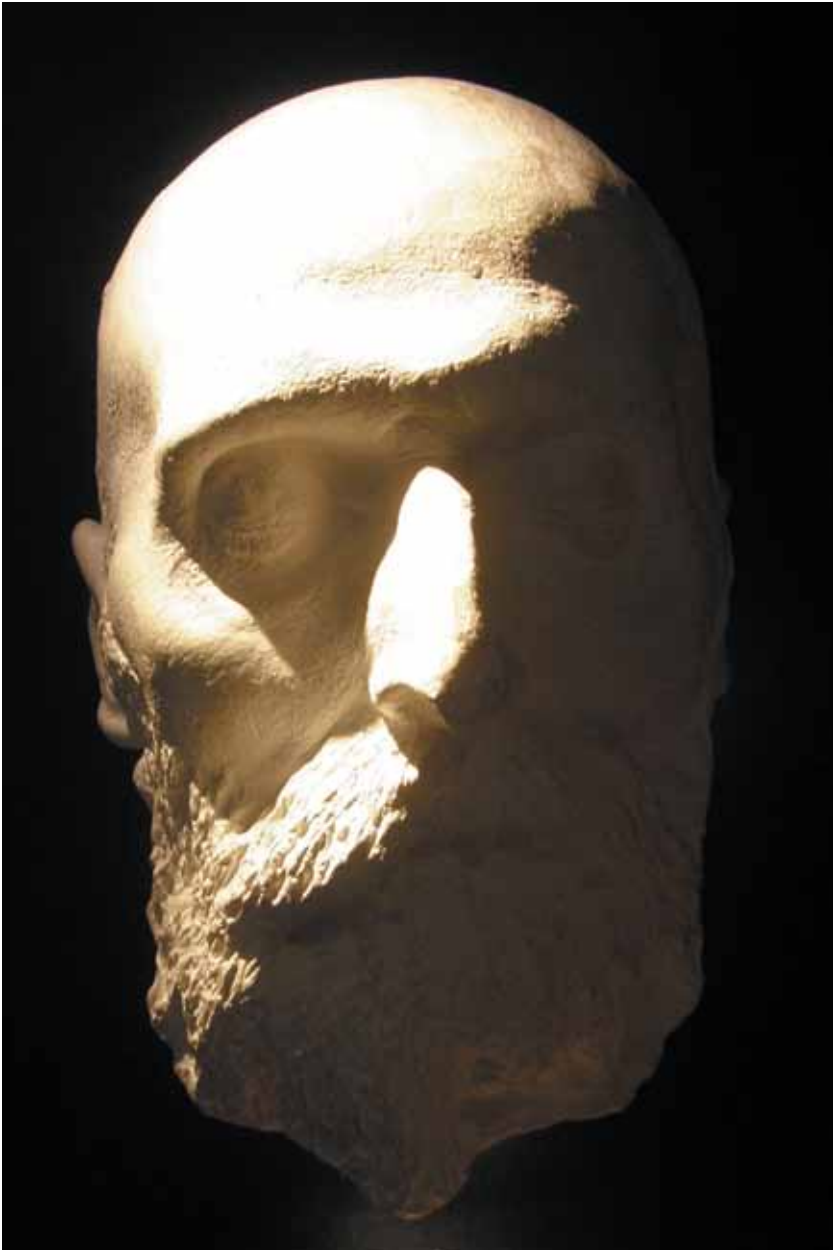
Efekt masy zawiązał kruchy rozum
Kokarda ścisnęła pocztówkę w sepii
Zamiast zatonać w niepamięci morzu
Do każdej myśli bezmyślnie się lepi.

I szuka lotu gołębi pocztowych
Bezszelestnych dróg tajnego konwoju,
Co głuchy rozpaczy zaniosą skowyt
Pole widzenia w kwadrantach nastrojów!

Zastygły owad w złocistym bursztynie;
Wzorzysta sukienka na manekinie;
Gipsowe aniolki, płócienny stragan;

Okręt srebrzony w poświacie zachodu;
Kamienne kule – wartowniczkę schodów,
Lepiej zapomnieć, nim nadejdzie kara.

45 Wstępnie datowany w Gdańsku na 7 sierpnia 2010 roku, poprawiony 2 lutego 2017 roku w Warszawie



TEATR ALFREDA NOBLA

Zgromadzenie Noblowskie w szwedzkim Instytucie Medyczno-Chirurgicznym Karola co roku wskazuje laureatów najbardziej prestiżowego na świecie wyróżnienia z medycyny lub fizjologii. Nie wszyscy spośród ponad 200 naukowców, odznaczonych Medalem Alfreda Nobla, byli lekarzami, ale także nagrody z innych dziedzin miały niebagatelny wpływ na rozwój naszego zawodu i postęp medycyny w praktyce.

Alfred Nobel urodził się w Sztokholmie w 1833 roku. Studiował inżynierię chemiczną. Aby wyeliminować problem wysokiej niestabilności nitrogliceryny jako materiału wybuchowego, połączył ją z ziemią okrzemkową i opatentował *dynamit*. Korzystając z koniunktury rynku szybko się wzbogacił i został nazwany *handlarzem śmiercią*. Jego testament miał, wbrew tym opiniom, zachować fundatora nagród w dziedzinie chemii, fizyki, fizjologii lub medycyny, literatury oraz pokoju, w dobrej pamięci kolejnych pokoleń.

Kiedy pisałem pierwszy tekst o Noblu dla *Gazety Lekarskiej*, w tym miejscu rozpoczynały się akapity o kolejnych laureatach z medycyny. Ale kilka tygodni później natknąłem się na archiwalny artykuł dotyczący zainteresowań literackich wynalazcy dynamitu, który w 2005 roku debiutował pośmiertnie jako autor sztuki scenicznej. W Teatrze Strindbergs Intima w Sztokholmie wystawiono jego *Nemesis*⁴⁶, a treść dramatu według reżysera ma charakter wybuchowy. Jest tam: seks, przemoc, kazirodztwo, bójki i tortury.

Nemesis ukazała się drukiem w Paryżu w roku 1896, kiedy Nobel leżał na łożu śmierci. Wkrótce po pogrzebie prawie całe wydanie zniszczono.

Akcja pisarskiej wprawki rozgrywa się w Rzymie pod koniec XVI stulecia i nie jest obca polskiemu odbiorcy za sprawą Juliusza Słowackiego ukazującego w dramacie *Beatrice Cenci*⁴⁷ mroczne losy tytułowej bohaterki, do których sięgnął także Nobel,

46 Dramat ukryty pod korcem, Anna Nowacka-Isaksson, Rzeczpospolita nr 236/08-09.10, 10.10.2005

47 Teatr Miejski im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, Maciej Sobociński

tworząc własną wersję, opartą na pięcioaktowej tragedii Shelleya i skupiając się głównie na pokazaniu swojego cierpienia z powodu autorytaryzmu ojca. Immanuel Nobel wchodził w konflikty z synem i rywalizował z nim nawet o prawo do bycia uznanym za wynalazcę dynamitu! Beatrice pragnie, by ojciec umierał w najstraszniejszych mękach. Kieruje przebiegiem tortur i na koniec wydaje rozkaz: *pogrzebcie go żywcem!* Motyw pojawia się nieprzypadkowo, gdyż obsesją Nobla było umrzeć do końca⁴⁸, co wyraźnie zaznaczył w swoim testamencie nakazując, by po zgonie otwarto mu tętnice, a *gdy kompetentny lekarz stwierdzi wyraźne oznaki śmierci, wówczas zwłoki należy spalić w piecu krematoryjnym*. Wcześniej próbował rozwiązać problem w praktyce. Snuł plany dotyczące produkcji trumien otwieranych od wewnątrz, które miały być wyposażone w wieko z otworkami do oddychania i podłączone struną do dzwonka, na wypadek nagłego przebudzenia.

Nobel się nie przebudził, ale czy na pewno *wszystek* umarł?

Po raz pierwszy medycznego Nobla wręczono w 1901 roku. 9 razy nagrody nie przyznano, głównie w latach I i II wojny światowej. 213 laureatów to w ogromnej większości Amerykanie, za nimi są Brytyjczycy i Niemcy. Przedstawiciele 18 innych nacji odebrali zaledwie 5% z dotychczasowych wyróżnień. Tylko 13 kobiet wyjechało do Sztokholmu na uroczystą, grudniową galę w Filharmonii, podczas której królowie Szwecji wręczają złoty Medal, dyplom i pokaźną sumę szwedzkich koron na dalsze badania, a czasem po prostu na godne życie. Statystyczny laureat dobiega wówczas sześćdziesiątki. Nagroda nie może być przyznana pośmiertnie, a od 1946 roku jest często dzielona pomiędzy dwóch, maksymalnie trzech odkrywców. Nominacje nie są ujawniane publicznie przez pół wieku, a termin ich zgłaszania mija 31 stycznia.

Dotychczas⁴⁹ we wszystkich dziedzinach wyróżniono prawie 900 osób i 25 instytucji, w tym niewiele ponad 50 kobiet. Tylko 4 osoby uhonorowano dwukrotnie. Aż

48 W liście do brata Ludwika pisał: „Największy i jedyny wymóg życia: nie być pogrzebanym żywcem”.

49 Statystyka sporządzona przez autora w roku 2015

50 razy odstępiono od przyznania nagrody. Spośród sześciu Polaków, którzy odebrali 7 nagród, nie ma lekarzy, ale polskie korzenie znajdziemy w 26 biogramach, w tym związanego z medycyną Tadeusza Reichsteina urodzonego we Włocławku (endokrynolog, Nobel 1950), Andrzeja Wiktora Schally, pochodzącego z polskiej rodziny mieszkającej w Wilnie (endokrynolog, 1977), Erica Kandela (neurobiolog, 2000) i genetyka Jack'a Szostaka, którego pradziadek wyemigrował do Stanów Zjednoczonych (2009).

W tym miejscu nie można zapomnieć o geniuszu Marii Skłodowskiej-Curie, która lekarzem nie była, ale jej odkrycia i kierunki badań stały się podstawą fizyki jądrowej i chemii radiacyjnej oraz punktem wyjścia do rozwoju i unowocześnienia wielu dyscyplin medycznych, a niektóre z nich wręcz zrewolucjonizowały. Nagrodzona w 1903 (razem z mężem Piotrem) i w 1911 roku za badania nad promieniotwórczością oraz odkrycie radu i polonu, jedyna kobieta w paryskim Panteonie, laureatka dwóch dziedzin: fizyki i chemii, tak pisała w swojej autobiografii: *Łatwo zrozumieć jak bardzo cenne jest dla mnie przekonanie, że odkrycie nasze stało się dobrodziejstwem ludzkości nie tylko przez swoją wielkość naukową, ale także dlatego, że dzięki niemu można zmniejszyć cierpienie ludzkie i leczyć straszliwą chorobę. Jest to naprawdę wspaniała nagroda za lata ogromnego naszego wysiłku.*

Pierwszymi laureatami Medalu Nobla zostali: Emil von Behring za fundamentalne odkrycie seroterapii wykorzystanej w walce z błonicą i fizyk Wilhelm Conrad Rentgen za opisanie promieni X, który w dniu ich odkrycia miał powiedzieć: *Anno, zobaczyłem własną śmierć.*

Gilbert Thompson w swojej książce *Nagrody Nobla, które zmieniły oblicze medycyny* wyróżnia sześć kategorii branych pod uwagę w czasie nominacji i wyboru laureatów. Należą do nich: rola czynników zakaźnych w rozwoju chorób; postępy w dziedzinie ludzkiej fizjologii i metabolizmu; mechanizmy odpornościowe i odporność; badania genetyczne; postępy technologiczne w diagnostyce i odkrycia w dziedzinie terapii.

Planując ścieżkę kariery z zamiarem grudniowej wycieczki do Szwecji na koszt zapraszającego, najlepiej rozpocząć studia i działalność naukową na Uniwersytecie Harvarda. Na liście prac nagrodzonych od 1901 roku znajdziemy tematy i teorie, bez których trudno wyobrazić sobie współczesną praktykę. Nie brakuje tam także mniej znanych laureatów i zapomnianych po latach hipotez. Przypomnijmy sobie tylko wybrane nazwiska i daty wpisane na dyplomie, które nie są tożsame z datami odkryć (!) oraz wyróżnione w sentencji zagadnienia: Iwan Pawłow (1904, przysłowiowe już odruchy układu trawienno), Robert Koch (1905, przełomowe badania nad gruźlicą), Wilhelm Einthoven (1923, zasada elektrokardiogramu), Charles Nicolle (1928, kiedy myślimy tyfus nieodmiennie mówimy o współpracującym z noblistą Rudolfie Weiglu), Karl Landsteiner (1930, odkrycie ludzkich grup krwi, chociaż spodziewalibyśmy się w tym miejscu wzmianki o Ludwiku Hirszwelddie nominowanym do nagrody za pracę o konflikcie serologicznym matka-płód), Thomas Morgan i George Whipple (1933, chromosomowa teoria dziedziczności), Selman Waksman (1952, streptomycyna – pierwszy antybiotyk w skutecznej walce z gruźlicą), Hans Krebs (1953, cykl kwasu cytrynowego jego imienia część z nas pamięta nawet wiele lat po studiach), Marshal Nirenberg, Har Khorana, Robert Holley (1968, rozszyfrowanie kodu genetycznego), Roger Guillemin i Andrew Schally (1977, odkrycie produkcji hormonów peptydowych w mózgu), Allan Cormarck i Godfley Hounsfield (1979, era tomografii komputerowej), John Vane, Bengt Samuelsson i Sune Bergstrom (1982, poznajemy prostaglandyny), Michael Brown i Joseph Goldstein (1985, receptor LDL i jego rola w metabolizmie cholesterolu, teoria miażdżycy), Stanley Prusiner (1997, priony – nowe podłoże biologiczne infekcji), Robert Furchgott, Louis Ignarro i Ferid Murad (1998, tlenek azotu okazał się cząsteczką sygnałową w układzie krążenia i nieadekwatnym do wielkości odkrycia przyczynkiem do rozmowy o Viagrze), Paul Lauterbur i Peter Mansfielg (2003, obrazowanie rezonansu magnetycznego), Barry Marshall i Robin Warren (2005, wykazanie roli *Helicobacter pylori* w zapaleniu błony śluzowej żołądka i czynnej chorobie wrzodowej), Harald zur Hausen (2008, wirus

brodawczaka ludzkiego i początek szczepień chroniących przed rakiem szyjki macicy wywołanym przez HPV), Robert Edwards (2010, opracowanie metody in vitro).

Kolejne akapity zatrzymają się nieco dłużej pośród sześciu wybranych okryć uznawanych nie tylko za przełomowe, ale mających długofalowy wpływ na diagnostykę i leczenie.

W 1923 roku Frederick Banting i John Macleod otrzymali nagrodę za odkrycie **insuliny**, co po dziś dzień stawowi źródło wielu kontrowersji. Biorąc pod uwagę dochodzenie do wyizolowania i zastosowania przeciwcukrzycowego hormonu trzustki, lista laureatów powinna być znaczenie dłuższa. Insulinę po raz pierwszy podano 14-letniemu chłopcu 11 stycznia 1922 roku, leczonemu głodówką. Po trzeciej próbie osiągnięto spektakularny wynik obniżenia glukozy we krwi oraz ustąpienia cukromoczu. Odkrycie, wprowadzane z niemałym trudem i obawami środowiska związanymi z bezpieczeństwem stosowania preparatu oraz problemami technologicznymi, zrewolucjonizowało leczenie cukrzycy, które stawia wciąż nowe wyzwania.

W 1934 roku George Whipple, George Minot i William Murphy odebrali nagrodę za skuteczną metodę leczenia **niedokrwistości złośliwej**. Odkrycie, że przyczyną choroby jest niedobór dietetyczny, doprowadziło ostatecznie w 1948 roku do wyizolowania witaminy B12, a 7 lat wcześniej kwasu foliowego. Mimo błędnej przesłanki i dzięki cudownemu zbiegowi okoliczności, podawanie chorym z niedoborem czynnika wewnętrznego wątroby wołowej, spowodowało wchłanianie witaminy na drodze biernej dyfuzji i normalizację parametrów hematologicznych.

W 1945 roku nagrodę otrzymali Aleksander Fleming, Ernst Chain i Howard Florey za odkrycie **penicyliny** i jej leczniczego wpływu w różnych chorobach zakaźnych. Wprowadzenie pierwszego na świecie antybiotyku było najważniejszym wydarzeniem medycznym minionego stulecia. Wynalazek przypisuje się przypadkowemu stwierdzeniu w 1928 roku, że pleśń *Penicillium notatum* wydziela substancję o właściwościach bakteriobójczych. Warto nadmienić, że podobne obserwacje prowadzono co najmniej od 1870 roku. nierozstrzygniętą kwestią jest rola stażysty Marlina Pryce’a,

który podobno pierwszy pokazał Flemingowi szalkę z ciekawym zjawiskiem. Potencjał terapeutyczny wydzieliny nie został na początku dostrzeżony przez środowiska medyczne. Dopiero działania Chaina, Haetley’a i Florey’a doprowadzają do triumfu. Penicylina stała się marką. Nie brakuje jednak problemów, których przysparza współczesna antybiotykoterapia: nabywanie odporności przez drobnoustroje i rażące nadużywanie, także w weterynarii, rolnictwie, przemyśle spożywczym i chemicznym, np. przy produkcji farb.

Latem 1929 roku 24-letni absolwent medycyny Werner Forssmann zszedł do sali operacyjnej, podwinął rękaw fartucha i wstrzyknął sobie w zgięcie łokciowe środek znieczulający. Potem wyłuskał żyłę łokciową i umieścił w niej końcówkę cewnika urologicznego. Przeszedł do pracowni rentgenowskiej, gdzie z pomocą aparatu fluoroskopowego, lustra i pielęgniarki wprowadził cewnik do prawego przedsionka serca, co udokumentował na kliszy rtg. Następnie cewnik wyjął i nie zanotował żadnych praktycznie powikłań poza stanem zapalnym w miejscu jego wprowadzenia. Doniesienie naukowe spowodowało wyrzucenie eksperymentatora z pracy, wieloletnią tułaczkę, porzucenie myśli o kardiologii i... Nagrodę Nobla w 1956 roku za **cewnikowanie serca**. Powrót do badań nad metodą przez Cournanda i Richardsa (współlaureatów) nastąpił w czasie II wojny światowej i krok po kroku z jej użyciem odpowiadano na pytania związane z czynnością serca, krążeniem płucnym i ich zaburzeniami. Czy znamy ciąg dalszy tej historii? Niekoniecznie. Wszystko nadal przed nami...

Najsławniejszą medyczną Nagrodą Nobla jest wyróżnienie z 1962 roku przyznane Crickowi, Watsonowi i Wilkinsonowi za odkrycie molekularnej struktury kwasów nukleinowych i ich znaczenia dla przekazywania informacji w żywym materiale. Mówiąc prościej badaczom udało się rozwikłać tajemnicę życia. Ich praca wyjaśniła procesy przechowywania, replikacji i przekazywania materiału genetycznego, poprzez stworzenie modelu DNA opartego na podwójnej helisie.

Konsekwencją odkrycia struktury DNA były następne prace nagradzane w Sztokholmie. W 1993 roku Michael Smith i Kary Mullis otrzymali nagrodę w dziedzinie

chemii za wynalezienie **reakcji łańcuchowej polimerazy** (1983) oraz stosowanie mutagenезы ukierunkowanej i jej wykorzystanie w badaniach białek. Odkrycie ma dalekosiężne i rewolucyjne skutki kliniczne. Podstawową zaletą metod okazał się fakt precyzyjnej identyfikacji wady genetycznej powodującej chorobę dziedziczną, poprzez mapowanie genów. PCR wykorzystujemy do diagnostyki próbek biologicznych w badaniach prenatalnych i preimplantacyjnych oraz kryminalistyce pod hasłem genetycznych odcisków palców.

Andrzej Szczeklik w swojej książce *Nieśmiertelność* pisze, że współczesny lekarz, stawiając rozpoznanie i rokowanie choroby, coraz częściej sięga do zapisu DNA. Kolejnym krokiem, według tego wybitnego lekarza i humanisty, będzie synteza nowego życia. Pytanie jednak, czy w dalszym ciągu opisywać będziemy nasz rodowód i nasz początek?

Coraz trudniej oddzielić wzajemny wpływ poszczególnych dziedzin nauki i odróżnić, które z nich decydują o postępach w medycynie. Dlatego warto przez chwilę spojrzeć na temat również z innej strony. Bliskie medycynie Noble przyznawane były kilka razy m.in. takim ludziom, jak: Frederic Sanger, który dwukrotnie (1958,1980) sięgnął po sztokholmski laur z chemii za badania nad strukturą białek, w tym szczególnie insuliny oraz opracowanie metody sekwencjonowania DNA. W taki sam sposób popatrzmy na Międzynarodowy Ruch Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężycy – organizacje, których misją jest zapobieganie i łagodzenie cierpienia ludzkiego oraz ochrona godności, zdrowia i życia człowieka. Ich trzykrotne wyróżnienie Pokojową Nagrodą Nobla (1917,1944,1963) wydaje się ze wszech miar oczywiste. Dodajmy, że twórca Czerwonego Krzyża, kupiec i filantrop Jean Henri Dunant był jednym z pierwszych pokojowych laureatów.

Do Oslo, gdzie wyjątkowo ogłasza się i wręcza najważniejsze wyróżnienie za walkę o pokój na świecie, dwukrotnie pojechały delegacje medyków: w 1985 roku należący do organizacji *lekarze przeciw wojnie nuklearnej* (Polskę reprezentował Jerzy Woy-Wojciechowski), a w roku 1999 *lekarze bez granic*.

Pokojowego Nobla w 1953 roku wręczono Albertowi Schweitzerowi, urodzonemu w Alzacji, który w 1913 roku założył szpital – leprozorium Lambarene w Gabonie, wyrzekając się po ukończeniu studiów filozoficznych, teologicznych i medycznych, kariery naukowej i koncertowania (był również doskonałym organistą i znawcą Bacha), by jako lekarz nieść pomoc Afrykańczykom. Jego ideą etyczną było poszaniewanie życia, zawarte w twierdzeniu: *Jestem życiem, które pragnie żyć, pośród życia, które pragnie żyć.*

Jak zawsze wokół prestiżowego wydarzenia jest wiele niedomówień i skandali. Komitet Noblowski również nie ustrzegł się fali krytyki za część swoich decyzji. W medycynie zawrzało w 1949 roku, kiedy do Sztokholmu zaproszono Egasa Moniz’a za badania nad leczniczymi efektami lobotomii, a liczne protesty nie przyniosły efektu w postaci odebrania dyplomu. W Polsce zabieg lobotomii jest obecnie zabroniony.

Krytykę rodzą również zasady, które zabraniają przyznania Złotego Medalu więcej niż trzem naukowcom, co często powoduje sytuację arbitralnego odrzucenia osób nie mniej zaangażowanych w odkrycie od nagrodzonych.

Wbrew zasadom zdarzyło się pośmiertne ogłoszenie werdyktu Instytutu Karolinska. 3 października 2011 roku w dniu publikacji komunikatu przyznającego nagrodę dla Ralpha Steinmana za odkrycie komórki dendrytycznej i jej roli w odporności nabytej, laureat od trzech dni nie żył, o czym nie poinformowano wcześniej Fundacji.

Sześciu laureatów odmówiło przyjęcia medalu, dyplomu i pieniędzy ze Sztokholmu, z czego cztery osoby uczyniły to w obawie przed represjami. W 1939 roku obywatel III Rzeszy Gerhard Domagk, pod naciskiem władz niemieckich, zrezygnował z nagrody za odkrycie bakteriostatycznych właściwości prontosilu, które zapoczątkowały epokę sulfonamidów. Po zakończeniu II wojny światowej sprawiedliwości stało się jednak zadość.

Ostatnim akordem niech będą rodzinne wyjazdy do stolicy Szwecji. Maria i Piotr Curie nie mogli niestety podziwiać ratusza sztokholmskiego, który gości laureatów na

tradycyjnym balu dopiero od 1923 roku. W przypadku małżeństwa Gerty i Carla Cori, Amerykanów pochodzenia czeskiego, nagrodzonych za prace nad katalityczną przemianą glikogenu (1947), należy przypuszczać, że nie tylko zachwycili się szkierowym wybrzeżem, śpiewami dziewcząt ubranych na biało z wiankami na głowie i płonącymi świecami ku czci św. Łucji, ale także salami zabaw i bankietów noblowskich w kolo-rach błękitu i złota.



BRAT NASZEGO BOGA

Był rok 1991. Czerwiec. Jan Paweł II po raz kolejny pielgrzymował po Polsce z przesłaniem *Bogu dziękujcie, ducha nie gaście*. Z okazji wizyty w Płocku: na ławkach przed stadionem, w więzieniu i katedrze, zbierał się kilkakrotnie komitet organizacyjny, który realizował mozolnie plan uroczystości. Znalazł się w nim również spektakl napisany przez dostojnego gościa, który wyreżyserował i w przepięknej dekoracji żywego ołtarza wystawił dyrektor Marek Mokrowiecki, po cichu, a potem głośno licząc na odwiedziny autora podczas nocnego *Jeremiasza*⁵⁰.

Jan Paweł II zanim zdecydował się na kapłaństwo, chciał związać swoje życie z teatrem. I tylko o tym napiszę: o poecie i aktorze epoki Kolumbów.

Urodzony w 1920 roku Karol Wojtyła już jako gimnazjalista wielokrotnie recytował wiersze na uroczystościach szkolnych, m.in. w trakcie akademii po śmierci Józefa Piłsudskiego. Często wykorzystywano jego rodzący się talent oratorski. W 1933 roku dodawany do krakowskiego pisma *Dzwon Kościelny – Dzwoneczek* – publikuje słowa jego pożegnania, skierowane do katechety Kazimierza Figlewicza wygłoszone w Wadowicach.

O początku kariery aktorskiej możemy powiedzieć w roku 1935. Wówczas w Towarzystwie Sokół Wadowicki Teatr Amatorski wystawił: *Antygonę* Sofoklesa, w której piętnastoletni Karol Wojtyła zagrał Hajmona – syna Kreona i narzeczonego Antygony. O tym spektaklu wspomni papież Jan Paweł II podczas ostatniej pielgrzymki do Polski na wadowickim rynku w 1999 roku. Ale tych przedstawień było znacznie więcej. Do 1938 roku zagrał kolejno: Gustawa w *Ślubach panieńskich* Aleksandra Fredry, króla w dramacie *Zygmunt August* Stanisława Wyspiańskiego, Korkora w *Balladynie* Juliusza Słowackiego. Jego sceniczną partnerką była Halina Królikiewiczówna, znana później krakowska aktorka. Równocześnie Karol występował

50 Karol Wojtyła, Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku, Marek Mokrowiecki

w inscenizacjach przygotowywanych przez księdza Edwarda Zachera w Domu Katolickim: był hrabią Henrykiem i reżyserem *Nie-Boskiej komedii* Krasińskiego oraz wcielił się w rolę Jana Ewangelisty w *Apokalipsie*. Przedstawienia z wielkim powodzeniem grano nie tylko w Wadowicach, ale także w Andrychowie, Ketach i Kalwarii.

W 1938 roku młody Wojtyła przeprowadza się z ojcem do Krakowa i rozpoczyna studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. O wyborze kierunku przeczytać można w książce *Dar i Tajemnica*, w której zwierza się, że wszyscy wieszczyli mu seminarium, a on poszedł na polonistykę, gdzie zaczyna interesować się staropolszczyzną i filozofią. Bardzo dużo czyta. Współtworzy Klub Młodych Artystów, redagujący pismo *Nasz Wyraz*. W latach 1938-39 powstają utwory składające się na cykl *Renesansowy Psalterz*, a przed wybuchem wojny *Ballady beskidzkie*, które zaginęły, podobnie jak dramat *Dawid*.

Przyszły papież przyłącza się do kompanii poetyckiej, czego rezultatem jest debiut literacki w Sali Błękitnej Domu Katolickiego – obecnie budynku należącego do Filharmonii Krakowskiej. Podczas wieczoru *Drogą topolowy most* zaprezentowali swoje wiersze czterej studenci: Jerzy Bober, Jerzy Kałamacki, Tadeusz Kwiatkowski i Karol Wojtyła. Z wydarzenia zachował się plakat powielany w wielu publikacjach i anegdota o wracających z recytacji poetach, którzy postanowili pierwsze zarobione pieniądze przepić w jednej z krakowskich karczm. Uczestniczący w radosnym korowodzie Wojtyła, w połowie drogi mówi, że się źle czuje i zabrawszy swoje honorarium, oddziela się od kolegów. Nie odchodzi jednak daleko, przyłączając się do Konfreternii Teatralnej Studio 39, czyli szkoły teatralnej dla amatorów. Zwieńczeniem kilkumiesięcznej nauki było wystawienie w czerwcu 1939 roku komedii muzycznej *Kawaler księżycowy* Mariana Niżyńskiego z udziałem Wojtyły jako zodiakalnego Byka podczas *Dni Krakowa*. Spektakl grany był na dziedzińcu Kolegium Nowodworskiego.

Wybuch II wojny światowej przerywa studia. Karol Wojtyła zaczyna pracę, ale jednocześnie intensywnie uczy się i pisze. W 1940 roku, w wyniku dogłębnych studiów Starego Testamentu powstaje *Hiob* – opisywany jako próba zbliżenia się do zagadnienia cierpienia, które może doprowadzić człowieka do Chrystusa. Wyraźne

są tu także związki z polityczną sytuacją Polski podczas okupacji hitlerowskiej i jej hiobowej drogi. Drugi utwór to **Jeremiasz** (tytuł miał brzmieć docelowo *ZAKON*) to dramat narodowy, w który wplecione są postacie ojca Piotra Skargi i hetmana wojsk polskich w wojnie z Rosją i Turcją Stanisława Żółkiewskiego oraz św. Andrzeja Boboli – męczennika za wiarę.

W 1940 roku dochodzi do pierwszego spotkania Karola Wojtyły z ukrywającym się w Krakowie Juliuszem Osterwą (skoligaconym z Sapiehami) – twórcą Teatru Reduta. Wielokrotnie odwiedzany przez Wojtyłę razem z Julianem Kydryńskim w mieszkaniu przy ulicy Basztowej Osterwa przekonywał o posłanniczej, a nie tylko błazeńskiej roli aktora. Siłę oddziaływania artystycznego Osterwa ściśle łączył z pierwiastkiem etycznym i ideowym... Po wojnie w 1946 roku wielki aktor i reżyser uczestniczył w święceniach kapłańskich swojego gościa, ucznia i rozmówcy Karola Wojtyły, który wcześniej na zamówienie Osterwy od nowa przekłada z oryginału **Króla Edypa** na *język ludzki*, w stylu osterwiańskiej rewizji. *Grupa Osterwy* ćwiczyła także **Hamleta**, **Wesele**, **Wyzwolenie**, **Przepióreczkę** Żeromskiego. W zespole był znany pisarz PRL Wojciech Żukrowski.

22 sierpnia 1941 roku w mieszkaniu Dębowskich przy Komorowskiego 7 w Krakowie powstaje Teatr Rapsodyczny, początkowo nazywany Nasz Teatr, założony w warunkach konspiracyjnych przez katolickie podziemne ugrupowanie polityczne *Unia* dla zamanifestowania oporu duchowego wobec niemieckiego okupanta, utrzymania ciągłości życia artystycznego, wychowania młodzieży i przygotowania jej do pracy obywatelskiej po zakończeniu wojny. Kierownictwo teatru powierzono doktorowi Mieczysławowi Kotlarczykowi – poloniście i teatrologowi, animatorowi teatru ochotniczego w Wadowicach, teoretykowi sztuki żywego słowa. Po śmierci ojca Karol Wojtyła zaproponował Kotlarczykowi i jego żonie, by zamieszkali z nim przy Tynieckiej 10. Tam też odbywały się próby teatralne. Do sześciuosobowego zespołu należeli: Krystyna Dębowska, Halina Królikiewicz, Danuta Michałowska, Mieczysław Kotlarczyk, Tadeusz Ostaszewski i Karol Wojtyła. Kotlarczyk był nie tylko dyrektorem, ale

i reżyserem wszystkich siedmiu zrealizowanych premier, autorem scenariuszy, a przy tym pedagogiem, dbającym o formację intelektualną, narodową i duchową aktorów. Inspirację do pracy czerpali z chrześcijańskich i narodowych źródeł kultury, zwłaszcza dziedzictwa romantycznego. Po trzech miesiącach przygotowań nastąpiła pierwsza premiera: inscenizacja poematu **Król-Duch** Juliusza Słowackiego, a tak naprawdę rapsodów (tak nazywają się części poematu, który jest podniosłą, smutną i żalobną pochwałą bohatera), stąd nazwa teatru.

Przedstawienia odbywały się w prywatnych mieszkaniach krakowskiej inteligencji. Zespół wystawił **Beniowskiego** Juliusza Słowackiego, **Hymny** Jana Kasprówicza, **Godzinę** Stanisława Wyspiańskiego, **Portret artysty** Cypriana Kamila Norwida, **Pana Tadeusza** Adama Mickiewicza (przyszły papież grał rolę księdza Robaka) i **Samuela Zborowskiego** Juliusza Słowackiego, po czym Karol Wojtyła odłączył się od zespołu. Był już wówczas alumnem podziemnego seminarium duchownego i nie widział możliwości łączenia studiów teologicznych z aktorstwem.

Teatr Rapsodyczny przygotował w czasie wojny 11 spektakli, ale wystawił tylko 7 premier. Zagrał 22 razy, odbył 100 prób... W gronie rapsodystów był Devi Tuszyński – Żyd z Płocka, scenograf, który przeżył wojnę i był gościem Jana Pawła II w Watykanie.

Najwięcej wiemy o premierowym wystawieniu **Króla-Ducha** z 1 listopada 1941 roku. Karol Wojtyła mówił rolę Bolesława Śmiałego. Teatr poprzestał na najprostszych akcesoriach scenicznych – kotara z maską pośmiertną poety, na fortepianie świecznik i księga.

Mieczysław Kotlarczyk wspominał⁵¹: *Niezapomniane środy i soboty, bez względu na terror i łapanie. Bez względu na szalejące po murach afisze o coraz to nowych rozstrzeliwaniach, próby ze Słowackiego, Kasprówicza, Wyspiańskiego i Norwida czy Mickiewicza. I to nieraz próby w ciemnej, zimnej kuchni naszej dębnickiej*

51 25 lat Teatru Rapsodycznego

«katakumby», nieraz przy świeczkach na piecu, kiedy prąd nam wyłączano. Romantyczne, na posterunku próby, pogłębiające naszą świadomość polską, że przetrwamy, że dopłyniemy do brzegu wolności, idei swojego teatru wierni. (...) W takich warunkach i atmosferze powstawał Teatr, na którego improwizowanej scenie jawiło się szarpanej duszy polskie słowo.

Po zakończeniu wojny Teatr Rapsodyczny kontynuował swą linię programową, opracowując nowe wersje okupacyjnych realizacji. Karol Wojtyła nie stracił z nim kontaktu. Jedną ze swoich pierwszych mszy św. odprawił w katedrze w intencji rapsodyków, bywał na przedstawieniach, spotykał się z zespołem, nad którym sprawował opiekę duchową, pisał recenzje do *Tygodnika Powszechnego*, a kiedy istnienie teatru było zagrożone, stawał w jego obronie. Scena była opozycją wobec lansowanej przez władze socrealistycznej polityki kulturalnej. Nie podobały się związki aktorów z księdzem, biskupem, a później arcybiskupem Wojtyłą. Wiosną 1953 roku teatr zamknięto i reaktywowano go po czterech latach podczas *październikowej odwilży*. Ostateczna likwidacja nastąpiła w 1967 roku, gdy Mieczysław Kotlarczyk wziął udział w milenijnych uroczystościach kościelnych w Częstochowie i Krakowie. Bezskuteczna okazały się wszystkie interwencje.

Teatr Rapsodyczny zapoczątkował w Polsce powszechny i trwały ruch teatrów poezji, zarówno zawodowych, jak i amatorskich. Do pokrewieństwa z nim przyznawał się Adam Hanuszkiewicz, Jerzy Grotowski, Gustaw Holoubek, ukazujący zawód aktora jako kapłana słowa. 30 lat po likwidacji rapsodystów powstał Teatr Wizualny, nawiązujący do idei bliskiej Kotlarczykowi i Karolowi Wojtyle, skupiający utalentowanych studentów i absolwentów krakowskich szkół artystycznych. W 1981 roku odbyła się uroczystość czterdziestolecia powstania teatru. W książce *Wojtyła* Adam Bujak i Michał Rożek cytują fragment listu, jaki Jan Paweł II przesłał do uczestników tego spotkania: *Teatr ten, który początkami swymi sięga mrocznych lat okupacji, przez cały czas swej działalności aż do drugiej likwidacji naznaczony był znamieniem służby, którą pomimo przeciwności spełniał wobec narodu i jego kultury. Służył Teatr*

Rapsodyczny polskiemu słowu, służył prawdzie i pięknu, które wedle słów Norwida, „na to jest, by zachwycalo do pracy – praca, by się zmartwychwstało”.

Czy jednak odchodząc z Teatru alumn, a później młody ksiądz, wikary, proboszcz, biskup, arcybiskup, kardynał i papież przestaje pisać? Nic bardziej mylnego! W 1944 powstają m.in. wiersze: **Harfiarz**, **Mściciele**, **Proletariat**, **Przełom** oraz **Pieśń o Bogu ukrytym**. Na 1950 rok datowana jest **Pieśń o blasku wody** oraz wiersz **MATKA**. Jeśli utwory te ukazują się, to zawsze pod pseudonimami, gdyż nie było jeszcze pełnego przyzwolenia kościoła na poetyckie odkrywanie swojego wnętrza. Pseudonimy Karola Wojtyły to: Andrzej Jawień, Stanisław Andrzej Gruda, Piotr Jasień, A.J. Do bardziej znanych utworów wydanych pod pseudonimem należały **SONETY** i **MAGNIFICAT**. Sam Wojtyła, po latach nie miał dobrego zdania o swojej twórczości, a w jednym z wywiadów powiedział nawet: *poezja to wielka pani, której trzeba się całkowicie poświęcić, obawiam się, że nie byłem wobec niej zupełnie w porządku...*

Pięć lat poświęca na przygotowanie następnej swojej sztuki **Brat naszego Boga**, którą kończy w roku 1950, zainspirowany postacią malarza, teoretyka sztuki i patrioty Adama Chmielowskiego (1845-1916). Chmielowski był założycielem zgromadzenia albertynów, sam przyjmując imię Alberta i służył w Krakowie najbardziej, upośledzonym i chorym. Został kanonizowany przez Jana Pawła II. Sztuka opublikowana po wyborze na stolicę Piotrową biła rekordy popularności w inscenizacji Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie w latach osiemdziesiątych. **Brat naszego Boga** to poetyckie studium będące próbą przeniknięcia przemiany człowieka – artysty w Bożego Sługę. Zmaganie się dwóch powołań artystycznego i kapłańskiego było znane i autorowi.

W 1960 roku Karol Wojtyła napisał swoją najbardziej znaną sztukę **Przed sklepem jubilera**⁵². Dramat opowiada o miłości i małżeństwie. Trzy małżeństwa, trzy

52 Płockie realizacje sztuk Karola Wojtyły: *Przed sklepem jubilera*, Andrzej Maria Marczewski, 1981, *Brat naszego Boga*, Andrzej Maria Marczewski, 1982, *Jeremiasz*, Marek Mokrowiecki, 1991, *Przekroczyć próg nadziei*, Marek Mokrowiecki, 1995, *Tryptyk Rzymski*, Witold Mierzyński, 2004

rozmaite poplątane losy – bohaterowie odkrywają przed widzami tajemnice swych dusz, niepokoje i rozczarowania. Ich historie są pretekstem do pokazania, że miłość małżeńska ślubowana w obliczu Boga, jest odzwierciedleniem jego miłości do nas.

W 1964 roku, powstaje dramat medytacyjny *Promieniowanie Ojcostwa*, traktujący o dojrzewaniu do ojcostwa, budowaniu relacji człowieka z Bogiem i innymi ludźmi. Opublikowany w 1979 roku jest najtrudniejszym w odbiorze scenicznym dziełem, wystawionym tylko raz przez Teatr Rozmaitości w Warszawie.

W 1978 roku powstaje poemat *Stanisław*, nigdy nie opublikowany a w 2003 roku *Tryptyk Rzymski* – jedyne dzieło literacko – poetyckie wydane przez papieża w całej historii kościoła katolickiego.

Był rok 1991. Czerwcową noc z 7/8. Nerwowość publiczności, która siedziała po trzecim dzwonku już czterdzieści pięć minut sięgała zenitu. Gong. Kurtyna w górę. Gość nie przyszedł. Ale aktorzy dali z siebie wszystko, a wizyjność kazania Piotra Skargi była porywająca. A kilka ulic dalej, z okna pałacu biskupiego Jan Paweł II rozmawiał z młodzieżą. Owacja na stojąco, śpiewy, modlitwy i czuwanie przeciągnęły się do rana.

W październiku 2015 roku Książnica Płocka zaprosiła na wystawę *Weź myśl i dokończ człowieka...*, prezentującą fotografie, plakaty, programy teatralne i projekty kostiumów z przeniesionych na scenę sztuk Karola Wojtyły. Były tam unikatowe zdjęcia szkolnych przedstawień przechowywane w Muzeum Domu Rodzinnego Ojca Świętego Jana Pawła II w Wadowicach. Wernisaż odbył się z udziałem dyrektora Marka Mokrowieckiego, który opowiadał anegdoty z pierwszej realizacji *Jeremiasza* w Bielsku-Białej.

Zapewne nieznanomość dzieł Wojtyły grzechem śmiertelnym nie jest, ale warto zajrzeć do spuścizny człowieka, którego wybór proroczo przewidział Juliusz Słowacki, a wstępem do ról watykańskich były *niejaselkowe* role sceniczne.

[POŚRÓD NIESNASKÓW – PAN BÓG UDERZA]⁵³

*W ogromny dzwon,
Dla Słowiańskiego oto Papieża
Otwarty tron.
Ten przed mieczami tak nie uciecze
Jako ten Włoch,
On śmiało jak Bóg pójdzie na miecze;
Świat mu – to proch.*

*Twarz jego, słońcem rozpromieniona,
Lampą dla sług,
Za nim rosnące pójdą plemiona
W światło – gdzie Bóg.
Na jego pacierz i rozkazanie
Nie tylko lud –
Jeśli rozkaże – to słońce stanie,
Bo moc – to cud.*

*On się już zbliża – rozdawca nowy
Głowych sił,
Cofnie się w żyłach pod jego słowy
Krew naszych żył;
W sercach się zacznie światłości Bożej
Strumienny ruch,
Co myśl pomyśli przezeń, to stworzy,
Bo moc – to duch.*

53 Juliusz Słowacki



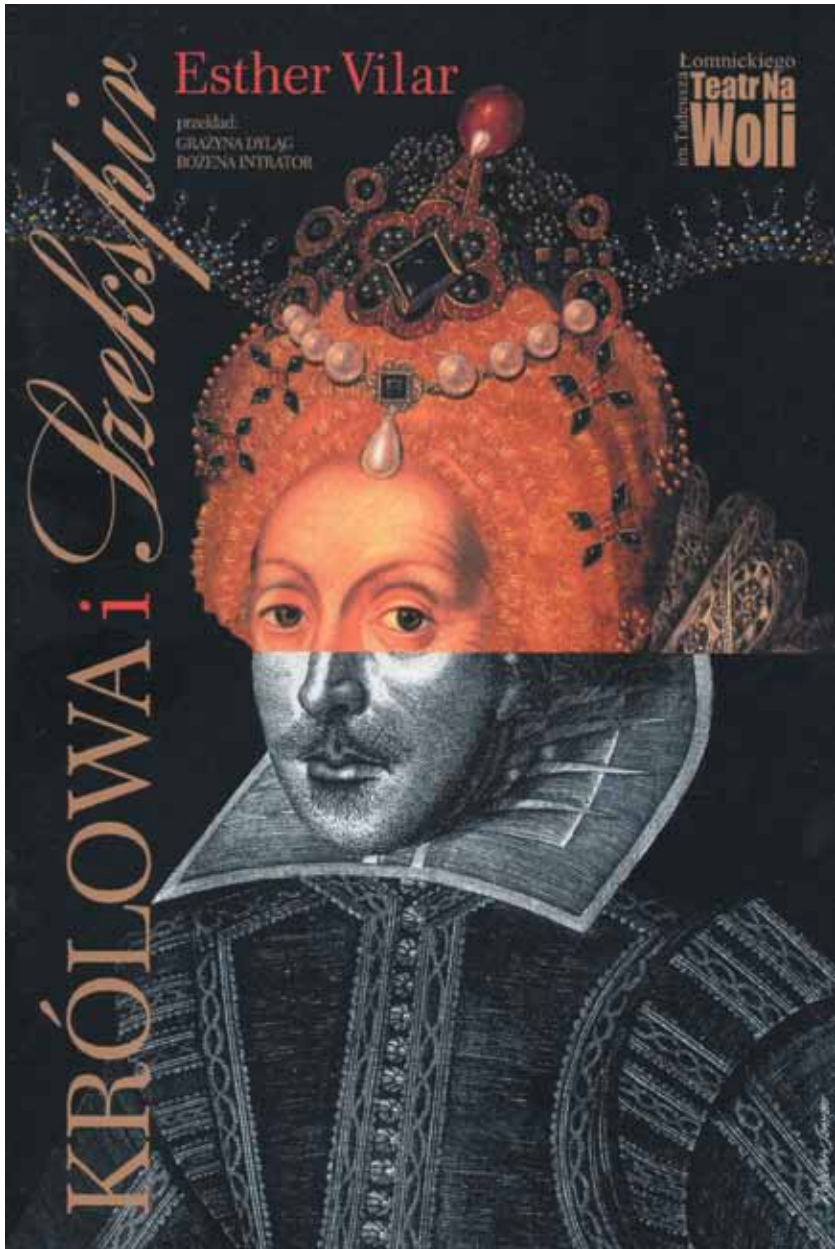
SZEKSPIR BEZ PRZERWY

KRÓLOWA i Prekaspim

Esther Vilar

przekład:
GRAZYNA DWŁAG
BOŻENA INTRATOR

Lomnickiego
Teatr Na
Woli



KRÓLOWA I SZEKSPIR

Widziałem Ninę Andrycz – królową *Teatru Polskiego*⁵⁴, która grała ostatnią rolę *Na Woli*⁵⁵, a przez jeden marcowy wieczór w Płocku, gdzie zawitali *Królowa i Szekspir*⁵⁶, porywając miejscową publiczność do stojącej owacji. Modny w dawnych czasach teatr objazdowy, dziś szumnie nazywany impresaryjnym święcił sukces dzięki grze gwiazdy, która królowej odtwarzać nie musiała, bo po prostu nią była.

W finezyjnej dwuaktówce można znaleźć ważny przekaz, że wbrew pozorom nie tylko literatura zachowuje nas w pamięci potomnych. Elżbieta I Angielska nie potrzebowała Williama Szekspira i jego ponadpokoleniowego dramatopisarstwa, wystarczyła jej praca dla ojczyzny, by stać się nieśmiertelną.

Zawód lekarza wymaga poświęcenia i wytrwałości, dbałości o reputację i sympatię pacjentów. Zdarza się, że niewielki błąd niszczy karierę, ale równie często błędy zostają wybaczone, gdy ważniejsza jest umiejętność rąk, mądrość słów, autorytet nazwiska, pozycja mistrza i nauczyciela.

Królowa zaprasza Szekspira na swoją śmierć. Dyktuje sceny nowego dramatu, spektaklu *dla sławy*, pokazującego jej niezłomność nawet w ostatnich godzinach życia. Władcy są ludźmi, przeżywają chwile słabości, mają kompleksy i fobie, drażnią ich błahostki, rozśmieszają tragedie. Ale ważniejsze są dla nich cele globalne, fundamentalne, mniej popularne wśród spóółstwa.

Środowisko lekarskie dźwiga na sobie ciężar władzy nad zdrowiem i życiem. Lepiej lub gorzej dba o swoje królestwo, w większości nie myśląc o blasku sławy, a jedynie o bezpieczeństwie własnej rodziny. Tysiące z nas pozostanie poza zasięgiem peanów ku czci i nie trafi do historycznych kartotek.

⁵⁴ Nina Andrycz była aktorką Teatru Polskiego w Warszawie, debiutowała w Wilnie „na Pohulance”

⁵⁵ Teatr im Tadeusza Łomnickiego „Na Woli” w Warszawie

⁵⁶ Esther Vilar

Współczesny dramatopisarz jawi się nam niestety pod przykrywką brukowej prasy, która tworzy księgę zbrodni medycznej i nie potrafi rozdzielić przestępstwa i zawinionego błędu od powikłań. Mieszają się więc skandale, łapówki i biegłe opinie z indywidualnymi reakcjami na leczenie.

Zaprosiliśmy Szekspira na śmierć autorytetów, nieomyłności diagnoz i terapii, patriarchatu z muszką do fartucha. Próbujemy grać godnie, ale ciągle wyłażą świństewka, małostki i przewinienia. Pozostaje nadzieja, że w pamięci pokoleń pozostanie jednak dzieło postępu, walki z bólem i strachem, z amnezją i dusznością, z głuchotą i tikiem. Ze śmiercią.

SZTUKA LEKARSKA (fragment)

Śnij prometejski sen
Sztuki lekarskiej Misterium
Dając ogień i tlen
Przez kolejne milenium
Z przepisów starych ksiąg
Zbierz, różnicuj, uzdrawiaj!
Magiczny receptur ciąg
Udoskonalaj!

Śnij Biegańskiego sen
Sztuki lekarskiej Etyko
Dobry wśród nas jest ten
Co łączy myśl z praktyką!
Dobrego słowa lek
Mów, wyjaśniaj, rozmawiaj
Ku zdrowiu ciągly bieg
Udoskonalaj!

Śnij noblowski nasz sen
Sztuki lekarskiej Potęgo
Nadprzyrodzony gen
Podwójną zapisz wstęgą
Sięgając w życia krąg
Waż pytania, rozprawiaj
Sprawność cudownych rąk
Udoskonalaj!

HAMLET

William Shakespeare

Teatr Współczesny w Warszawie

KRÓLEWICZ DUŃSKI

Z okazji dwustulecia tradycji teatralnych w Płocku było wiele propozycji organizacyjnych i repertuarowych: sesja naukowa, tablica pamiątkowa, premiera *Hamleta*. Dyrektor Mokrowiecki poprosił Płockie Towarzystwo Przyjaciół Teatru o pomoc i pomysły. I tak powstała idea *Wieczorów Szekspirowskich*.

Przejrzałem dzieła Mistrza i wszystkie propozycje teatralne. Pomyślałem, że trzeba trochę zaskoczyć widzów i pokazać różnorodność, którą dają nam dzieła najwybitniejszego dramaturga. Powstał afisz, który przyprawił mnie o zawrót głowy i pytanie: *czy to jest możliwe do zrealizowania?*

Na pierwszy ogień poszedł *Hamlet*. Moje doświadczenia z tym utworem były różne. W szkole go nie czytałem. Na sceniczne wrażenia musiałem poczekać wiele lat. Zacząłem raczej nietypowo, oglądając spektakl po włosku podczas poznańskiej Mały. Szczerze mówiąc zostało mi w głowie niewiele. Szybka inscenizacja toczona na ruchomej platformie, której obracanie otwierało kolejne scenograficzne przestrzenie zamku duńskiego. Świetlica, w której tragedię wystawiano, była duszna. Siedzieliśmy niewygodnie, a sprzęt do podpowiadania tekstu na ścianie zawieszał się.

Mój syn nie był zadowolony z realizacji *Hamleta* wystawionego przez Japończyków podczas Festiwalu Szekspirowskiego w Gdańsku. *Okropne!* Długo przerzucaliśmy się argumentami. Zapowiadało się doskonale. Odczytanie tekstu przez aktorów ukształtowanych w innej kulturze scenicznej było magnesem dla wielu gości Teatru Wybrzeże. Hamlet siedział *po japońsku*, centralnie przez całą realizację, a za jego plecami, jak wyjaśniali interpretatorzy, czyli w głowie, rozgrywała się akcja. Oryginalne stroje i muzyka. Niezwykły język, który odczarował stereotyp śpiewności i egzotyki. Uszy szybko akceptowały frazę. Niestety artyści nie przełamali nudy, która zapanała natychmiast po rozpoznaniu pierwszych scen. **Ćma much**⁵⁷

⁵⁷ z języka japońskiego: Reszta jest milczeniem

Wieczory Szekspirowskie wspomagane organizacyjnie przez izbę lekarską dostały motto zaczerpnięte z ust Klaudiusza: *Znając diagnozę, znajdziemy lekarstwo*. Pozwoliło to na budowanie równoległego projektu składającego się z fragmentów prezentowanych utworów, które w bezpośredni sposób opisują objawy chorobowe. Księgi Szekspira są kopalnią takich cytatów. Część z nich znalazła swoje miejsce na kartach pocztowych, które zostały wydane z okazji realizacji cyklu.

Choroba duńskiego księcia nie ogranicza się tylko do zemsty po utracie ojca, do zazdrości o nowego partnera matki, do frustracji i braku wiary we własną miłość do Ofelii. Hamlet ma depresję i manię. Hamlet ma podwójną osobowość. Waha się: być czy zasnąć? Umrzeć?

Jak trudno grać rolę młodzieńca osaczonego pokazał Jerzy Grzegorzewski w swojej realizacji *Hamleta według Wyspiańskiego* w Teatrze Narodowym. Niepokój twórczy, poszukiwanie najlepszego, a co za tym idzie najbardziej autentycznego sposobu na pokazanie postaci niejednoznacznej, zagubionej i zbuntowanej. Wyspiański w wykonaniu Wojciecha Malajkata był naprawdę doskonały. Chory, mający sinusoidalne wzloty i upadki intelektualne, ogarnięty poszukiwaniem diagnozy czystej sztuki, a dalej aktorskiego lekarstwa.

Za kulisami, w przedstawieniu *Dzisiaj ani Hamleta...*⁵⁸, aktorstwo ma czas przeszły, zastąpione przez rutynowe czynności kurtyniarza. Po spektaklu *Wielki John Barrymore* Williama Luce'a w Teatrze Stu, z genialną kreacją Jerzego Treli, jedna z recenzentek pisała: *Być czy już nie być... Oto pytanie, które zadaje sobie każdy, kto chociaż raz poczuł smak teatralnej chwały, usłyszał oklaski i przeczytał nieklamane, dobre recenzje. Tylko scena wyzwala.*

Z Kopenhagi w kierunku północnego ujścia cieśniny Sund trzeba pojechać koleją do miejscowości Kronborg. Po kilkuminutowym spacerze z dworca wzdłuż brzegu, odslania się zamek Helsingor, pierwowzór Elsinoru. Kamiennej tablicy na

⁵⁸ Reiner Lewandowski, Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku, Zbigniew Cieślak

wewnętrznej części murów obronnych z wizerunkiem Szekspira trzeba trochę poszukać, aby w tłumie turystów nie przejść obok niej bezwiednie. Hamleta tutaj nigdy nie było, to tylko twórcza wyobraźnia, ale spektakle, wystawy, pamiątki przywołują postacie dramatu. Można sobie wyobrazić miejsca, w których poszczególne sceny się rozgrywają: komnaty, kaplica, dziedziniec, wały z cudownym widokiem na otaczającą zewsząd wodę. Którędy mogła chodzić i zbierać zioła Ofelia, nikt już nie pamięta.

Na premierowy wieczór Szekspirowski wybrałem filmową adaptację Zeffirellego z Melem Gibsonem i Heleną Carter z 1990 roku. Produkcję realizowano w Szkocji i Anglii. W Sali Kolumnowej izby urządziliśmy kino. Dyrektor opowiedział o swoim *Hamlecie* z Teatru Polskiego w Biesku-Białej i związanych z tym perypetiach. Było nas kilkanaście osób, ale projekt ruszył. *Słowa, słowa...*

... Słowa... Różnie mogą zostać odczytane. Najdobitniej o tym świadczy *Przedstawienie „Hamleta” we wsi Głucha Dolna* Ivo Bresana. Poza niezapomnianą realizacją telewizyjną Olgi Lipińskiej obejrzałem w moim teatrze spektakl dyplomowy Grzegorza Reszki (reżyseria) i Tomasza Walesiaka (scenografia). Nie wiem, czemu służył zabieg powierzenia roli Mate Bukary aktorce. Jedynym wyjaśnieniem reżysera był uniwersalizm zła, niezależny od płci, regionów świata i systemów politycznych. Przedstawienie *Hamleta w Przedstawieniu „Hamleta”...* zostało odczytane doraźnie, po łebkach, z naciskiem na dostosowanie odtwórców. Nauczyciel zmienia tekst pierwowzoru, a prawdziwy Hamletowski dramat dzieje się poza sceną małej, komunistycznej wioski. *Są rzeczy na niebie i na ziemi, o których nie śniło się naszym filozofom.*

Kupując bilet do Teatru Współczesnego moja ciekawość była podwójna. Po pierwsze chciałem zobaczyć w roli Hamleta Borysa Szycy, po drugie Katarzynę Dąbrowską jako Gertrudę, zbyt młodą, ale przecież piękną i zdolną. Okazało się jednak, że nigdzie wcześniej ani później nie widziałem takiego Poloniusza, jakiego wyczarował Sławomir Orzechowski. Komizm i tragizm, małostkowość i przebiegłość ojca Ofelii zagrana została harmonijnie, w sposób niewymuszony i prosty. Na tym tle konfrontowałem zdanie: *jakie czasy – taki Hamlet*, z dużą satysfakcją odnotowując, że

Maciejowi Englertowi udało się pokazać bohatera poprzez angaż popularnego aktora, dla którego konwenans, gry dworskie i zdrada są od czterystu lat *więzieniem*, a kolejne pokolenie walczy o wolność mając *usta pełne sztyletów*.

Ofelia. Ofelie. Ile ich było? Mój Boże!

Na placu budowy Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego Ofelie z różną ekspresją powtarzały te same teksty, jak szkolne etudy, wprawki, próby. Było ich siedem, a może nawet dziewięć. *Teatr w Oknie* – *szkicował* portret Ofelii w przestrzeni niewielkiego wybiegu gimnastycznego. Ofelia Katarzyny Anzorge⁵⁹ dostała obłędu nieopodal piaskownicy, w której bawili się z Hamletem w dzieciństwie, a potem piach przykrył zielnik i zielarkę. Yorick Yorickowi stał się równy. W mojej głowie utrwaliła się jednak Ofelia z obrazu Millaisa z połowy XIX wieku. Scena, której nie ma: topielica. Ofelia znaczy pomoc, której nikt w porę oszalałej z miłości i nienawiści dziewczynie nie udzielił.

Zatoczyliśmy koło. Kilka miesięcy od pierwszego *Wieczoru Szekspirowskiego*, ponownie obejrzelśmy królewicza duńskiego. Okazja była ważna, wspomniane dwustulecie płockiej tradycji teatralnej. Zanim więc podniosła się kurtyna, mieliśmy cześć oficjalną jubileuszu, a gospodarzem byli kontynuatorzy rozpoczętego przez Rajmunda Rembiewskiego dzieła, czyli pracownicy i artyści Teatru Dramatycznego im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku. Jak to w takich wypadkach bywa dekorowano orderami i medalami, wręczano kwiaty, składano życzenia, przemawiano politycznie i lirycznie. Kilka wyróżnień przyznało również Płockie Towarzystwo Przyjaciół Teatru. Dyrektor odebrał Złotą Maskę PTPT *Ludziom Teatru Płockiego 1812-2012*. Ostatniej ceremonii towarzyszyła owacja na stojąco, honorująca wszystkich twórców ostatnich dwóch stuleci.

Wcześniej na Wzgórzu Tumskim odsłonięto tablicę pamiątkową, przypominającą o Teatrze na Skarpie, rozebranym przez hitlerowców w 1940 roku. Kilka lat później po przeciwnej stronie stanął pomnik – makieta. Tam też goście jubileuszu mieli okazję,

59 Teatr Dramatycznyim. Jerzego Szaniawskiego w Płocku, Marek Mokrowiecki

przekazując sobie z rąk do rąk symboliczną czaszkę Yoricka, wypowiedzieć słynne cytaty Szekspirowskie.

Z zapartym tchem oglądaliśmy inscenizację *Hamleta* w reżyserii Marka Mokrowieckiego. Na początek wszyscy zobaczyli efektowną scenografię Oleandara Owerczuka. Widziałem przemianę królewicza⁶⁰, którego zagrał młody Sebastian Ryś. Na próbie prasowej miał długie włosy, opadające ciągle na oczy i poprawiane nerwowo w rozmowie z Klaudiuszem zakończonej gorącym pocałunkiem przeznaczonym dla matki. Ku mojemu zaskoczeniu hipisowski Hamlet z plakatu na premierę ostrzygł się do cna. Czar prysł, ale nadzieja pozostała. Po pierwszym akcie kuluary huczały recenzjami i oczekiwaniem na ciekawe zakończenie. Tak też się stało, gdyż ostatnich kilka kontrowersyjnych scen wywołało popremierową burzę, która przetoczyła się przez foyer. Skoro była dyskusja, zachwyt i kręcenie nosem, to znaczy, że teatr spełnił swoje zadanie. Tylko nielicznym przemknęła myśl, że prezentacja zawodów szermierczych do złudzenia przypominała realizację *H.*⁶¹ w Stoczni Gdańskiej. Weźmy to jednak *na klatę*.

Festiwal Szekspirowski od lat zapowiadał otwarcie własnej siedziby przez Fundację Theatrum Gedanense. Kiedy przyszło co do czego, na przecięcie wstęgi Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego zabrakło miejscówek, a odwiedziny premiera Donalda Tuska spowodowały fałszywy alarm bombowy i trzeba było imprezę przerwać. Tydzień później zaczął się konkurs i widzów było znacznie mniej. Wówczas jeden z moich *Hamletów* przemówił po bułgarsku. Niebo gwiazdziste w przerwie spektaklu pokazano przez jedyny na świecie uchylny teatralny dach. Reszta, jak często bywa, pozostała milczeniem. Dwa lata później Krzysztof Garbaczewski spektaklem Narodowego Starego Teatru w Krakowie nie zasłużył nawet na słowa krytyki.

60 O przemianie Hamleta mówi w tekście Klaudiusz

61 Jan Kłata, Teatr Wybrzeże i Instytut audiowizualny. Premiera 2004. Realizacja DVD 2006

romeo i julia

według sztuki williama szekspira

scenariusz i reżyseria agata duda-gracz



www.scenastu.com.pl organizacja-widowni@scenastu.com.pl

SKOK Z BALKONU

Kroplówka niezawodnie podrażniała żyłę, która raz na dobę pękała. Konieczne były kolejne wkłucia. Wynaczyniona krew przeobrażała się pod skórą w wielkie, różnokolorowe siniaki.

Choroba i niespełniona miłość zawsze bołą.

W krakowskim Teatrze STU wystawiono *Romea i Julię*⁶². Agata Duda-Gracz postanowiła zamiast balkonu, postawić szpitalne łóżka i pokazać kochanków poprzez ten sam tekst w różnych okresach życia. Dała im szansę starzeć się interwałami razem ze swoją miłością, pokazując, jak słowa w czasowych odsłonach, po przejściach i życiowych doświadczeniach mogą się zmieniać. Te same frazy zaczynają brzmieć nie tylko inaczej, ale wręcz sekwencyjnie zaprzeczają sobie.

W warszawskim Teatrze Polonia Maria Seweryn i Grzegorz Małecki grali *KONSTELACJE*⁶³ słów, które tylko pozornie brzmiały jak refren. Rozmowa, krzyk, łkanie, szepc są zdecydowanie lepsze niż cisza. Słowa wypowiedane z różną barwą, akcentem, intonacją zmieniają sensy, nie są obojętne. Raz jątrzą, innym razem goją. To, co wydaje się dla jednych otuchą, dla innych znaczy ostateczne odcięcie tlenu.

Najstarszą Julią w spektaklu krakowskim, umierającą w sali chorych była Anna Polony. Wydaje się niewyobrażalne jak stara aktorka mogłaby zagrać rolę kilkunoletniej, zakochanej dziewczyny, jak po przejściach życia pokazać pierwsze uczucie. A jednak robiła to po mistrzowsku, a sztylet choroby z końcem genetycznego paska, przebijał się do świadomości Widza i siał zwątpienie w sens człowieczej wędrówki.

Ginekolog Wacław Dec mówił na łódzkich wykładach do studentów wydziału lekarskiego Akademii Medycznej, że człowiek rodzi się między kałem a moczem. W tych niekomfortowych warunkach osiedlają się na skórze drobnoustroje, z którymi

62 *Romeo i Julia* według sztuki Wilama Szekspira, Agata Duda-Gracz, Scena STU

63 *Konstelacje*, Nick Payne, Adam Sajniuk, Teatr Polonia w Warszawie.

musimy w braterstwie przejść przez świat. Koniec magicznej równowagi następuje z różnych powodów. Koniec zależy od trybu zachowań i szeroko pojętych wpływów środowiskowych. Dzięki lekom potrafimy na jakiś czas przerwać lub zahamować procesy degeneracyjne.

Twardy albo zbyt miękki materac szpitalnej pryczy. Święte obrazki poprzyklejane do ścian. Telewizor, który niczym aniołek na Boże Narodzenie pokazuje swoje umiejętności wyłącznie po wrzuceniu monety. Huk trepów przechodzącego obok sali personelu. Rytm od termometru po wieczorny, rutynowy obchód. Czekanie na diagnostyczne decyzje. Jedzenie słoikowe, w ręku, bez stołu, na szafce, najczęściej łyżką. Smród przypalonego mleka i zielone od gotowania jaja na twardo. Kolorowe pisma. Książki. Krzyżówki. Zlecenia realizowane po sznurku: wklucie, kroplówka raz, kroplówka dwa. O Boże jak mi się chce sikać. Dzwonek. Przepraszam. Dzwonek. Przepraszam...

W kolejce do okienka izby przyjęć można wsłuchać się w wielki żal. Zmiana roli następuje chwilę później, razem ze zmianą ubrania na piżamę lub dres. Przeobrażenie boli jeszcze bardziej. Człowiek tępieje. Zakłada maskę. Samotność kroków po szpitalnym korytarzu huczy nieprawdopodobnie. Do wszystkiego się jednak można przyzwyczaić. Kokon zubożnienia pokrywa kolejny dzień zaraz po chwilach pobudzenia, niecierpliwości, oczekiwania na szybkie decyzje, natychmiastową poprawę i błyskawiczny wypis. Zapomnij!

Boli, ale chce się żyć. Serce przysnurowano do elektrokardiogramu. Płuca wspomagane są sztucznych oddechem. Cewnik oddaje mocz. Prześwietlają każdą tkankę. Wszystko w nadziei na rozpoznanie.

Czasem pacjenci nie chcą wiedzieć. Czasem nie chcą wiedzieć, bo już wiedzą. Czasem nie wiedzą, co się do nich mówi. Czasem nie dopuszczają słów i wiedzą swoje.

Gościem specjalnym drugiego *Wieczoru Szekspirowskiego* była aktorka Grażyna Zielińska, która opowiadała o swojej przygodzie w Nowym Teatrze Hanuszkiewicza,

gdzie przez dwa sezony grała Nianię (Piastunkę) Julii w adaptacji Mistrza. Spektakl miał słabe recenzje i fantastycznie reagującą, tłumnie przychodzącą do teatru młodą publiczność. Poza macierzystą sceną prezentowany był jedynie we fragmentach, które przeplatał swoimi refleksjami Adam Hanuszkiewicz. Zielińska opowiedziała o swojej etudzie Julii przygotowywanej w szkole teatralnej pod kierunkiem Jana Peszka. Przypomniałem sobie, że Peszek wystawił ze studentami *Romea i Julię* podczas Przeglądu Szkół Teatralnych w Łodzi w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych. Charakterystyką tamtego doświadczenia był nieprzyzwoity tłok podczas pierwszych aktów i zupełny luz na widowni po przerwie.

Miałem do wyboru wiele realizacji, które można byłoby pokazać. Najbardziej korcił mnie musical Janusza Stokłosa z Teatru Studio Buffo. Postanowiłem jednak historię dwojga kochanków odtworzyć bez słów i wyrazić miłosny dramat w spektaklu baletowym przygotowanym przez Teatr Balszozj z Moskwy do nut Sergiusza Prokofiewa. Zaskoczenie było duże, efekt piorunujący. Cztery akty fantastycznej muzyki i tańca. Libretto znane dzieciom.

Julia pije eliksir, a jej organizm kreuje śmierć. Umrzeć i narodzić się na nowo! Podnieść się z łóżka i pójść do łóżka wbrew rodzicom. Dźwignąć się z trumny, zmarłychwstać do miłości, która dobra jest, cierpliwa, łaskawa jest... Romeo siedzi pod salą reanimacyjną z telefonem komórkowym w ręku. Ile ma lat? Nieważne. W połączeniach i esemesach, w modlitwach i zaciśniętych palcach błaga o pomoc, o pocieszenie, o dobre słowo. Nie pamięta ani słowików, ani skowronków. Albumy ze zdjęciami obejrzy później. Źródło łez zaczyna bić.

Poprawa przynosi wytchnienie, ostrożność przez kilka, kilkanaście dni, spełnianie obietnic złożonych w szeptance, zapłatę za koniunkturalny rachunek sumienia. Poprawa może jednak nieść strach przed kolejną walką, powrotem dolegliwości, zdwojoną siłą zła, które wszczepiło się w kawałek komórki i z upodobaniem mości sobie miejsce na nocleg.

No way! – krzyknęła Julia – *Już nigdy mi tego nie zrobią!*

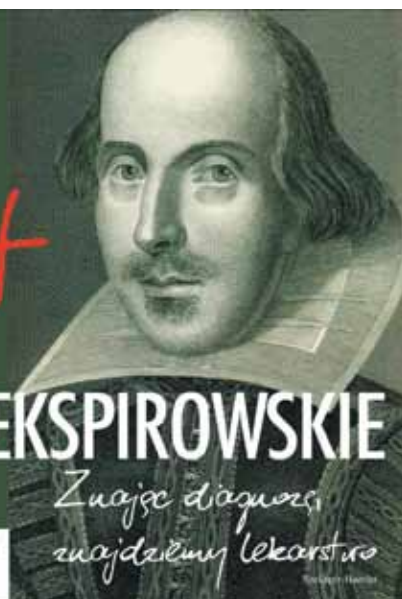
27 MARTEC 2012
WTOREK
GODZINA 18:30

Macbeth

Okręgowa Izba Lekarska w Płocku

WIECZORY SZEKSPIROWSKIE

Płockie Towarzystwo Przyjaciół Teatru



Znajdź diagnozę,
znajdź lekarstwo



KREW

Spotkanie trzecie było o tyle niezwykle, że zorganizowane w Międzynarodowym Dniu Teatru z udziałem laureata Srebrnej Maski, aktora Teatru Dramatycznego w Płocku, Jacka Mąki, a dodatkowym atutem stało się wsparcie Stowarzyszenia De Facto, pomagającego osobom niewidomym i słabo widzącym. Powód? Utwór był słuchowiskiem Teatru Polskiego Radia, doskonałym dla ćwiczenia wyobraźni i poza deskrypcją jedynym możliwym do zastosowania środkiem teatralnym dla niewidomych. Główne role zagrali: Adam Ferency, Danuta Stenka, Krzysztof Chamiec, Gabriela Kownacka, Krzysztof Kowalewski i wiele innych aktorskich gwiazd.

Tytułu tej sztuki nie powinno wymawiać się głośno. W każdym razie osoby zaboronne mówią o niej *Tragedia szkocka*. Pierwszy polski *Makbet* wystawiony został w 1812 roku na scenie Teatru Narodowego przez Wojciecha Bogusławskiego. Sztuka jest najczęściej graną tragedią Szekspira, kilkakrotnie filmowaną między innymi przez: Orsona Wellesa (1948), Akira Kurosawę (Tron we krwi, 1957) i Romana Polańskiego (*Tragedia Makbeta*, 1971). Nie należy zapominać o realizacji operowej z muzyką Giuseppe Verdiego (1847).

W scenerii tronu we krwi (na środku izby ustawiono stoły przykryte purpurową tkaniną, na której leżał przewrócony fotel) Jacek Mąka opowiedział o swoich realizacjach Makbeta w Płocku i we Francji, choć inscenizacja francuska oparta była na dziele niemieckiego dramaturga Millera, skrócona i wzbogacona makabryczno-kabaretowymi wstawkami.

Przygasły światła. Aż trudno uwierzyć, że przez kilka kolejnych godzin słuchaliśmy z takim spokojem. Nikt nie wyszedł. W głośnikach rżały konie, trzaskały drzwi, słychać było odgłosy bitewne i obiadowe. Kolejne ofiary mordu traciły głos.

Makbet to dzieło militarne, co pokazał Marcin Liber w realizacji Teatru Współczesnego ze Szczecina, ubiegającego się o Złotego Yorika podczas *Festiwalu*

Szekspirowskiego. Posadzili nas wtedy przy pile tarczowej i musieliśmy poprosić o zmianę miejsca na widowni, żeby i nam głów nie obcieli.

Dla mnie jednak *Makbet* to dzieło na wskroś medyczne.

Ludzie mają nie tylko marzenia, które w różnym stopniu mogą spełniać. Marzenia przeistaczają się czasem w pokusy. Kuszenie draży myśli, nie daje spać, poci dłoń, ukrywa się za cichością lub wrzeszczy w napadach niemocy. Moralny kręgosłup chwieje się, podszepty zdrady na początku wypierane, po pewnym czasie stają się wewnętrznie usprawiedliwione.

Granicą ludzkich możliwości jest granica kompetencji. Najczęściej przekraczają ją politycy. Nie każdy kto był dobrym wójtem, będzie znakomitym premierem. Nie każdy kto był żołnierzem, będzie prawym władcą. Zmieniają się uwarunkowania. Kalkulacja staje się ważniejsza niż rozsądek. Zrywanie więzów wpisuje się w kroczenie po drabinie awansu, by móc założyć koronę zwycięscy.

W międzynarodowej klasyfikacji kodów ICD-10 nie ma hasła: wyrzuty sumienia, a mimo to Lady Makbet uporczywie myje ręce i z każdym płukaniem coraz bardziej miesza myśli, błądzi, oddala się, a modlitwa męża o jej zdrowie na niewiele się już przydaje:

Więc ulecz ją z tego

Chore umysły także się uzdrawia.

Potrafiśz chyba wyrwać z korzeniami

Tkwące w pamięci zadry i bolączki,

Wypłoszyć z mózgu lęgnące się zmory

I jakimś słodkim zieleń zapomnienia

Oczyścić serce z ciężkiej mu troski.⁶⁴

64 W tłumaczeniu Antoniego Libery

Przygotowując *Koncert lektur* z okazji 40-lecia mojego liceum wpisałem inscenizację fragmentu z wiedźmami, gdyż w związku z tym kawałkiem tekstu toczę od wielu lat zaciekle spór o przeznaczenie, klątwę, zapisany los, gen, na który nie mamy wpływu i nie ma sposobu, aby go pokonać. Zgodnie ze szkolną doktryną maturalnego klucza przeznaczenie wpisane jest do literatury starożytnej. U Szekspira człowiek ma wolną wolę i mimo wróżby trzech bab czy czarownic siedzących w kucki wokół kociołka z tajemnym wywarem, może dążyć własną drogą, nie musi czynić zła i iść na pokuszenie. I tu powstaje kłopot. Nie każdy jest na tyle silny, aby nie ulec mglistej sugestii osiągnięcia szczytu. Tylko jeden krok decyduje, czy pójdziemy wzorem starożytnych w przewidzianą od samego początku klęskę jednostki, czy na przekór czarom zamiast diadem nad głowę rozświecili się aureole.

Nie ma ludzi tylko dobrych i tylko złych. Lady Makbet jest dobrą i troskliwą żoną. Makbet to bohater, wielki wojownik, pod którego mieczem opadają głowy wrogów. Los chciał, aby sielankę zamienić w gehennę. Następcy podążyli dalej, tylko wyrzuty sumienia dopadły ich później...

ROBSON & CRANE IN



Shakespeare's
"COMEDY OF ERRORS"

BLIŹNIĘTA

Czwarty utwór postanowiłem nagrać razem z Widzami i pokazać, jak trudno czyta się do mikrofonu nawet najkrótszy tekst i jak dziwnie później słucha się własnego głosu, który najchętniej wycięłoby się ze ścieżki dźwiękowej.

Aby uwiarygodnić nieco zamysł Szekspira, zaprosiłem dwóch lekarzy bliźniaków ze Szpitala Wojewódzkiego, z oddziałów neurologii i ortopedii – Marka i Jarosława Tucholskich, wręczając role braci Antypholusów. Ich sługi – Dromiów – zagrałem osobiście.

Obecni dostali egzemplarze *Komedii omyłek* napisanej w 1591 roku, a przetłumaczonej przez Leona Ulricha. Całość była rejestrowana⁶⁵. Mikrofony deprymowały czytających na początku, ale już po pierwszym akcie uroczymy mylono nie tylko bohaterów, tekst, ale i miejsca wejścia postaci, co wzbudzało salwy niekontrolowanego śmiechu i wspaniałą atmosferę przy stole. Stół był Efezem.

Największym znawcą bliźniąt jest profesor Witold Malinowski, specjalista ginekologii i położnictwa, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Gemeliologicznego, zajmującego się ciężą wielopłodową. W naszej komedii profesor zagrał rolę Komisarza i po spektaklu wygłosił godzinny wykład o dwojaczkach, trojaczkach i ośmioraczkach, o nadpłodnieniu i bliźniętach dwóch różnych ojców, w tym różnych ras i kolorów skóry. Kilka lat wcześniej organizowałem z panem profesorem i z doktorem Wojciechem Pankiem – ordynatorem z plockich Winiar – *Złot Bliźniąt*. Moim zadaniem była zabawa z kilkudziesięcioma parami bliźniaczymi i ich rodzicami w oczekiwaniu na wykład podobny do tego, który usłyszeliśmy po spektaklu. Uczyłem dzieci płaśw, krótkich piosenek i zawołań, ale przede wszystkim opowiadałem o teatrze.

65 realizacja dźwięku Piotr Tobota.



WILLIAM SHAKESPEARE

MIARKA ZA MIARKĘ



OKNO NA PARLAMENT

Miarka za miarkę to sztuka doskonała. Opublikowana w Pierwszy Folio w 1623 roku. Głównym tematem jest kontrast między władzą polityczną a sprawiedliwością w znaczeniu biblijnym. Tytuł odnosi się do słów Ewangelii św. Mateusza: *Jakim sądem sądzicie, takim was osądzą, i jaką miarą mierzycie, taką i wam odmierzą.*

Piąty już *Wieczór Szekspirowski* rozdzielił Okręgową Izbę Lekarską w Płocku na dwie części zielonym stołem bez naczyń i jadła, stołem sądu. Rozdzielił prawomyślność od bezprawia, władzę od absolutyzmu, wiarę od bluźnierstwa. Widzowie po obu stronach, mierząc się wzrokiem, mieli zadanie oceny bohaterów spektaklu BBC, ich ułomności, które trudno zakuć w kajdany prawa, gdyż cały ludzki ród musiałby siedzieć w kazamatach. Może dlatego ta sztuka uczy pokory i patrzenia na innych nie poprzez własną miarę, ale szerzej i bardziej tolerancyjnie.

Krew za krew płaci i czarka za czarkę

Pośpiech za pośpiech i miarka za miarkę

Parlament jest największym teatrem demokracji. Niektórzy uważają, że jest również najwspanialszą farsą⁶⁶, jaką przyszło nam oglądać, w której trup w szafie jest na porządku dziennym. Nie zgadzam się z tym do końca, mimo że podejmowane przy Wiejskiej sprawy wymagają czasami opinii specjalistów medycyny, których nazbyt wielu do Sejmu i Senatu nie wybieraliśmy.

Na scenie Teatru Dramatycznego miasta stołecznego Warszawy *Miarkę za miarkę* w reżyserii Oskarasa Koršunovasa zagrano w scenografii Sejmu.

66 Ray Cooney, *Okno na parlament*, Teatr Powszechny w Łodzi, Marcin Sławiński; Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku, Wojciech Pokora; Teatr Kwadrat w Warszawie zaprasza na spektakl z akcentami polskimi w dekoracji białoczerwonej, reżyseruje ponownie Marcin Sławiński

Jeśli liczyć kadencję kontraktową, wyborczy głos w wolnej Polsce oddaliśmy dziewięć razy. W latach 1989-2015 rozdaliśmy 4140 mandatów poselskich i 900 senatorskich. Wśród obdarzonych zaufaniem byli lekarze, którzy obejmowali następnie najważniejsze funkcje w państwie, w tym premiera i marszałków obu Izb.

Warto czasem odwiedzić ulicę Wiejską i sprawdzić, na czym polega praca parlamentarzysty; gdzie kończy się zwykła lojalność wobec własnego środowiska i pacjentów, a zaczyna polityczna odpowiedzialność za państwo. Jaką to jest mierzone miarą? Zamiast odpowiedzi garść wiadomości.

Sejm Ustawodawczy II RP obradował w latach 1919-22. Pracowało w nim 9 lekarzy. Piątą kadencję przerwała II wojna światowa. Z dostępnych materiałów archiwalnych wynika, że w okresie międzywojennym biały fartuch na sejmową legitymację zamieniło 31 osób, wyłącznie mężczyzn.

Senat zaczął obradować na podstawie *Małej Konstytucji* w 1922 roku. Przez 17 lat zasiadało w jego ławach 20 lekarzy. Czworo z nich więcej niż przez jedną kadencję. Jedyną lekarką w parlamencie II RP była Hanna Hubicka (Szlendak). Chirurg. W latach 1919–22 pracowała w Kancelarii Cywilnej Naczelnika Państwa. Była senatorem IV kadencji.

Aktywność lekarzy w czasie prac Sejmu Ustawodawczego PRL po sfalszowanych wyborach 1947 roku i rozwiązaniu Krajowej Rady Narodowej, była znikoma. Czworo (3 panów i pani) spośród 444 posłów legitymowało się dyplomem lekarskim. Przez 42 lata do amfiteatralnej sali posiedzeń wybrano zaledwie, a może aż 59 lekarzy (40% stanowiły kobiety) i 1 stomatologa. Rekordzistą ław sejmowych Polski Ludowej był Jerzy Stachelski. Mandat posła sprawował 21 lat.

W Sejmie Kontraktowym było 25 lekarzy, większość należała do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, 4 do Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego tworzonego przez działaczy *Solidarności*, 3 do Stronnictwa Demokratycznego, a jeden do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Był to jedyny Sejm, w którego Prezydium zasiadały dwie lekarki: Olga Krzyżanowska i Teresa Dobieńska-Eliszewska, sprawując

funkcje wicemarszałków. Wicemarszałkiem w kolejnych kadencjach była Elżbieta Radziszewska.

Przez 25 lat, od 4 czerwca 1989 roku do końca VII kadencji wybrano 112 posłów z numerem prawa wykonywania zawodu lekarza, którzy objęli 171 mandatów. Koleżanki i koledzy należeli do wszystkich klubów podczas ośmiu kadencji Sejmu i stanowili niespełna 5% posłów. W poszczególnych kadencjach było ich od 14 do 26. Mężczyźni wiodli prym. Było ich 81. W zamian wyłącznie kobiety pełniły funkcje w Prezydium Sejmu.

Ewa Kopacz, lekarz rodzinny, pediatra, doświadczona parlamentarzystka, posłanka ziemi radomskiej była pierwszą w historii kobietą, która pełniła funkcję Marszałka Sejmu.

Na podstawie umowy Okrągłego Stołu wybrano senatorów I kadencji. Głosowanie zakończyło się sukcesem *Solidarności*, która wprowadziła do Izby 99 przedstawicieli, wśród nich 7 lekarzy, a w ciągu ośmiu kadencji na fotelach senatorskich zasiadło ich 52, w tym 7 kobiet. 26 października 1993 roku Marszałkiem Senatu III kadencji został Adam Struzik, absolwent Akademii Medycznej w Łodzi, internista, założyciel Okręgowej Izby Lekarskiej w Płocku. 12 listopada 2015 roku na stanowisko Marszałka Senatu IX kadencji zaprzysiężony został Stanisław Karczewski, absolwent Akademii Medycznej w Warszawie i chirurg.

Pierwszy raz zwiedziłem Sejm w 1991 roku. Nie było zbyt wielu obostrzeń i mogłem nie tylko przejść kuluarami, ale także zasiąść w ławach poselskich, stanąć na mównicy, zająć fotele Marszałka i Prezydenta. Dzisiaj jest to niemożliwe.

*Parlament jest największym teatrem demokracji, miejscem wymiany myśli i podejmowania decyzji. Teatry także stwarzają okazję do debaty.*⁶⁷

67 Historia Europy opowiedziana przez jej teatry – magazyn wystawy w Teatrze Narodowym, Warszawa, 2015

ANTRAKTY

Jednak, czy mogą być demokratyczne?

Dlaczego politycy mają tak mało miary? Dlaczego dzierżąc władzę czują się bezkarni? Szekspir opowiada historię, która niezmiennie powraca. W miarę oglądania przeciera się wzrok...

Nie wolno bliźnich ważyć własną wagą.

Wielcy żartować mogą z świętych; będzie

To ich żart tylko, lecz u ludzi mniejszych

Stanie się zaraz występnyim świętokradztwem.

PSALM SAMARYTANINA

Z Jeruzalem do Jerycha droga daleka
Na drodze spotykam obcej krwi człowieka
Podarte szaty, rany bez pulsu otwarte
Oczy zamglone, usta ciche, serce martwe?

Z Jeruzalem do Jerycha droga daleka
Kładę ręce, daję oddech obcej krwi człowieka
Ceruję szaty, rany przemywam w potoku
Płacz się wrywa. Śmierć się cofnęła pół kroku

Z Jeruzalem do Jerycha droga daleka
Kapłan minął bez troski swojej krwi człowieka
Ani krzyknął Pomocy! Nie gonił złodziei
Przeszedł pomimo, żadnej nie dając nadziei

Z Jerycha do Jeruzalem droga daleka
Minął Lewita w biegu swojej krwi człowieka
Ani krzyknął Pomocy! Nie spojrzal na rany
Przeszedł pomimo w sobie tylko zakochany

Z Jerycha do Jeruzalem droga daleka
Wiozę do gospody obcej krwi człowieka
Daję dwa denary i idę w swoją drogę
Czyńcie w Jego imię! Samaria czeka z Bogiem.



ZAZDROŚĆ

Dowódca weneckiej armii jest Maurem. To ciemnoskóry Otello, mąż Desdemony. Jago, rozczarowany swymi niespełnionymi ambicjami, podsuwa swemu panu myśl o zdradach żony. Zarzuty są bezpodstawne, ale Jago umiejętnie roznieca zazdrość. Na konsekwencje nie trzeba długo czekać. Szczery i bezpośredni Otello, dręczony nieustannymi podejrzeniami dusi żonę, po czym popełnia samobójstwo.

Na początku była miłość, ale wystarczył esemes, by przeistoczyła się w zawiść. Banał brukowca? Niekoniecznie.

Otello jest dramatem nietypowym w dorobku Szekspira, ma tylko jeden wątek, nie zawiera elementów komicznych, to studium niepohamowanej, paranoicznej żądzы zemsty. I doprawdy nie mam pojęcia, dlaczego medycyna alkoholowy obłęd nazwała *Zespołem Otella*. Zazdrość Maura nie była dyktowana urojeniami po spożyciu, była zwykłą (jak to brzmi) zazdrością, a nie podszeptem białych myszek o małżeńskiej niewierności.

Ostatni przed wakacjami Szekspirowski wieczór poprowadziła wieloletnia dyrektorka Płockiej Galerii Sztuki i Płockiego Towarzystwa Przyjaciół Teatru Bożena Śliwińska, znana ze swych fascynacji operowych. Dlatego właśnie *Otella* obejrzelśmy w pełnometrażowej wersji Franco Zeffirellego z Placido Domingo w roli głównej. Wcześniej opowiedziała o twórcy opery Giuseppe Verdim, który napisał muzykę także do innych Szekspirowskich dzieł: *Makbeta* i *Falstaffa* (na podstawie *Wesołych Kumszek z Windsoru*). Premiera *Otella* w mediolańskiej La Scali 5 lutego 1887 roku przyniosła Verdiemu wielki sukces, między innymi z powodu, dla którego nie powinniśmy tego bardzo dynamicznego dzieła nazywać operą, a raczej dramatem muzycznym, pozbawionym klasycznych arii i podporządkowanym wartkiej akcji.

Był stan wojenny. Aktorzy odmówili występów w Teatrze Telewizji. Mijały miesiące. Na pierwsze przełamanie bojkotu wybrano *Otella* z Danielem Olbrychskim, Joanną Pacułą i Piotrem Fronczewskim w reżyserii Andrzeja Chrzanowskiego.

Rewelacja, której z racji wieku nie mogłem obejrzyć na scenie. Znam jednak bywalca, co oglądał ten spektakl kilka razy. Przyczyna była jedna: uroda Joanny Pacuły, w owym czasie symbolu piękna. Nie sędzę, aby moim starszym kolegą targać zazdrość o partnerujących aktorów, ale pewien rodzaj miłości do osób, które spotykamy w przebraniu lub rozebraniu na proscenium, bezapelacyjnie tak.

Przedstawię, więc prosto, bez ozdób, historię

Całą miłości mej; jakie leki

I jakie czary, zaklęcia, moc magii

Dały mi zdobyć córkę jego.

A potem kazały zabić.⁶⁸

Teatr Collegium Nobilium działa przy Akademii Teatralnej im Aleksandra Zelwewicza w Warszawie (AT) w budynku teatru konwiktorskiego zaprojektowanego przez królewskiego architekta Jakuba Fontanę w połowie XVIII wieku, przebudowanego na kaplicę, całkowicie zniszczoną podczas II wojny światowej. Z inicjatywy Andrzeja Łapickiego i dzięki staraniom Jana Englerta odbudowaną scenę dwadzieścia niemal lat temu oddano studentom.

Na początku 2018 roku spotkałem się w stołówce AT z profesorem historii teatru, panią Anną Kuligowską-Korzeniewską. Od lat rozmawiamy o teatrze. Zawsze uważnie przysłuchuję się rekomendacji spektakli do obowiązkowego obejrzenia. Tym razem odebrałem bilety na *Otella* w wersji zaproponowanej przez Zaimoglu & Senkela, przetłumaczonej, opracowanej i wyreżyserowanej przez Grażynę Kanię ze studentami IV roku wydziału aktorskiego.

68 W tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego

Sala Teatru Collegium Nobillium jest bardzo kameralna. Doskonale słyhać w niej nie tylko adeptów sztuki, ale także reakcję ciekawej nadchodzącego pokolenia aktorów, publiczności.

Otello i Jago, Stępniak i Simon; Desdemona i Emilia, Byczkowska i Różycka; Cassio i Rodrigo, Suszczyk i Ściupidro – dali z siebie wszystko w emocjonalnej, szczerej do bólu, wielowarstwowej opowieści o miłości, zazdrości, nienawiści, szowinizmie, rasizmie i homofobii. Zatrważający obraz współczesności z ciętym, mocnym i wulgarnym do granic językiem w dwuipółgodzinnej inscenizacji o samotności i strachu przed wyrzuceniem poza społeczny nawias, gdzie każdy, z minuty na hejt, może być Obcym, Czarnym, Cyklistą, Gejem lub Kobieta...

SZEKSPIR / BREGOVIĆ

SEN NOCY LETNIEJ

spektakl Izadory Weiss



BALTYCKI
TEATR
TANCA

KWIAT JEDNEJ NOCY

Sen nocy letniej zalicza się do najpopularniejszych dzieł Szekspira. Główny wątek to historia trzech par: Hermii i jej narzeczonego Lizandra, Demetriusza i zakochanej w nim Heleny oraz pokłóconych o indyjskiego chłopca, Oberona i Tytanii. Ojciec Hermii nie zgadza się na jej małżeństwo z Lizandrem. Zrozpaczeni kochankowie uciekają do lasu. W ślad za nimi podąża zazdrosny o Hermię Demetriusz i zrozpaczona Helena. W historię mieszają się leśne duchy. Puk. Puk. Przesilenie. Szczęśliwe pary wracają do Aten po sennych przygodach. Kropka.

Felix Mendelssohn-Bartholdy w wieku 17 lat skomponował uwerturę koncertową *Snu...*, której fragment jest powszechnie znany jako Marsz Mendelssohna.

To było spotkanie wspólnie zorganizowane z Teatrem Płockim. W ramach połączenia projektów: *W Starym Teatrze* i *Wieczory Szekspirowskie*, obejrzelśmy, siedząc na scenie przy Nowym Rynku 11, archiwalne nagranie w reżyserii Marka Mokrowieckiego. Na wielkim telebimie ukazały się postacie ze spektakli w teatrze, ogrodach Opinogóry oraz na dziedzińcu Muzeum Diecezjalnego w Płocku. Jakość techniczna pozostawiała wiele do życzenia, ale wartość artystyczna i sentymalna była ogromna. Długie fragmenty komentował reżyser, opowiadając o realizacji, a także przypominając nazwiska osób, które w przedsięwzięciu wzięły udział, w tym nieżyjącego już kompozytora Tadeusza Kocybę⁶⁹.

Jerzy Grzegorzewski wystawił bardzo osobisty *Sen...* w Narodowym. Wiele razy opowiadając o teatrze odnosiłem się do tego spektaklu, który najogólniej mówiąc nie podobał mi się. Nie wiem nawet do końca dlaczego? Może tak naprawdę nie podbija mojego serca to dzieło Szekspira? Może nie rozumiem nocnej szarady pod wpływem ziół rozdawanych przez leśne zjawy? Może nie zauważam akcentów komediowych? Ale *Sen...* z Narodowego ma kawałek magicznego pola: owację na stojąco oddaną

69 Kompozytor muzyki do animowanej bajki Bolek i Lolek

przez młodzież nadciągającą autobusami do Warszawy na spektakle z udziałem gwiazd. Ile było w tych brawach dziękczynienia za pełen mistyfikacji teatr w teatrze i rozgorączkowany pożądaniem niepokój:

*...Miłość z obłędem ma wspólne podłoże
I wyobraźnię, która fantazjuje
Więcej, niż chłodny rozum pojąć może.
Wariat i zakochany, i poeta,
Wszyscy trzech z wyobraźni są utkani...*⁷⁰

Sen.. w najlepszy sposób oddała Izadora Weiss razem z zespołem Bałtyckiego Teatru Tańca z muzyką Bregowicza. Zbyt długie i nudne zostaje tam zamienione na przejrzyste, piękne i porywające. Doskonałe recenzje idą w parze z wiwatami publiczności. Oszałamiający sen. Muzyka, która nadaje narkotyczny rytm. Ruch, który oddaje każde słowo libretta.

Nie wszystkie sny chcemy pamiętać. Boimy się senników tłumaczących symbolikę poszczególnych faz REM i NREM⁷¹. Mimo wszystko śnimy, najczęściej na jawie, świat, który nigdy nie stanie się rzeczywistością, a kwietny sok wyciśnięty przez mary na nasze powieki najpierw przepelnia radością spełnienia, by spłynąć ostatecznie łzą rozpaczy.

⁷⁰ Konstanty Ildefons Gałczyński

⁷¹ Skróty faz snu fizjologicznego

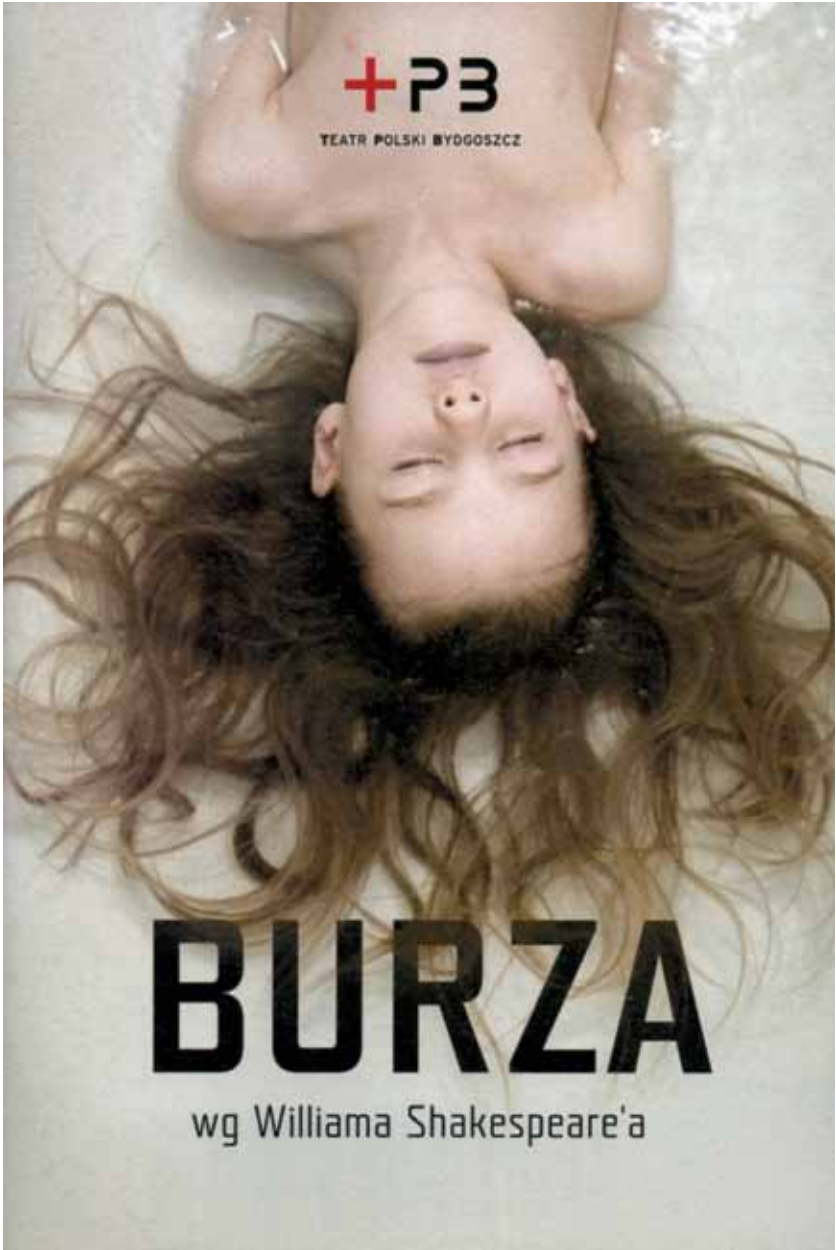
SONET TROJAŃSKI

Czy Menelaos dal za wygraną
I cofnął wszystkie oddziały na morze
Kiedy przed lustrem w samotności stanął
Szepcząc naiwnie: pomóż mi Boże

Czy Menelaos ze swiątą oręża
Zmęczył się trwaniem w bezruchu pod Troją
Czy stracił wiarę, że miano męża
Podzieli ponownie z niewierną żoną

Czy Menelaos na białym sztandarze
Malował Trojan umarłych twarze
Rzucając o los nowy kości

Czy Menelaos krocząc do tyłu
Zmieniłby Miasto w garstkę pyłu
Gdyby zabrakło miłości...



+P3

TEATR POLSKI BYDGOSZCZ

BURZA

wg Williama Shakespeare'a

WOJNA MYŚLI NIESPOKOJNYCH

Nazywał się Prospero. Jego władza nad Mediolanem była nieograniczona. Przede wszystkim jednak był mecenasem sztuki i proste życie go nie interesowało. Niczego ciekawego nie odnalazł w zwykłym sprawowaniu władzy. Ale kiedy władza stała się absolutna, stała się też okrutna.

Dyskusyjne jest dla mnie umieszczanie Szekspirowskiej **Burzy** pośród komedii, ale równie absurdalne jest pisać, że to romans. Jedno jest pewne, mamy tu do czynienia z klasycznym zachowaniem zasady trzech jedności: czasu, miejsca i akcji, a przedstawione wydarzenia rozgrywają się w przeciągu kilku godzin na odległej wyspie.

Andrzej Seweryn wypijał kolejne trunki i w pijackiej wizji na scenie Teatru Polskiego⁷² w Warszawie odtwarzał obrazy z przeszłości Prospera i marzył o możliwych rozwiązaniach. Marzył o powrocie do dawnego życia, zanim podstępem wsadzono go do łodzi, by się wreszcie, razem ze swoim próżniactwem i córką Mirandą utopić. Zbiegi okoliczności ratują władcę, wyrzucają na brzeg wyspy zaludnionej przez dziwne stwory, ale nie zmieniają faktu, że topienie smutków trwa przez dwanaście lat z dużą konsekwencją.

Kiedy spotyka nas niesprawiedliwość dziejowa, choćby sprawiedliwością była największa, burzy się nasza krew, podnosi ciśnienie, adrenalina wylewa się w porcjach nadprogramowych. Przez głowę, przez każdy jej neuron przeskakują miliony iskier z synapsy na synapsę. Myśli niespokojne systematycznie podlewane alkoholem tworzą nowy świat. Nie wiem czy jest to świat wspaniały, ale na pewno inny. W nim wszystko jest możliwe, bo etanolowy sen goi rany.

O czym jest **Burza**? O niepokoju i zemście. Jest podświadomą analizą przeszłości i budowaniem przyszłości, która realizuje się wyłącznie w snach. Burza to gwałtowna eksplozja nerwowa, wstrząs, drgawki, krzyk i wspaniałomyślność po długiej

72 Dziesiąty wieczór szekspirowski odbył się w Teatrze Polskim w Warszawie podczas premiery *Burzy*

zabawie w chowanego, po straszaniu duchami, po mamieniu miłosnym. Gwałtowność myśli przekształca się w życiodajny poryw łaski. Przebaczymy swoim wrogom, błogosławimy skruszonych sprawców złego losu, wracamy do dawnego życia, widzimy szanse kolejnych pokoleń.

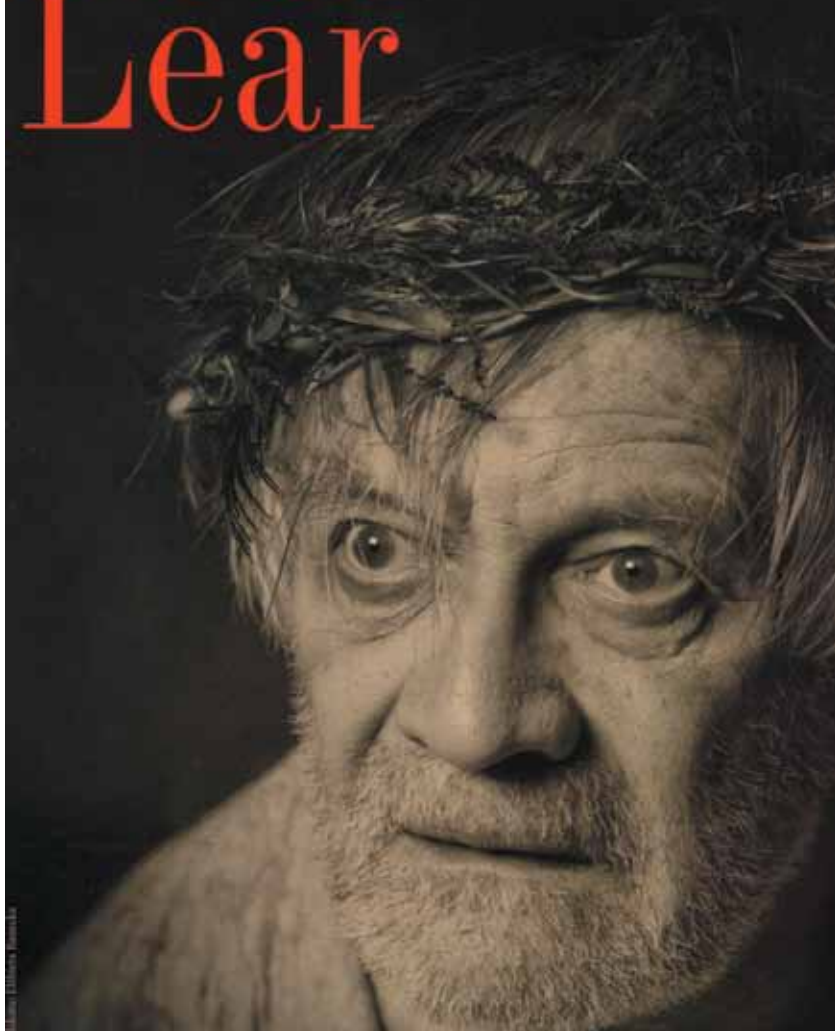
W Teatrze Polskim w Bydgoszczy Maja Kleczewska zamiast burzy zobaczyła tornado i jeszcze większe poczyniła pustki na bezludnej wyspie. W głowie Widza pozostaną, mimo zabiegów ekstremalnie niezrozumiałych, wyłącznie strugi deszczu i wiatr. Schizofrenia. Może tak właśnie stary Szekspir, któremu już język się płątał, opowiadał tę historię. Użył wówczas wielu słów, które współczesna reżyserka swobodnie w ramach swojego dzieła zredukowała.

Podobną drogą kilka lat później poszedł Krzysztof Garbaczewski, chociaż frazy mistrza wykorzystał w większym zasobie, a i swoich mądrości dodał kilka. Ewa Skibińska stanęła jako Prospera – matka dla tulonego do piersi Kalibana. Brak przerwy jak zawsze uniemożliwił ucieczkę, a brawa były chłodne, jak na burzliwy spektakl. Żenujący socjotechniczny zabieg z cygańską kapelą dopełnił czary goryczy i strzelił diodowym piorunem bezsensu, podobnie jak pochwalne recenzje znalezione w sieci.

Na oddział dziecięcy przywieziono piętnastoletnią dziewczynę w upojeniu alkoholowym. Przywiozła ją przerażona matka. Dobry dom. Pracujący rodzice. Dziecko wysyłane na wiele zajęć dodatkowych. Wystarczyło jedno popołudnie kilka lat wcześniej, by spróbować kieliszek wódki z otwartego barku. Potem rutyna i codzienne podbieranie coraz to nowych alkoholowych smaków. Burza hormonów i ciekawości połączona z burzą rozluźnień w mięśniach, swobodą wypowiedzi, różowym spojrzeniem na świat. Nowy? Wspaniały? Do tego dnia, kiedy założyły się z koleżanką, która da radę wypić więcej, nic się nie wydało. Cichosza. Kilka kropel zaważyło o przegranej i izolacji na wyspie oddziału szpitalnego, rodzinnego domu, stygmatyzacji po rozmowie z psychologiem, psychiatrą, zgłoszeniu zdarzenia na policję i do sądu rodzinnego. Wszystko stanęło na głowie.

Raz w tygodniu przychodzi do mojego gabinetu Prospero. Najczęściej po burzy. Potrzebuje kilku dni zwolnienia, żeby rozprostować kości. Czasem prosi o Relanium – Kalibanium, bo ręce mu drżą okropnie, gdy próbuje ułożyć rozmowę z Mirandą i wyznaniem jej, że to był ostatni ciąg. Wspaniałomyślna obietnica.

Król Lear



© 2011 The Shakespeare Centre, London

TO IDZIE STAROŚĆ

W kolejny wieczór najpierw przedstawiłem informację na temat *Króla Leara*⁷³, przypominając śmierć Tadeusza Łomnickiego, przygotowującego się do tytułowej roli w Teatrze Nowym w Poznaniu. Aktor zmarł w 1992 roku. Zamiast spektaklu zebrami obejrzeli brytyjski dramat filmowy na podstawie sztuki Ronalda Harwooda *Gardero-biany*, dzieło wybitne, z pięcioma nominacjami do Oscara, Złotym Globem za rolę Normana dla Toma Courtenay’a oraz Srebrnym Niedźwiedziem dla Alberta Finney’a. Akcja ekranizacji toczy się w Londynie podczas II wojny światowej. Mistrz – wielki aktorski tuz, rozkapryszony i schorowany oraz garderobiany – oddany sługa, znający niezliczone metody na doprowadzenie Leara na scenę.

Na strychu szeregowego domu urządzono mały szpital. Dwa automatycznie regulowane łóżka z materacami przeciwodłęzynowymi, szafki z poustawianymi lekami, zwisające worki, do których cewnikami spływał mocz, stojaki na kroplówki, baseny, duże zapasy podkładów, pieluchomajtek, dostęp do wody, kuchenka, czajniki, specjalnie wyposażona łazienka. I fotel dla opiekunek zmieniających się co kilka godzin. A w łóżkach oddalonych od siebie o metr, dwoje dawnych kochanków, małżonków, matka i ojciec dla dzieci, dobrzy pracownicy, sąsiedzi, parafianie. Złamani w jednym niemal czasie udarowym epizodem, który zabrał ich moc komunikacji i samostanowienia.

Jakie imiona mają córki, które wymuszają świąteczne kierowanie rodziców na oddziały internistyczne, nie mam pojęcia? Jakie intencje kierują ludźmi, którzy zamykają swoich starych rodziców w najmniejszym pokoju, bez dostępu do kuchni i ograniczonymi możliwościami korzystania z łazienki? Jakie myśli miotają zmęczonymi opiekunami, których życie podporządkowane jest starości najbliższych?

Starość to przerywnik najdłuższy, najsmutniejszy i najstraszniejszy.

73 Teatr Polski w Warszawie, Jacques Lassalle, w roli tytułowej Andrzej Seweryn

– *Panie doktorze, niech go pan chociaż na kilka dni zabierze, potrzebuję nadziei, że będzie lepiej, niech mi jej pan nie odbiera, ja nie mam siły wysłuchiwać ciągłego krzyku, stękania, przekleństw, zmyślonych faktów, obelg, wszystkiemu jestem winna, wszystko muszę zrobić, podstawić, załatwić, każda rzecz jest źle, za późno, na marne...*

Kiedy karetka podjeżdża kolejny raz w ciągu kilku dni do domu pacjenta, aby wymienić przeciekający cewnik, powitanie z gospodynią i opiekunką przykutego do łóżka, porozumiewającego się monosylabami męża, jest prawie rodzinne. Nie tylko dzień dobry, ale że upał albo deszcze, że mróz i mgła, dużo wezwań. Na koniec zawsze uprzejme ostrzeżenie, że światło gaśnie i żeby uważać na ostatni schodek, bo bardzo wyslizgany.

Czuwająca u wezłowania siostra zakonna przesuwiała w dłoniach kolejne paciorki różańca. Zapalona świeca migotała wesoło, poruszana podmuchem modlitewnego szeptu: *...módl się za nami grzesznymi, teraz i...* Po drugiej stronie łóżka, specjalnie zakupionego przez dzieci dla swojej chorej matki, siedział szpakowaty mężczyzna. Od kilku lat przychodził w każdej wolnej chwili, przysiadł na kuchennym stołku i wsłuchiwał się w słowa wypowiedane przez opiekunkę, słowa relacji z monotonicznie powtarzanych czynności dnia: *Ładnie dzisiaj zjadła – Przebrałyśmy się w świeżą koszulę – Wypróżnienie było tylko jedno – Trzeba jutro pójść do przychodni po nowe zlecenie na pampersy – Był ksiądz proboszcz do południa, wydawało się, że się uśmiechnęła, wypiliśmy kawę – Środowiskowa obejrzała odleżynę na pośladku i zaleciła przemywanie kwasem bornym...*

Wesołe jest życie staruszka śpiewał na jednym z ostatnich recitali na dziedzińcu Muzeum Krzysztofora w Krakowie Wiesław Michnikowski, w zamian za wzruszającą, ale i szaleńczą niemal owację na stojąco.

Jan Kott pisał, że Polacy są przekonani, że sukcesji po Learze nie ma, że tron zostaje pusty, bo świat, w którym król żył, rozpadł się i już nigdy *się nie zrośnie*. Mam inny pogląd. Codziennie spadek obejmują następcy, córki i synowie, których imion

nie znamy, ale są z tego samego co zawsze rodu ludzkiego, rodu *Learów*, gdy młodość nagle zaczyna chorować i nieodwołalnie przeistacza się w starość.

*...młode, a przeto zbyt stare już dla nas, przebrzmiałe i anachroniczne, i żadna męka nie dorówna męce takiego snu, takiej krainy. Nie może być nic straszniejszego niż wracać do spraw, z których się wyrosło, do tych dawnych, młodzieńczych, niedojrzałych, od dawna już zepchniętych w kąt i załatwionych...*⁷⁴

74 Witold Gombrowicz, *Ferdydurke*

William
Shakespeare
Sonety

Najnowszy przekład

*„...gdy Pan światła
Rozjarzał blaskiem górskich szczytów ciemność...”
(Sonet 33.)*

CZTERNAŚCIE WERSÓW

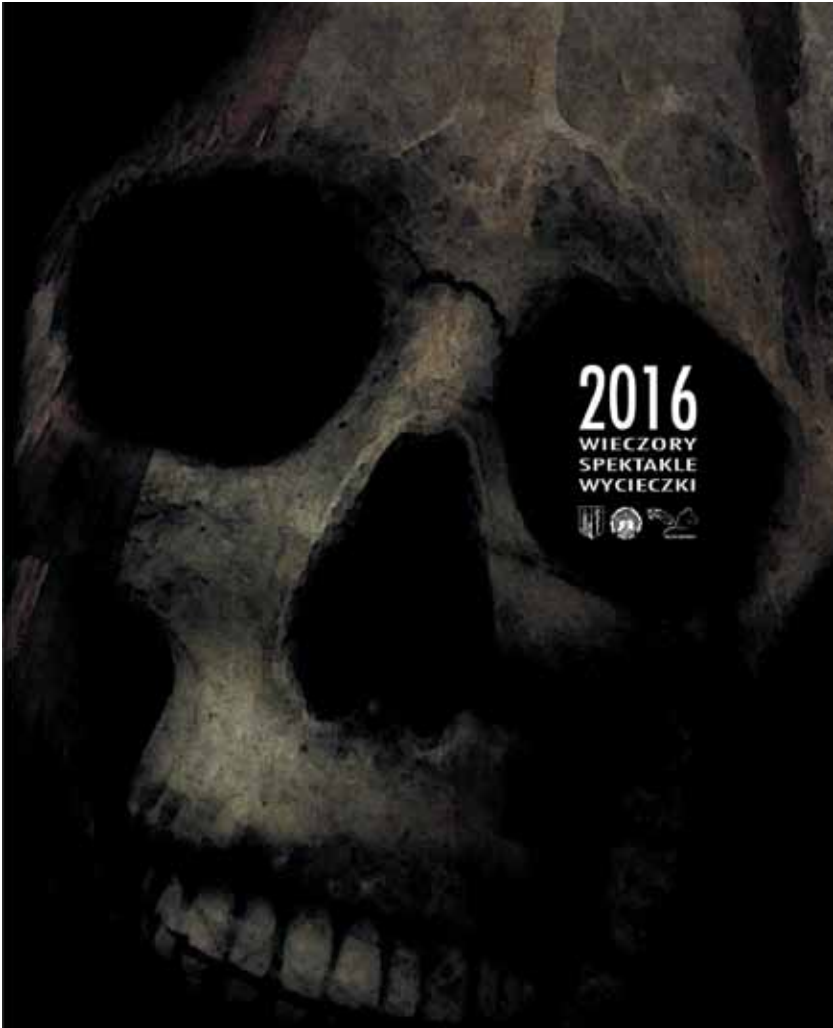
W Książnicy Płockiej aktorzy Teatru Dramatycznego otrzymali zadanie przygotowania interpretacji dowolnie przez siebie wybranych dwóch spośród 154 *Sonetów*⁷⁵ Szekspira.

Pierwsza runda obejmowała wspomnienia ról Szekspirowskich. Katarzyna Anzorge mówiła o szkolnym spektaklu *Jak wam się podoba?*, a Zdzisława Bielecka-Piórkowska o drobnej roli w *Śnie nocy letniej*, stwierdzając, że Szekspir jej nie lubił. Jacek Mąka grał w *Makbecie* i *Hamlecie*, w którym oprócz ostatniej kreacji Klaudiusza, zagrał także inne fragmenty, będąc studentem szkoły teatralnej. Szymon Cempura wspominał *Hamleta* i *Wesołe kumoszki z Windsoru*. Na zakończenie każdy recytował wybrany sonet, czemu towarzyszyły własne dopowiedzenia.

W drugiej rundzie aktorzy mówili o swoich rolach w Teatrze Płockim. Dyrektor Marek Mokrowiecki opowiedział o realizacjach przedstawień: *Nasze miasto*, *Dziady* i *Jeremiasz*, a Jacek Mąka o pierwszej prawdziwej roli w *Montserrat*. Katarzyna Anzorge najlepiej czuła się w roli Solange w *Lecie z Nohant*, a Szymon Cempura opisywał sceny z *Draculi*. Zdzisława Bielecka-Piórkowska najbliższej związana była z komediami Fredry. Kolejne sonety aktorzy dedykowali sobie wzajemnie.

Ryszard Długołęcki z Bydgoszczy jest lekarzem tłumaczącym Szekspira. Warto zajrzeć do *Sonetów*, które w nowych wersjach wyszły spod jego ręki.

⁷⁵ Sonet to kunsztowna kompozycja poetyckiego utworu literackiego, która złożona jest z czteremastu wersów zgrupowanych w dwóch czterowierszach (tetrastychach), rymowanych zwykle *abba abba* i dwóch trójwierszach (tercynach). Pierwsza zwrotka zwykle opisuje temat, druga odnosi go do podmiotu wiersza, a tercyny zawierają refleksję na jego temat.



2016

WIECZORY
SPEKTAKLE
WYCIECZKI



SZEKSPIR NA BIS

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW OKRĘGOWEJ IZBY LEKARSKIEJ W PŁOCKU
I WSPÓŁPRACY PŁOCKIEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ TEATRU

WYPIJMY ZA DUSZKI PANA WILLIAMA

Zadzwońm do dyrektora Marka Mokrowieckiego z propozycją wywołania duszków Szekspirowskich. W rozlicznych dziełach mistrza aż roi się od zjaw nie z tej ziemi, zdarzeń nadprzyrodzonych, tajemniczych i czarodziejskich. Pod wpływem – zaklęć, substancji destylowanych z ziół, potraw zawierających fragmenty zwierząt pomieszanych z obrzydliwymi wydzielinami, niespokojnych snów, widzeń i urojeń – zmienia się los bohaterów oraz spełnia się ich przeznaczenie.

Po kilku dniach odebrałem pięć teczek z fragmentami opracowanymi przez dyrektora teatru. Szybko przejrzałem zawartość, ciekaw metody poszukiwania wyboru scen i możliwości czytanej ad hoc inscenizacji. Po kolei otwierałem: *Sen nocy letniej*, *Hamleta*, *Burzę*, *Makbeta* i *Juliusza Cezara*. Najbardziej zaintrygował mnie tytuł ostatni, bo w mojej głowie nieoczywisty. A jednak jest scena, gdy Brutus do płomienia migotliwej świecy szepcze przestraszony:

Zjawo, czy istniejesz?

Czy jesteś bogiem, aniołem, demonem,

Że jeży mi się włos i mróz krew ścina

Czym jesteś?

I znamienna odpowiedź: *Twoim złym duchem (...).*

Stało się więc jasne, że Szekspirowskie duchy trzeba podzielić na dobre i złe; figlarne i mroczne; rysowane fantazją komedii lub strachem przed karą za zasłużone winy, zabójstwa lub zdrady, że duchy ostatnie to bardziej zmory sumienia, przedsmak czyśćcowych katuszy, rodem z bliskich nam obrzędów dziadowskich opisanych w pierwszym rozdziale. Wówczas staje się również jasne, że z samych tylko omamów można wyjąć potężną galerię demonów kierujących władcami z Kronik.

Jan Kott opisał dylematy reżyserów, którzy od 400 lat zadają sobie pytanie: *jak duch ma wyglądać?* Jak na przykład ma wyglądać ojciec Hamleta? Próby scenicznego rozwiązania problemu, pokazują jak łatwo popaść w śmieszność. W czas zaduszkowy, ciekawy wydał mi się pogląd Konrada Swinarskiego, który uważał, że *duch jest przywołaniem przeszłości. Wołaniem o jej nie-zapomnienie.*

Bohaterowie *Snu nocy letniej* woleliby o przeszłości zapomnieć. Dlatego Puk drapie się z konsternacją po czuprynie i zagaduje widza:

*Jeśli duszek źle was bawił,
Sprawcie, by wszystko naprawił.
Pomyślcie, że wszyscy śnili
Gdyśmy tutaj was bawili.*

W podobnej wbrew pozorom tonacji żegna się z nami Prospero. Wcześniej z udziałem Ariela – ducha przybocznego i kohorty jego przyjaciół rozgrywają burzę. W epilogu słyszymy wyznanie:

*Bez armii duchów, płaszcza, księgi
Czarodziej ze mnie niezbyt tęgi*

Spotkaliśmy się w podziemnych korytarzach najstarszej polskiej szkoły – Małachowianki. Dyrektor Marek Mokrowiecki brawurowo wcielił się w kilka ról, na zakończenie recytując epilog Prospera. Na Dziady⁷⁶ zaprosiliśmy Hamleta i jego ojca, Makbeta, Banka, Juliusza Cezara, Brutusa, Marcellusa, Bernarda, Horacego, Puka, Ariela, czarownice i wróżki. Gościem specjalnym był Upiór. Słuchali Romeo, Julia i Tybald.

76 Mottem Dziadów Adama Mickiewicza jest szekspirowski cytat: *Są dziwy w niebie i na ziemi, o których nie śniło się waszym filozofom.*

WERONA

Pusty balkon, pajęczyna
Julia szykuje wieczerzę
Flakonik stoi na blacie
Zatruje się dzisiaj szczęściem

Pusty balkon, suche liście
Romeo wyjmuje sztylet
Rana tylko trochę krwawi
Do wesela się zagoi

Tybald zasnął już na wieki
Przez sen słodką zemstę chrapie
Słowik to, a nie skowronek

W Mantui spadł deszcz ulewny
Laurenty chowa ziola
Tkliwe *dodzieńdobry* śpiewa



XIV WIECZÓR SZEKSPIROWSKI

11 MARZEC 2013

PONIEDZIAŁEK

GODZINA 18:30

Andrzej Seweryn

SZEKSPIR

FOREVER

Teatr Dramatyczny w Płocku

PLANETA SZEKSPIR – FOREVER

Poprosiłem Andrzeja Seweryna, żeby zamknął *Wieczory* swoim mistrzowskim spektaklem *Szekspir forever*. Przyznałem, że mamy bardzo ograniczone środki finansowe, a Izba pokryje umowy dla pracowników teatru. Zgodził się bez wahania. Nastąpiła wymiana korespondencji, wiele spraw organizacyjnych. Rozdaliśmy 400 darmowych wejściówek.

Spektakl ze sceny kameralnej Teatru Polskiego przeniesiony został do Płocka w ciągu czterech godzin mozolnej próby ze światłami. Koło południa wyjechaliśmy z ulicy Karasia w śnieżyce, zapomniawszy rekwizytów z portierni i powrotnie zajeżdżając pod teatr. Andrzej Seweryn na przesuniętym fotelu samochodu przysypiał i powtarzał kwestie. Mało rozmawialiśmy.

Kiedy przyglądałem się próbie był taki moment przygaszonych reflektorów i tylko jakaś mała smuga przecinała scenę. Przy reżyserskim stoliku siedział dyrektor Mokrowiecki, a na środku sceny owinięty długim płaszczem aktor powiedział w ciemność: *i to jest, Marku, ten moment w teatrze, który lubię najbardziej, za który go kocham...*

Publiczność dopisała, chociaż różnie bywa z widzami, którzy nie muszą płacić. Nazwisko jednak podziało jak magnes. W zapowiedzi przypomniałem historię 45 lat Płockiego Towarzystwa Przyjaciół Teatru⁷⁷.

*Szekspir forever*⁷⁸ to popis jednego aktora, który wciela się w różne Szekspirowskie role. W przerwach między nimi rozmawia z publicznością, pytając na przykład o dzieła Mistrza, każąc wymieniać po kolei kroniki, komedie, tragedie...⁷⁹.

77 PTPT powstało 6 lutego 1968 roku

78 Teatr Polski w Warszawie, Andrzej Seweryn

79 Dzieła Williama Szekspira. Kroniki: Henryk VI (1590-1593), Ryszard III (1590-1593), Ryszard II (1595), Król Jan (1595-1596), Henryk IV (1596-1598), Henryk VII (1596-1598), Henryk V (1599). Komedie: Dwaj panowie z Werony (1590-1595), Komedie omyłek (1591), Stracone zachody miłości (1594), Poskromienie Złościcy (1594), Sen nocy letniej (1595), Kupiec wenecki (1594), Wiele hałasu o nic (1598-1599), Jak wam się podoba (1599-1600), Wieczór Trzech Króli (1600), Troilus i Kresyda (1601), Wesołe kumoszki z Windsoru (1602), Wszystko dobre, co się dobrze kończy (1602-1603), Miarka za miarkę (1604), Opowieść zimowa (1610-1611), Burza (1611). Tragedie: Tytus Andronicus (1593), Romeo i Julia (1595), Juliusz Cezar (1600), Hamlet (1600), Otello (1605), Król Lear (1605), Makbet (1606), Antoniusz i Kleopatra (1606-1607), Korolian (1607), Perykles (1608), Tymon Ateńczyk (1608), Cymbelin (1609), Sonety (1609).

W pokoju dyrektorskim dziękowaliśmy za wszystko i rozmawialiśmy. Dużo rozmawialiśmy. Andrzej Seweryn stał się Andrzejem Sewerynem, oddzielił się od ról, które dane mu było zagrać tego wieczoru. Rozmawialiśmy więc przede wszystkim o kondycji polskiego teatru i marzeniu, aby dzieła polskie, dzieła romantyczne wystawiać znów normalnie, z naciskiem na tekst, na gest, a nie tylko poszatkowany i wybiórczy performance.

Dwa lata później spotkaliśmy się w Operze Krakowskiej. Trwała Gala VIII Kongresu Polonii Medycznej prowadzona przez Mistrza. Cztery lata później spotkaliśmy się wspólnie na scenie Teatru Narodowego. Wówczas to ja byłem autorem tekstów.

Pamiętam chwilę, gdy na widowni Teatru Narodowego czekało na próbę generalną 240 lekarzy i lekarzy dentystów, którzy kilka godzin później zagrali i zaśpiewali podczas inauguracji IX Kongresu Polonii Medycznej (patrz rozdział Scena narodowa). Prowadzącym koncert był Andrzej Seweryn i w naturalny sposób przez cały wieczór miał stać do innych wykonawców tyłem. Postanowiłem zapoznać wszystkich ze sobą przed rozpoczęciem pracy. Otwarta rozmowa i swoboda sceniczna ujęły nawet największych malkontentów. Były brawa i autografy, mimo że czas gonił. Dzięki klimatowi stworzonemu przez aktora, poczuliśmy się wspólnotą. W roku 2017 Andrzej Seweryn otrzymał Złotą Maskę PTPT⁸⁰.

W 1260 roku na wniosek dominikanów ukazała się bulla papieża Aleksandra IV ustanawiająca jarmark w Gdańsku, który miał zachęcić wiernych do udziału we mszy świętej ku czci patrona zakonu, obiecując w zamian pośmiertne zwolnienie od 100 dni czyśćca. Z biegiem lat ludowy festyn z licznymi kramami kupców, poszerzał ofertę o przedstawienia cyrkowe i występy trup aktorskich. Już na początku XVII wieku można było zobaczyć tam sztuki Williama Szekspira, a w Nowej Szkole Fechtunku

80 Nagrodę wręczyłem na scenie Teatr Polskiego w Warszawie

powstała scena elżbietańska – pierwszy publiczny teatr ówczesnej Rzeczypospolitej. Współczesny jarmark gromadzi w ciągu trzech tygodni nawet 8 milionów turystów, a towarzyszący *Festiwal Szekspirowski*, jest największą tego typu imprezą teatralną na świecie.

Kilka lat temu, z inicjatywy Andrzeja Wajdy, z udziałem dyrektora Marka Mokrowieckiego, odbył się I Zjazd Hamletów Polskich, podczas którego ponad trzydziestu odtwórców *księcia duńskiego* wystąpiło na scenach Długiego Targu. Happening był wstępem do uroczystego otwarcia rok później, zbudowanego według projektu włoskiego architekta Renato Rizziego, Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego. Gmach stoi w miejscu wspomnianej Nowej Szkoły Fechtunku sprzed czterech stuleci, a koszt inwestycji wyniósł prawie 100 milionów złotych. Otwierany w 3 minuty dach umożliwia pokazywanie spektakli przy świetle dziennym i pod gołym niebem. Zwiedzanie obiektu to godzinna wycieczka z przewodnikiem, podczas której spaceruje się nie tylko po wnętrzach, ale także po dziedzińcach i murach z widokiem na Głównie Miasto.

Przeciskając się między kramami Jarmarku Dominikańskiego, wybierając bursztynowe precjoza na Mariackiej i kosztując ryb w jednej z wielu smażalni nad Motławą, warto spojrzeć, choćby przez chwilę, na antracytowe dzieło profesora Jerzego Limona, niestrudzonego propagatora Szekspira i człowieka, który spełnił swoje marzenie o teatrze.

Od kilku lat kibicuję konkursowi na najlepszą polską inscenizację sztuki Szekspira. Złotego Yorika zdobyć niełatwo. Najczęściej wygrywają spektakle nieklasyczne. Nie zawsze mogłem je zobaczyć. Tak było z Porcelanką.⁸¹

Nie miałem biletu, mimo usilnych prób i wykorzystania znajomości. Rano ostatnią nadzieję odebrała mi Agata, z którą zamieniłem kilka kurtuazyjnych słów w foyer.

81 Każdy musi kiedyś umrzeć, Porcelanko, na podstawie Troilusa i Klessydy, Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, MOS, Agata Duda-Gracz

Ograniczenia przestrzenne pozostawiły za drzwiami wielu chętnych do obejrzenia zwycięskiego spektaklu *Festiwalu Szekspirowskiego*. Profesor Limon rozkładał ręce.

Czekałem rok, by w Małopolskich Ogrodach Sztuki w Krakowie rozegrała się przed moimi oczami wojna trojańska, której w Gdańsku obejrzeć nie mogłem. Wojna, która na różnych planach toczy się dalej, każdego dnia. Dwa obozy naprzeciw siebie. Kobieta – żona i kobieta – kochanka, staje się zakładnikiem wieloletniego starcia. Miłość wypowiada wojnę przeznaczeniu.

Innym razem trzeba było ruszyć do Łodzi na *Ryszarda III*. Warto było! Królestwo za taki spektakl! Przekartkowała się kronika patologii rodzinnego życia, dążenia do władzy i chorej miłości w reżyserii Grzegorza Wiśniewskiego w intrygującej scenografii na dużej scenie Teatru Jaracza. W roli tytułowej Marek Kałużyński, któremu towarzyszył zespół bez gwiazdorstwa i z dobrym wyczuciem tekstu.

Tytus Andronicus w reżyserii Jana Klaty to polsko-niemieckie wariacje z kanibalizmem w tle. W zalewie instalacji zamiast inscenizacji propozycja wrocławsko-drezdeńska wydawała się lepsza, kpiąca i co ważne mimo przeinaczeń zachowująca Szekspirowską opowieść w zjadliwej (jak przystało na utwór) formie.

Z okazji Roku Szekspirowskiego zaprosiłem Scenę Współczesną z Warszawy do Płocka, abyśmy mogli obejrzeć 37 dramatów Mistrza podczas jednego wieczoru. Bilety w nadzwyczajnie obniżonej cenie rozchwytywano. Było wielu, bardzo wielu młodych ludzi. *Dziela wszystkie Szekspira* w reżyserii Włodzimierza Kaczkowskiego rozpisano na zaledwie trzech aktorów. Akcja i konteksty zaskakiwały, a tempo było oszałamiające.

Idąc przez most milenijny od londyńskiej Katedry św. Pawła nie można oderwać wzroku od budowli skonstruowanej na wzór Teatru Globe. Biletów na wieczorny

spektakl oczywiście nie było od dawna, ale szczęśliwie można było razem z grupą przyłączyć się do zwiedzania. Budowano dekorację. Słuchaliśmy przewodniczki w jednej z galerii, patrząc na plac pośrodku rotundy, bez dachu, gdzie stojąc oglądano spektakle przez kilka godzin. Wcześniej w teatralnym muzeum spojrzeliśmy na stroje i bibeloty z epoki. Na roboczej scenie ćwiczone fechtunek.

Kiedy proponowałem cykl Szekspirowskich dzieł mówiłem, że robię to przede wszystkim dla siebie, by się podszkolić, poznać, odkryć. Przypomniałem wówczas zdanie, że widzowie anglojęzyczni zazdroszczą nam Szekspira, tłumacząc, że kolejne przekłady na języki narodowe, w tym polski, pozwalają znaleźć nowe znaczenia jego słów.

Niedaleko kas Teatru Polskiego na Krakowskim Przedmieściu jest antykwariat. Na jednej z półek zobaczyłem książkę Jana Kota, której nie sposób było dostać przez wiele lat: *Szekspir współczesny 2* napisaną poza Polską i tłumaczoną na język polski. Na tytułowej stronie wewnętrznej widniał autograf i w tej samej chwili Wydawnictwo Literackie znalazło się na mojej półce.

*Współczesności Szekspira są nieoczekiwane. Jeżeli teatr wzbrania się przed przywróceniem politycznego Szekspira, powraca on w obrotach historii na plac publiczny i z publicznego placu, jeśli już nie na scenę, to na ekran.*⁸²

Wieczór czternasty kończyła Piosenka Błazna⁸³ z *Wieczoru Trzech Króli*.

*A gdy był ze mnie całkiem mały brzdąc,
Wiej, wietrze, wiej, hej-ho, deszczu siecz,
Błaznując żyłem i radośnie rżąc,
Bo gdy leje deszcz, to zwykła rzecz.*

82 Jan Kott, *Szekspir współczesny 2*, Wydawnictwo Literackie, 1999

83 w tłumaczeniu Stanisława Barańczak

*A kiedy przyszedł czas na jakiś fach,
Wiej wietrze, wiej hej – ho, deszczu siecz,
Nikt nie chciał błazna wpuścić pod swój dach,
Bo gdy leje deszcz, to zwykła rzecz.*

Andrzej Seweryn zamilkł nagle przy trzeciej zwrotce. Wszyscy wstrzymali oddech. Aktor nie wychodząc z roli poprosił o *podrzucenie* tekstu. Długie trzy sekundy, głos suflera w głośnikach i pieśń potoczyła się dalej...

*Gdy świat się zaczął, był to dziwny traf,
Wiej wietrze, wiej hej – ho, deszczu siecz,
Skończony spektakl, więc nie szczędźcie braw,
Bo zabawić was – to nasza rzecz.*

Pod płaszczem duchów, królów, krwawych pojedynków, chorób umysłu i miłosnych uniesień, przez kolejne cztery stulecia władą nami bezlitosne, Szekspirowskie słowo prawdy o nas. Stoimy przed tym lustrem, stroimy miny błazna i nie wyciągamy wniosków, mimo że czasami warto choć na chwilę przerwać grę...

Przez odkryty dach Gdańskiego Teatru patrzę w niebo. Nie widzę stamtąd Uranu, ale wiem, że wokół siódmej planety Układu Słonecznego krążą bez przerwy księżyce z imionami wyjętymi z dzieł Szekspira: Kordelia, Ofelia, Bianka, Kresyda, Desdemona, Julia, Rozalinda, Kupid, Belinda, Pertyda, Puk, Mab, Miranda, Ariel, Umbriel, Tytania, Oberon, Francisco, Stefano, Trinkulo, Sykoraks, Margaret, Prospero, Setebos i Ferdynand.

To są moi przyjaciele.



BEZDECH WOLNOŚCI



WOLNOŚĆ

Weszliśmy do sali teatralnej przy Chramcówkach, jak na pusty miejski plac – wolni turyści z wielu zakątków Polski, a może nawet świata. Po kilku scenach okazało się, że Miasto trzeba zamknąć z powodu rozszerzającej się epidemii. Łaskawie wyprowadzono nas na amfiteatralnie wywyższoną widownię i oddzielono siatką od zarazy. Przed naszymi oczami szalała *dżuma*⁸⁴.

Z okazji 25-lecia polskiej transformacji zostałem zaproszony przez Stowarzyszenie Uniwersytetu Trzeciego Wieku do wygłoszenia wykładu na temat: *Wolność biologiczna – zdrowie jako podstawa życia. Zniewolenie przez chorobę – aspekt społeczny i indywidualny*. Nie byłem zadowolony ze sformułowanych zagadnień, dostałem mało czasu, a kiedy zacząłem pisać tekst, wiedziałem już, że istota jest dla mnie nie do ogarnięcia. Bo co może znaczyć wolność w kontekstach medycznych?

Nie jesteśmy wolni od własnego ciała, zaprogramowanego genetycznie, kryjącego w sobie nie tylko witalność, ale także słabość, którą możemy omijać czy wzmacniać, ale nie możemy jej pokonać ostatecznie, gdyż to nie my w naturalnym podejściu do życia i śmierci decydujemy o narodzeniu i umieraniu. Pierwsze zdanie mogłoby zakończyć wykład: wolności biologicznej nie ma. Podstawą piramidy jest spełnienie potrzeb fizjologicznych takich jak: jedzenie, sen, rozmnażanie się. Dopiero w dalszej kolejności pojawia się wolność osobista lub zbiorowa, ale z biologią, która nie jest demokracją, nic wspólnego raczej nie ma. Nie zmienia to faktu, że biologia jest postępową, a walka genów i gatunków, selekcja naturalna, ewolucja przystosowań do zmieniających się warunków środowiska, powoduje, że życie trwa niezależnie od wszystkiego, w łańcuchu pokoleń wolnych lub zniewolonych ludzi i narodów.

Człowiek, jako istota biologiczna, istota obdarzona rozumem i wolną wolą, zgodnie z biblijną terminologią, może w mniej lub bardziej świadomy sposób kształtować

84 Albert Camus, *Dżuma*, Teatr Witkacego w Zakopanem, Andrzej Dziuk

świat przyrody i korzystając z różnych instrumentów wpływać na jakość życia, jego długość, ograniczenie cierpienia, stosowanie technik naprawczych lub korygujących.

Ale kiedy zapytamy polityków, czy zdrowie jest najważniejsze, nie dadzą odpowiedzi jednoznacznej. Bo z punktu widzenia państwa zdrowie to tylko jeden z elementów i wbrew pozorom nie musi on determinować wszystkich działań, bo ważniejsza jest podstawowa egzystencja z wodą do picia, kanalizacją, edukacją, rozrywką, transportem czy poczuciem bezpieczeństwa, które dopełniają w ostatecznym rozrachunku nasze samopoczucie. Zdrowy naród powinien lepiej pracować, co nie znaczy, że odsetek obarczonych chorobami nie wytwarza PKB, pchając do dalszego rozwoju, choćby poprzez wzrost konsumpcji leków, czy korzystanie z publicznej lub prywatnej opieki zdrowotnej.

O jakich możemy mówić wolnościach w kontekście zdrowia?

Czy korzystamy z wolnego wyboru lekarza i placówki medycznej? W każdej przychodni można podpisać deklarację do lekarza rodzinnego, pielęgniarki i położnej. Czy robimy to świadomie? W większości wypadków niestety nie. Zapisujemy się z powodu bliskości ośrodka albo dlatego, że zawsze tam chodziliśmy, rzadziej z powodu braku kolejek, które mogą być synonimem kiepskiej opieki, a nie dobrej organizacji. Narodowy Fundusz Zdrowia pozwala nam na zmianę deklaracji wyboru, ale tylko dwa razy w roku. W korzystaniu z wolności powinien być porządek, nie można akceptować systemu, w którym wolność wyboru zamieniamy na dowolność, chaos i brak konsekwencji podjętych decyzji. Można oczywiście skorzystać z gabinetu lub placówki prywatnej, licząc się z ograniczeniem dni i godzin przyjęć lub choćby faktem, że lekarz, którego sobie upatrzyliśmy, nie jest związany kontraktem NFZ i po pierwsze wcale nas leczyć nie musi, może nie dać nam refundowanej recepty, a jeśli nie wiąże go także nic z ZUS-em, nie dostaniemy L4.

Czy korzystamy z wolności wyboru terapii? Zmiana w ostatnich latach modelu patriarchalnego na partnerski powinna i w dużej mierze uwzględnia świadomą zgodę pacjenta na leczenie, ale także na diagnostykę, rehabilitację, na profilaktykę, np. przy

szczepieniu przeciw grypie. Ale nawet wszechstronne przygotowanie pacjenta i zadane przez niego pytania nie gwarantują zrozumienia odpowiedzi na zagadnienia, które wymagają wiedzy specjalnej, ba odpowiedź na nie jest statystycznym łamańcem i nikt nie może zapewnić, że wszystko się uda. Powikłania są ceną terapii, chociaż tak często uważamy, że są błędem lekarza, a nie indywidualną reakcją organizmu. Żal potęguje fakt, że z powodu niewiedzy rezygnujemy z wyboru terapii, zastępując ją zaufaniem do lekarza, które w naszej opinii jest wykorzystywane w zbyt szerokim zakresie, bez poszanowania naszej godności.

Czy korzystamy z wolności wyboru ubezpieczenia zdrowotnego? Czy taka wolność w Polsce po 25 latach istnieje, jeśli płatnik publiczny jest tylko jeden, a wszelkie abonamenty i dodatkowe ubezpieczenia trafiają wyłącznie do grup zamożnych?

Czy dopuszczamy w swoim otoczeniu palenie tytoniu? Biernie, codzienne wdychanie dymu nikotynowego jest równie niebezpieczne jak osobiste palenie i zwiększa ryzyko wystąpienia raka płuc. Jest to jedyny pewnik w onkologii, ale może mają rację ci, którzy uważają, że dyrektywa UE o zakazie palenia w miejscach publicznych narusza osobistą wolność do korzystania z legalnego produktu, przynoszącego ogromne zyski rolnictwa i przemysłu. Mimo tych zdań odrębnych wolność od smogu w pubach, restauracjach, świetlicach, dyskotekach, na przystankach autobusowych, w sanatoriach, pokojach nauczycielskich i sekretariatach nadchodzi nieuchronnie.

Czy akceptujemy, że ludzie chcą decydować o momencie swojej śmierci? Jak w kontekście dyskusji o eutanazji rozumieć prawo do śmierci? Czy śmierć na życzenie jest tylko fanaberią oderwaną od rzeczywistego cierpienia, bólu nowotworowego, braku możliwości komunikowania się i poruszania, niemożności widzenia i słyszenia jednocześnie, samotności i wstydu wobec ludzi, którzy umożliwiają podstawowe potrzeby: karmiąc, myjąc, przewijając, cewnikując? Gdzie jest granica uporczywej terapii i wiary, że nadejdzie dzień, w którym nasz bliski odłączony od życiodajnej maszyny, obudzi się, tak jak w klinice znanej aktorki? Czy ratowanie samobójcy jest dopuszczalną ingerencją w decyzję jednostki?

Zadajemy sobie wiele pytań, na które odpowiedzi czasami nie są możliwe, także z powodów kulturowych. Toczmy na przykład spór o prymat wolności lekarza, kierującego się klauzulą sumienia i pacjenta, który chce decydować o losie według własnego sumienia, choćby o ciąży z gwałtu lub obciążonej genetyczną chorobą płodu. Dotychczasowe tajemnice gabinetów lekarskich i konfesjonałów przenosimy do debaty publicznej, korzystając z wolności słowa i głośnego wyrażania poglądów. Lekarz nie jest głuchy na ten głos, musi jednak w zgodzie z obowiązującym kanonem etyki zawodowej uważnie prowadzić podopiecznego wraz z zespołem ludzi: psychologami, księżmi i sędziami sądów rodzinnych.

Czy choroba psychiczna może ograniczyć wolność decydowania o sobie: mieszkaniu, jedzeniu, rozrywkach, pasjach i funkcjonowaniu w zamkniętym świecie myśli? Jaki stopień choroby upoważnia do interwencji? W czasach słusznie minionych rozpoznanie psychozy było nadużywane do pozbywania się dysydentów, a czasem odwrotnie – miało ich ukryć przed karzącą ręką władzy albo zwolnić z wojska. Dzisiaj ustawa o ochronie zdrowia psychicznego traktuje chorego podmiotowo, pyta o zgodę, a w szczególnych wypadkach przy zagrożeniu samookaleczeniem lub agresją wobec innych, oddaje decyzję o ubezwłasnowolnieniu czy przymusowym leczeniu sądowi. Decyzja może być czasowa, gdyż poprawa stanu zdrowia powinna przywracać prawo do wolności osobistej.

Tylko świadomy brak zgody zgłoszony do odpowiedniego rejestru, zabezpiecza przed pobraniem organów do przeszczepu. A przecież nerka, serce, rogówka, wątroba mogą dalej dawać życie, jeśli powiadomimy naszych bliskich, że chcemy, aby ktoś dzięki nim cieszył się nadal żoną, mężem i rodziną. W podobny sposób możemy podarować za życia swój szpik. Wystarczy tylko pobrać wymaz z jamy ustnej i czekać na znalezienie genetycznego bliźniaka na drugim krańcu kuli ziemskiej. Ale czy w wypadku transplantologii nie mamy moralnych wątpliwości? Mamy. Zwłaszcza wtedy gdy słyszymy o czerwonym rynku handlującym organami i wykorzystywaniu w różnych gałęziach przemysłu kości, włosów, łożysk, co nierzadko doprowadza do

ekonomicznego podporządkowania, a nawet zniewolenia w specjalnych ośrodkach tylko dlatego, aby zrównoważyć popyt i podaż w dążeniu do nieśmiertelności.

Nie można zapomnieć o zezwoleniu na toczenie krwi ze względu na wyznanie. Warto zastanowić się nad sprawowaniem władzy rodzicielskiej i podejmowaniem decyzji medycznych w imieniu małoletnich. Nie raz, nie dwa dopiero orzeczenie sądowe pozwala lekarzowi na operację dziecka.

Jak w takim razie patrzeć na wolność badań naukowych i eksperyment medyczny? Gdzie są granice nieprzekraczalne? Aby móc przeprowadzić badanie z udziałem ludzi należy wypełnić wiele warunków, w tym uzyskać zgodę odpowiedniej komisji bio-etycznej, działającej przy izbie lekarskiej. Protokoły badań nad lekami wymagają zgody pacjenta, jego współpracy, ale i podjęcia ryzyka, że jego zdrowie w wyniku objawów niepożądanych próby biologicznej ulegnie pogorszeniu, a nie poprawie. Historia choroby nowotworowej i walki z AIDS pokazują, że zniewoleni śmiertelną chorobą wymuszają na naukowcach wprowadzanie leków niesprawdzonych do końca, uważając że czas jest najważniejszy, a procedury biurokratyczne oddalają od cudu uzdrowienia. Czy pod takim wpływem nie działała firma produkująca szczepionkę przeciw grypie, w czasie niedawnej epidemii, zakwestionowana przez Polskę? Co by się stało, gdyby epidemia dotarła i wybuchła, szczepionka była skuteczna, a Polacy nie skorzystali z jej ochrony?

Czy zgadzamy się na zmianę płci? Prawo w szczególnych wypadkach, po zasięgnięciu odpowiednich ekspertyz i opinii biegłych, decyzją sądu zmienia płeć w dowodzie osobistym, a terapią hormonalną i działaniami chirurgii plastycznej zmienia wygląd człowieka w zależności od jego poczucia piękna.

Czy oburza nas żywność genetycznie modyfikowana? A przecież dzięki niej wzrosły plony i w pewnym zakresie pokonano widmo głodu. A idąc dalej, czy zgadzamy się na inżynierię genetyczną, która ingeruje w organizmy, poprzez zmianę zapisu genomu? A jeśli jutro jeden zastrzyk podany cukrzykowi zablokuje gen, który odpowiada za hiperglikemię, to będziemy za czy przeciw? A jeśli inny zastrzyk powstrzyma

rozwój Alzheimera, a następny raka sutka? Przecież już dzisiaj szczepimy dziewczęta przeciw wirusowi brodawczaka ludzkiego i w ten sposób chcemy ograniczyć występowanie raka szyjki macicy.

Może zamachem na wolność w pojęciu zdrowotnym jest zbyt mało informacji na temat podawanych nam leków i stosowanych metod diagnostycznych? A może wolność przekazu, totalna reklama produktów farmaceutycznych i witamin na wszystko powoduje szum, w którym zagubiliśmy się i dlatego nie potrafimy wybrać najbardziej racjonalnej drogi? Zniwoleni reklamą błakamy się między dietami, które nas odchudzą, a im więcej zjemy, tym będziemy szczuplejsi; lekami, które nas ochronią przed tłuszczem i toksynami, a tym samym zwalniają z myślenia o tłuszczach i toksynach; piwem, sponsorem wszelkich dóbr kulturalno-rozrywkowych, które w pojęciu Polaków nie jest alkoholem, chociaż dziwnym trafem jest pierwszym powodem choroby alkoholowej i raka trzustki. Wolny rynek używek, suplementów diety, półproduktów, dopalaczy, fast-foodów zakleszcza myśli i pcha podświadomie do skorzystania z każdej oferty, bo może tym razem nie jest to zwykły marketing bez recepty.

Mamy jednak i drugą stronę medalu. Oto obawiający się o dzieci rodzice fundują im najprzeróżniejsze diety eliminacyjne, choćby wegetariańskie, skazując na niedobór ważnych czynników wzrostowych i energetycznych. Niekiedy przesadzają tak bardzo, że jest potrzebna interwencja sądu, aby dzieci nie zagłodzili z miłości. Innym przykładem są szczepienia, które wyrwały nas z objęć ospy prawdziwej, makabrycznego tężca, dławiącej błonicy, uszkadzających mózg odry i wścieklizny, ale ruchy antyszczepionkowe przekonują, że ingerencja immunologiczna w organizm jest zbyt wielka i nie zgadzają się na szczepienia, zawsze do czasu, gdy ktoś umiera na sepsę pneumo- lub meningokokową. Po takim zdarzeniu liczba chętnych do wakcynacji wzrasta z godziny na godzinę.

Korzystanie z wolności osobistej nie może ograniczać wolności zbiorowej, a co za tym idzie narażać zdrowia publicznego. Stąd ustawa o zapobieganiu i zwalczaniu chorób zakaźnych stosuje przymus wobec jednostki, na przykład poprzez wprowadzenie

kwarantanny, obowiązkowe szczepienia pod karą administracyjną, zakaz wjazdu na terytorium danego państwa. I tu wracamy do zamkniętego miasta podczas dżumy opisanej przez Camusa – nikt nie liczył się z ograniczeniem wolności części społeczeństwa. A przecież w mniejszym wymiarze zgadzamy się na to także w hospicjach, zakładach pielęgnacyjno-opiekuńczych i domach pomocy społecznej. Organizujemy profesjonalną opiekę, zawieramy społeczny konsensus, w którym przekazujemy obowiązki innym, ale jednostki, w wielu wypadkach nieprzytomnej, już o to nie pytamy, bo pytać nie mamy jak.

Pierwsze zdanie mojego wykładu brzmiało: Nie jesteśmy wolni od własnego ciała, zaprogramowanego genetycznie, kryjącego w sobie nie tylko witalność, ale także słabość, którą możemy eliminować czy wzmacniać, ale nie możemy jej pokonać ostatecznie, gdyż to nie my, w naturalnym podejściu do życia i śmierci, decydujemy o naszym narodzeniu i umieraniu. Zaryzykujemy modyfikację: jesteśmy wolni od ciała. Możemy zaprogramować następne pokolenie, w eksperymencie medycznym wybierzemy kolor oczu i iloraz inteligencji wnuków, wyprodukujemy na trójwymiarowych drukarkach części zamienne organów, zmodyfikujemy geny chorobotwórcze, a nawet w wyniku iniekcji zmienimy myśli i zaszczepimy nowe idee, na przykład o świecie bez wojen. Czy wówczas dotkniemy prometejskiego snu o nieśmiertelności, czyli będziemy wolni od śmierci?

Siatka podniosła się w górę. Wróciliśmy do Miasta Oran, które przez dwie godziny teatralnego spektaklu zniewoliła choroba. Czy staliśmy się wolni doktorze Rieux? Niestety nie, bo bakcyl dżumy nigdy nie umiera.

CHŁOPCY Z PLACU BRONI !!!



CHŁOPCY Z PLACU BRONI – PRÓBA CZASU⁸⁵

Niektórych lektur się nie zapomina, a czasem wręcz wraca do nich przy każdej możliwej okazji. Odczytywane po latach fragmenty przypominają nie tylko dzieciństwo, ale nasz niedojrzały pogląd na świat, kształtowanie postaw, odniesienia do współczesności. Bywa, że treści zawarte w książce rosną razem z nami, potrafimy na nowo interpretować zapisy, które poprzednio były dla nas zbyt trudne do zrozumienia. Bywa i tak, że strony żółkną i fabuła nie przystaje do realiów, nie porywa jak wcześniej, nie wytrzymuje próby czasu.

Na moim biurku, od kiedy ponownie ją przeczytałem na głos swojemu siedmioletniemu synowi, leży książka Ferencza Molnara. Patrząc na nią codziennie. Napisana na początku XX wieku, niezmiennie uczy honoru, braterstwa i patriotyzmu w najpiękniejszych odmianach tych trudnych słów. Tym trudniejszych, im łatwiejsze jest życie: bez głodu, chłodu, moru, gdy już nie trzeba się bić o wolność narodu, o swoje miejsce na ziemi, o placówkę marzeń i spełnień, gdzie wspólnie z kolegami można się bawić i dorastać, by później dobrze służyć innym.

Po dwudziestu latach od polskiej pokojowej transformacji ustrojowej, wziąłem do rąk *Chłopców z Placu Broni* i przeczytałem na nowo historię Niemeczka, Boki, Acza i Gereba.

Oto ambitny cherlak, który nie chce być szeregowcem i mimo strachu ośmiela się bronić honoru kolegów, stając oko w oko z najstraszniejszym wodzem Czerwonych Koszul. A dalej dobroduszny przywódca Placu, który przeistacza się w genialnego stratega i prowadzi rozbrykaną gromadę *kitowców* ku zwycięstwu. Obok przegrany Feri Acz oddający cześć sile ducha. A pomiędzy nimi chłopak zagubiony, raz tu, raz tam, rozdarty, poszukujący swojego miejsca. Zdrajca i bohater jednocześnie. Bo nie zawsze wiemy, jaka droga jest najlepsza, ale zawsze powinniśmy się na niej znaleźć.

85 Tekst został wydany w Gazecie Wyborczej w 2009 i był pisany odcinkami w miarę realizacji spektaklu.

Na placu opadł bitewny kurz. Zestarzeli się chłopcy, gotowi dzisiaj do przyjmowania odznaczeń, z jednej i drugiej strony nakładając na głowę laury mądrości i roztropności. A ich dzieci i wnuczeta nie rozumieją, o co była ta cała walka, przecież ich życia nie dzieli już żaden mur, nie przeszkadzają *zęby krat*⁸⁶. Dlatego postanowiłem z kolegami i koleżankami mojego syna przypomnieć sobie o chłopcach z książki Ferenca Molnara.

Teatr amatorski to duże wyzwanie zwłaszcza, jeśli amator teatru ciągle się mądrzy i poucza profesjonalistów. Stworzenie recitalu, instalacji słowno-muzycznej, koncertu z intelektualnymi wstawkami, a takie formy uprawiałem przez ostatnie lata, to coś znacznie prostszego niż kreowanie dramatu, gdzie wszystkie role obsadzone są przez dzieci. Dodatkowy problem stanowi wybór scen i nadanie przedstawieniu jednoznacznego przesłania, które zostanie zapamiętane na dłużej niż sam tekst, gest, gra światła, wojenne dźwięki. Znalezienie odpowiedniego symbolu dla całości jest i trudne, i niebezpieczne. Może być zbyt pompatyczne, a wtedy zamiast podniosłe staje się śmieszne. Poza tym widz potrzebuje zmiany tempa. Powaga zdarzeń powinna być rozładowana szczerym śmiechem i zaangażowaniem w sceniczną intrygę.

Uczniowie chodzą na zajęcia w kółkach teatralnych. Przygotowują bajki i występy na akademie, uczą się warsztatu, uczestniczą w konkursach recytatorskich i festiwalach teatrzyków dziecięcych. Czy powinienem zgodzić się na szkolne przedstawienie? Czy uda się pokazać, że sztukę tworzy się w każdych warunkach, ale ważne jest także pełne techniczne oprzyrządowanie, budowa sceny i widowni, profesjonalnie wykonana oprawa muzyczna i magiczna iluminacja, aby choć przez chwilę przenieść się na Plac Broni i do Ogrodu Botanicznego? To nie jest proste. Możemy nie wytrzymać próby sił, a wówczas rozpalone nadzieje zostaną zaprzepaszczone. Nie mam jednak wyjścia, skoro uważam, że teatr dla dzieci musi być teatrem wielkich wyzwań, choćby w konsekwencji przegranych.

86 Słowa felietonów żółkną szybciej niż strony książek – przypis autora

Do ról zgłosiło się piętnastu chłopców i siedem dziewcząt z kilku klas od dziewięciu do trzynastu lat. Nauczycielki zajmujące się kołami teatralnym i tanecznym zadeklarowały wszelką pomoc, kontakty z rodzicami, pilnowanie nauki tekstu. Każdy, niezależnie od wielkości kwestii, miał znać książkę Ferenc Molnara. Rozmawialiśmy o niej, szukając podpowiedzi autora dla zachowań aktorskich.

Treść *Chłopców...* uległa znacznemu okrojeniu. Dopisałem dodatkowe sceny, nowe przestrzenie i współczesne rozwiązanie prologu i finału. Rzecz przecież musi się dziać tutaj, to świat współczesnych chłopców i dziewcząt.

Wróciłem z kolejnej próby. W najbliższym tygodniu mieliśmy rozpocząć serię przedstawień dla uczniów zakończoną premierowymi pokazami dla rodziców i podczas jubileuszowej gali. Czułem powoli zmęczenie, nie tylko moje, ale także młodych aktorów. Dla większości z nich był to debiut, w którym po części mieli zagrać samych siebie. I właśnie tę naturalność najtrudniej z nich było wydobyć i utrwalić w artystycznym przekazie.

Nigdy nie jest tak, że na scenie wszyscy grają bohaterów, mędrców, mężów opatrności. Sztuka jak życie, wyznacza role pierwszoplanowe, na których tle przesuwają się cienie statystów. Najlepiej oczywiście, jeśli postacie nie są malowane tylko w tonacji białe – czarnej, a dylemat moralny opisywany fabułą powoduje refleksję nad własnym postępowaniem. Twórczość dla dzieci jest pod tym względem ułomna i w jej przypadku lepiej skupić się nad grą zespołu, utrwalając wiarę, że w gromadzie jesteśmy silniejsi, razem potrafimy więcej poprzez dodawanie, a wręcz mnożenie naszych umiejętności i zasobów.

Dwadzieścia lat temu chłopcy z Placu Broni usiedli do stołu z Czerwonymi Koszulkami⁸⁷. Dlaczego? Dlatego, że Polska, jak ukochany i bezbronny Nemecek, zaczęła

87 Obrady „okrągłego stołu” rozpoczęły się w lutym 1989 roku

umierać. Trzeba było podać sobie ręce, modyfikować poglądy, zawierać kompromisy, w imię racji stanu, żeby Polska znów była polska, a słowa z gdańskiej Zaspy *Solidarność to jeden i drugi* nabrały rzeczywistego wymiaru.

Współcześni zapominają o przesłaniu Wielkiego Polaka. Wolności, której zgodnie z historycznym zawołaniem nie ma bez solidarności, nie potrafimy szanować. Stawiamy nowe mury, linie podziałów przesuwamy na inne place. Izolujemy się i nie słuchamy.

Zgłasło światło⁸⁸. Z radiowęzła szkolnego płynie radosna piosenka i zapowiedź spektaklu. Nad łóżkiem, w którym leży chory Nemeczek, żarzy się żarówka. Boka dzwoni do drzwi. Erno składa obietnicę, że... umrze. Za oknem toczy się życie. Szum ulicy. Chłopcy grają w piłkę i jeżdżą na rowerach, dziewczynki przechadzają się z wózkami dla lalek. Wiosna, chociaż małemu bohaterowi jest bardzo zimno. W majakach słyszy piosenkę siostry, która podchodzi z głębi wspomnień i owija jego zbolałą szyję szalikiem z napisem POLSKA.

Jak było? Tak strasznie się bałem, kiedy Feri Acz przyszedł zabrać nam naszą chórągię. A potem wybraliśmy Bokę na przewodniczącego, który wcześniej nakrzyczał na mnie, że mam się nie mazać, przecież ktoś musi być szeregowcem. Czele chciał mnie wyrzucić z Placu. Ale Boka nie pozwolił na to i zabrał na wyprawę do Ogrodu Botanicznego. Czerwone Koszule naradzały się przeciw nam. Wpadłem w oranżerii do sadzawki i od tej pory jest mi ciągle zimno i kaszlę. Może kasłałbym mniej, ale następnego dnia zmoczyli mnie wodą Sebenicz i Pastor, kiedy ujawniłem się po usłyszeniu słów obrażających honor naszych chłopaków przez Gereba, zdrajcę z Placu Broni. Nie pozwolili mi pójść na wojnę. Ale ja i tak pobiegłem, bo przecież każdy, nawet najmniejszy szeregowiec, jest ważny, kiedy toczy się bitwa o wolność Ojczyzny.

⁸⁸ Jarosław Wanecki, Chłopcy z placu broni!! na podstawie Ferenca Molnara, Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 22 w Płocku

Walki były bardzo wyrównane. Raz jedna strona przesuwiała się naprzód, innym razem druga. Aż zakręciło mi się w głowie od tego hałasu. Feri się mnie przestraszył, pewnie nie chciał się zarazić i uciekł, a za nim jego przyjaciele. Nie powiem, potem okazali się całkiem przyzwoici, ale potrzebowali boiska do gry w piłkę, a nasze miejsce zabaw świetnie pasowało do ich zamierzeń. Gereb wrócił na naszą stronę. To mnie bardzo ucieszyło, zwłaszcza, że zaproponował, abym został kapitanem. Ale ja nie dlatego poszedłem na Plac. Ja... Nie mogę żyć bez kłótni Kolnaya i Barabasza, nieporadności Weissa, gwizdania Czonakosza, złośliwości Czelego, zaradności Rychtera. A Boka, bardzo mi imponuje, to przecież jest nasz generał, zwycięski wódz, mądry i wielki. Przerasta mnie aż o dwadzieścia centymetrów. W szpitalu powiedzieli rodzicom, że mój stan jest bardzo ciężki. Jak tak gadają, to pewnie umrę? Szkoda, bo można byłoby pograć z chłopakami w nogę, a jeszcze lepiej w rękę, bo zdobyliśmy przecież fajny medal na mistrzostwach.

Dowódcy podali: Bacność! Gaśnie światło.

Każda praca powinna być wynagradzana. Po występie w przedstawieniu szkolnym zaproponowałem młodym artystom gażę w formie dwudniowej wycieczki do Gdańska – kolebki polskiej wolności. Byliśmy pod Stoczną Gdańską, tam gdzie był plac boju i nierówna próba sił w walce o godność ludzi pracy i Ojczyznę.

Grubo ponad tysiąc osób obejrzało pięciokrotnie wystawiony spektakl. Przez wiele miesięcy nagranie powtarzała lokalna telewizja kablowa.

Czekałem na spotkanie w jednej z warszawskich kawiarni. Przede mną leżało DVD z kolorowym zdjęciem na okładce i tytułem naszego przedstawienia. Przy sąsiednim stole siedziały dwie starsze panie, z których jedna podeszła i zapytała: *przepraszam, czy mogłabym obejrzeć płytę. Widzę tytuł **Chłopcy z placu broni**. Znam Michała Zadare*⁸⁹

89 Chłopcy z placu broni w interpretacji Michała Zadary - ostatni spektakl Teatru Małego w Warszawie

ANTRAKTY

i nie wiedziałam, że jego spektakl z Teatru Małego jest nagrany. Przedstawiłem się i wyjaśniłem, że to tylko projekt szkolny, ale bardzo pozdrawiam pana Michała i żałuję, że nie mogłem zobaczyć jego realizacji.

Retrospektywa placu w wykonaniu dużych chłopców Teatru Narodowego zakończyła wieloletnią działalność najmniejszego warszawskiego teatru, ulokowanego w Domach Towarowych Centrum. Komercja zwyciężyła z kulturą. Wolny rynek zamienił scenę na supermarket, tak jak plac w Budapeszcie, który wywalczony przez Bokę i Nemeczka oddano pod budowę czynszowej kamienicy i znów nie było gdzie grać w piłkę.

Prawie dekadę później składałem teksty do książki o antraktach i patrzę w okno telewizora. Chłopcy znów bawią się w wojnę.

W mojej inscenizacji Nemeczek został uratowany przez zespół pediatrów Szpitala na Winiarach i dziarskim krokiem szedł wśród owacji do ukłonów. Gdybym dziś miał dodać suplement, położyłbym małego Erno otulonego szalikiem z wyhaftowanymi literami P O L S K A do łóżka i powiedział zapłakanej matce: *droga Pani, mamy nieoczekiwany nawrót choroby. Stan dziecka jest krytyczny. Trzeba przygotować się na najgorsze...*

SZKLANE DOMY

Bolesne szkło zatopione w oku
Domy rodzinne potłuczone w piach
Szkłana kuchnia, łazienka, pokój
Zmywane wodą podłoga i dach.

Miasta – ogrody, zdrowia majątek
Sterylność planów, wychuchany kąt
Koniec nastąpił zanim wstał początek
Wylaniający z morza nowy ląd.

Tu jest nasz dom z czystego szkła
Tu jest nasz kraj szklisty jak lza

Hutnicze piece, turbiny, koła
Czekają w redach poślaczanych plaż
Szkłana ulica, fabryka, szkoła
Ruiny marzeń, wzlotów i szarż.

Artyści tworzą dzieła wspaniałe
W tęczy pryzmatu zanurzony Mond
Z garści ziarenka śpią się małe
Domy na piasku, zamiast z kwarcu dom.

Tu jest nasz los piaszczystych wydm
Tu jest nasz świat i kruchy mit!

28.
02.
R 2004



TEATR NARODOWY
COMEDY OF THE ARTS

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

2

MAJA



2 MAJA

W roku wejścia Polski do Unii Europejskiej byłem na premierze spektaklu Andrzeja Saramonowicza w Teatrze Narodowym. Reżyserowała Agnieszka Glińska. Na scenie wielkie aktorskie gwiazdy. Na widowni nazwiska z pierwszych stron gazet, poddane próbie tekstu o polskim rozdzieleniu jaźni. Rozdarci między wspomnieniem młodości, tęsknotą i przekleństwem PRL-u oraz nadzieją i poczuciem zmarnowanej szansy po 1989 roku, narastającym z każdym dniem zbliżającym do naturalnej, a nie bohaterskiej śmierci. Symbolem schizofrenii stał się tytułowy 2 maja.

Dużą część życia spędziłem w Polsce Ludowej. Pamiętam pierwszomajowe pochody, akademie ku czci rewolucji październikowej, obozy harcerskie i kolonie zuchowe z obecnością tajemniczych panów. Pamiętam dożynki i plon niesiony do rąk gospodarza, któremu pomagano ze wszystkich sił, *aby Polska rosła w siłę, a ludzioro żyło się dostatnio*. Pamiętam entuzjazm i strach początku lat osiemdziesiątych: rozgorączkowane dyskusje, kłótnie, kabaretowe dialogi, przekazywane z dziecięcych ust do ust rymowanki o najnowszej historii. Pamiętam drżący głos proboszcza 13 grudnia 1981 roku, pierwszą miłość i *Psalm stojących w kolejce, że kiedyś te kamienie drgną i polecą jak lawina, przez noc....*

Kiedy rozpoczynałem studia, Tadeusz Mazowiecki został premierem, a od 1 stycznia 1990 roku zawitała III RP. Razem z nią codzienność wolności, z którą nie potrafiliśmy sobie poradzić niszcząc po kolei wszystkie autorytety i przyglądając się jak rewolucja *Jesieni Ludów* zjada własne dzieci. Tylko od czasu do czasu stać nas było na przystanek, refleksję o granicach gry rynkowej, debaty publicznej, moralności polityków i słabości ludzkiej, niezależnie od cezury czasu naznaczonej przez datę urodzenia. Tylko wówczas dostrzegaliśmy, że w wielu wypadkach o przyzwoitości nie wolno nam wyrokować na podstawie wątpliwych dokumentów czy chełpliwych plakietek przynależności. Polska dawała wolność, ale przynosiła także biedę tym, którzy nie potrafili

ANTRAKTY

znaleźć się w nowej rzeczywistości. Zapomniano nie tylko o rodzinach z PGR-ów, ale także o polskiej inteligencji.

Moja Polska. Rozdarta między 1 a 3 maja, według Saramonowicza: *męczy i wpędza w miakłość. Dawniej dawała jeszcze szansę na nagły zgon od bohaterskich ran, zadanych zdradziecką ręką wroga. Dziś pozbawia sił i energii, wypompując z nas krew tysiącami niewidzialnych kanalików (...). I zamienia w anemików, a nie bohaterów.*

SONET VI ⁹⁰

Życie to mój Teatr – opowiadam
Nie wychodzę poza ramę roli
Życie to jest ciągła maskarada
Piękny dramat, co tak pięknie boli

I tylko taką mnie ścieżką poprowadź
Wśród dzieci strasznie znudzonych deszczem
Portret – talizman zatrzasnę w słowach
I te dni, których nie znamy jeszcze

Bym spieszyl kochać ludzi na zawsze
Zamykać oczy – naprawdę patrzeć
Gdy cisza wyje w miłosnych wierszach

I każdą pewność czas nam zabiera
Dopiero śmierć odda bohatera
Chociaż ostatnia, stanie się pierwsza

90 z cyklu Lektury podręczne

Teatr Dramatyczny
im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku

Dyrektor - Marek Mokrowiecki,
Dyrektor Artystyczny - Wiesław Rudzki



Institucja finansowana ze środków
Samorządu Województwa Mazowieckiego

Cappuccino
Je T'aime

KAWIARENKI

Zapach świeżo mielonej i parzonej kawy ma swoją polską tradycję. Dość przypomnieć fragment z **Pana Tadeusza**:

*W Polsce, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju,
Jest do robienia kawy osobna niewiasta,
Nazywa się kawiarka; ta sprowadza z miasta
Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku,
I zna tajne sposoby gotowania trunku,
Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu
Zapach moki i gęstość miodowego płynu.*

Tak było na dworach szlacheckich. Mieszczanie woleli chodzić do kawiarni, by tam nie tylko delektować się *małą czarną*, ale przede wszystkim spotkać się z ludźmi, podyskutować o polityce i literaturze. Poeci i pisarze wykorzystywali spotkania do czytania fragmentów swoich dzieł, poddając się krytyce słuchaczy. W kawiarniach powstawały kabaretowe kuplety, okazjonalne fraszki i limeryki, wieczorem zaś, rozbawieni artyści prezentowali widowiska, najczęściej odnoszące się do bieżącej sytuacji i miejscowych wydarzeń.

Lubię witryny kawiarniane Krakowa – kawa, rozmowa, świeca, róża w staroświeckim flakoniku, koronki na stole, trzeszczące krzesła, szarlotka, przechodnie po drugiej stronie okna, niespieszne czekanie na spektakl w teatrze czy kabaret w piwnicy. Atmosfera. Oddech. Odpoczynek.

Rzadko mam okazję oglądać spektakle prezentowane po raz pierwszy na scenie. Prapremiera światowa to wyzwanie, któremu mogą sprostać tylko odważni. Współcześnie najczęściej są to kobiety. Dodatkowo, zaproszenie w dniu ważnego meczu polskiej reprezentacji piłkarskiej, to prowokacyjne igranie z frekwencją, które bardzo mi się spodobało. Naturalna selekcja upodobań dobrze służy sztuce.

Cappuccino Je T'aime włoskiej dziennikarki Marielli Righini w adaptacji i reżyserii Katarzyny Ostrowskiej, wystawione w teatrze plockim, przeniosło mnie do paryskiej kawiarenki, gdzie snują swoje opowiadania cztery koleżanki: Lilly, Diane, Sylvana i Ilona. Historie pań nie są wyszukane. W literaturze ostatnich lat, aż roi się od podobnych fleszy i życiorysów. Najczęściej zaczyna się od jakiegoś paplaniny, narzekania na partnerów, stylizacji, która ma poprawić wizerunek lub sprowokować współczucie interlokutorów. Później pojawiają się prawdziwe dylematy, roztrząsanie przeszłości i poszukiwanie siebie, bez daty urodzenia, za to z pełną wiarą, że prawdziwe życie jest dopiero przed nami. Niby banał, bez wielkiej polityki, pieniędzy, władzy. A jednak tak jakoś bliski wielu ludziom. Jedni idą do kawiarenki, inni do konfesjonału, kolejni do przychodni. Wszyscy opowiadają o swojej samotności.

Lubię espresso. Zapach i smak kawy mobilizuje do pracy, a po południu otrzeźwia przed kolejnymi wyzwaniem. Daje iskrę. Ludzie tak mają. Kawa inaczej smakuje w domu, inaczej w kawiarni. Inna jest w samotności, lepsza w towarzystwie. Nie bez znaczenia jest coś do kawy: małe ciasteczko, a może większy deser. Dobra kawa szybko się kończy. Przygotowywana mozolnie przez baristę, z serduszkami na spienionym mleku cappuccino, z warstwami cafe latte, z gruntem w szklance i odciskiem szminek, rozpuszczona pośpiesznie w kubku, przesłodzona u Turka i mocna, bardzo mocna we włoskiej kafejce za rogiem. Róg w Rzymie, Mediolanie, Bolonii...

W zaleceniach lekarskich często pojawia się zakaz picia kawy. Niestety i ja ten zakaz stosuję. Robię to z bólem serca, chociaż bólem stenokardialnym chcę zapobiec. Bo chociaż wstrzemięźliwość jest możliwa i sam przez kilkanaście miesięcy kawy nie piłem, to tęsknota za jej aromatami jest ogromna, bo kawa jest jednym z najważniejszych antraktów.

Wiele lat temu Gazeta Wyborcza zaprosiła mnie do udziału w konkursie krasomówczym. Jeden z tekstów miał dotyczyć picia kawy. Ze sceny w Małachowiance przekonywałem publiczność, mówiąc do prezydenta miasta⁹¹ jego głosem:

91 Mirosław Milewski

Wezwalem państwa do swojego gabinetu w bardzo dyskretnej sprawie. Można wiele stracić, można wiele zyskać. Docierają do naszego urzędu liczne donosy, skargi i uwagi na temat opieszalności w załatwianiu spraw. Najczęściej petentom nie podoba się za długi czas oczekiwania w kolejkach, wydawania formularzy, zbyt rozwlekły okres podejmowania decyzji administracyjnych.

Analitycy tych anonimów, a także listów bezwstydnie podpisanych, stwierdzili powtarzający się fakt, że pośród wyzwisk, jakie ślą pod naszym adresem niegodziwcy, powtarza się stwierdzenie o nadużywaniu kawy.

Koleżanki i koledzy. Spodziewaliśmy się wielu oskarżeń, łącznie z posądzeniem o korupcję lub nepotyzm, ale nie zarzutu, że jesteśmy smakoszami kawy. Nasz przeciwnik polityczny wyjmując kawę na ławę i stoimy przed tym powszechnie znanym faktem jak bezzadne osły. Nadszedł więc czas na rozwiązywanie niebanalne. Trzeba pokazać społeczeństwu nasze zaangażowanie w nurtujące go problemy. Nie może psuć urzędniczej reputacji Arabika, Tchibo czy Jakobs Kronung. Dlatego wprowadzamy dobrowolny zakaz picia kawy w godzinach przyjęć petentów. (Lista znajduje się tuż przy wyjściu).

Ja ze swej strony obiecuję za kilka tygodni przeprowadzić ankietę satysfakcji i mam nadzieję, że potwierdzi ona skuteczność reformy.

Trzeba umyć ekspres. Przerwa na kawę skończona.



Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku
instytucja finansowana ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego

MAZOWSZE
Województwo

Iwona Kusiak
Beauty 3.0

KONKURS PIĘKNOŚCI

Odebrałem list elektroniczny z gratulacjami, że moja firma jest liderem biznesu. Na podstawie sprawozdania przesłanego do KRS stwierdzono, że mam zysk, opłaciłem podatki i wraz z kilkunastoma tysiącami innych polskich firm zasłużyłem na TYTUŁ. Specjalny dyplom i nadzwyczaj piękna statuetka są do odebrania za zaliczeniem pocztowym. Gdybym jednak potrzebował większej oprawy, sesji fotograficznej, którą wywieszę w gablotach i pokażę pacjentom, za dodatkową opłatą zorganizowana zostanie gala uroczystego wręczenia.

Siedziałem sobie przy ostatnim stoliku podczas wręczenia TYTUŁU, jaki w konkursie jednego z tygodników przyznawali Czytelnicy. Wielkie dyplomy z grawerami trafiały do kolejnych nominowanych, a potem odczytywano zwycięzcę, na sposób oscarowy, przy orkiestrowym tuszu i gromkich brawach. Osób ustawionych w szeregu do nagród najczęściej nie znałem. O firmach lub ich zasługach słyszałem po raz pierwszy albo dziwiłem się, że taka lub inna inwestycja czy inicjatywa zasługują na jakąkolwiek nagrodę. Sądziłem, że jeśli ktoś buduje domy albo ulice i dostaje za to niemałe pieniądze to premiowanie wykonania kontraktu jest nadużyciem. Tymczasem przysiadł się do mnie znany biznesmen i podczas muzycznego przerywnika pomiędzy kolejnymi zachwykami i tytułami, zreferował: *jak to się robi?* Po pierwsze wykupuje się wiele gazet. Teraz wszyscy nauczyli się, że nie z jednego kiosku, tylko trzeba biegać i kupować po kilka z każdego w całym mieście. Nieźle jest dostać zwroty. Taniej, a i tak można wyciąć kupony konkursowe. Redakcje nie sprawdzają, że jedna osoba przysłała kilkadziesiąt wydzieranek. Oni przecież liczą na sprzedaż i nie oszukują się. Można głosować na siebie. Im zamożniejsza lub bardziej ambitna firma albo miejska spółka, tym większe ma szanse na laur roku. Wprowadzenie systemu esemesów spowodowało, że przynajmniej po kioskach nie trzeba biegać, a cena *krótkiej wiadomości tekstowej* z nazwą firmy kosztuje mniej więcej tyle samo co egzemplarza papierowego z kuponem w środku. Głosowanie internetowe nie jest dla wydawcy opłacalne, więc na razie ta forma nie jest atrakcyjna.

Usłyszałem w radio komunikat o odwołaniu jednego faceta, co go mało kto lubił i z utęsknieniem czekano aż wreszcie ktoś się odważy go ruszyć. Trwało to kilka dni. Widać negocjacje były trudne, ale stało się. W tym samym momencie zadzwonił telefon i podano mi nazwisko następcy owego faceta. Ale przecież ma być konkurs, pomyślałem, żyjemy w ustawowo opisanej rzeczywistości prawnej i nie można zastąpić jednego urzędnika innym urzędnikiem bez sprawdzenia jego kompetencji. Od nowej twarzy bardzo wiele ma zależeć. Nie można, ot tak sobie zakręcić karuzelą i już – kombinowałem naiwnie i czekałem na rozwój wypadków.

Siedziałem na kanapie i wpatrywałem się w kolejne odsłony telewizyjnego show. Kandydaci przeszli test. Test pokazał najlepszych. Z najlepszych powstała lista, która została przesłana do zaopiniowania. Opinia nie jest wiążąca, ale decydent podejmie decyzję po zapoznaniu się z całą procedurą konkursową. Decydent wie, że to bardzo ważna decyzja i nie można jej podjąć pochopnie. Wielkie pieniądze, wielka odpowiedzialność...

Z kapelusza wyskoczył kandydat, którego nazwisko usłyszałem miesiąc temu w telefonie. Wiadomo było od początku, że jest najlepszy!

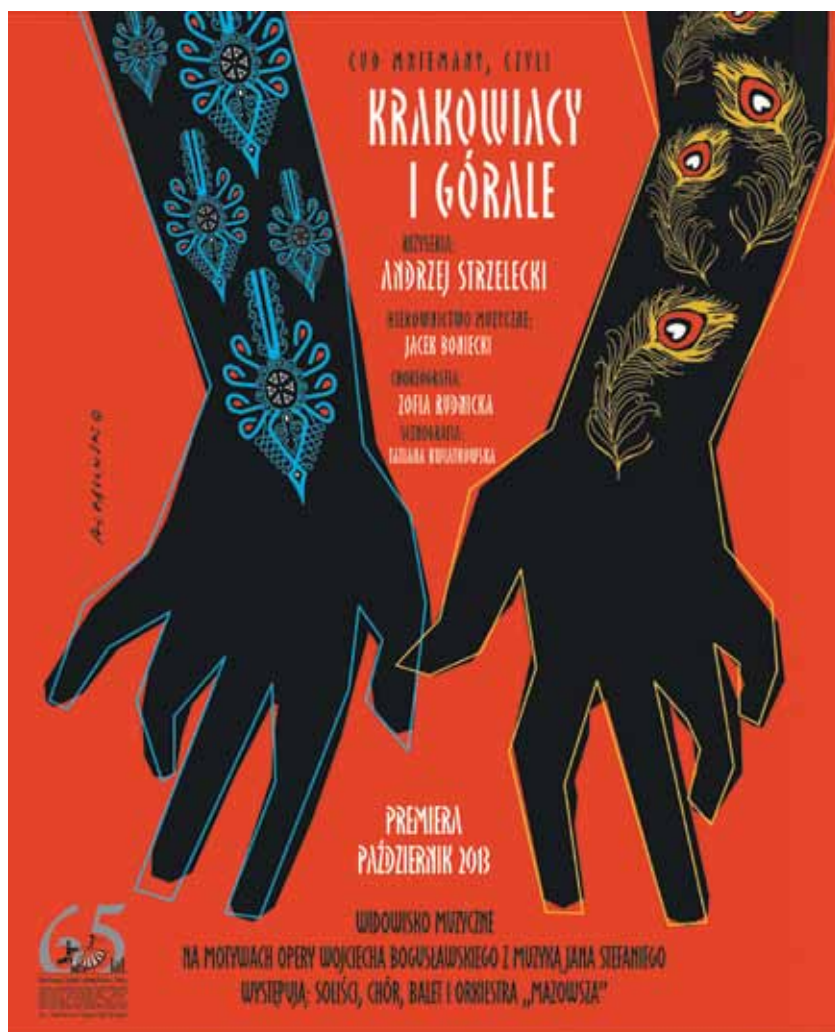
SONET IV⁹²

Zastawilem buty podarte
Z cyganerią utopię biedę
Krzyczę głodne evviva l'arte!
O, Poezjo! Bądź moim chlebem!

Odszukałem we wnętrzu chłopca
Podszytego w głowie jak bomba
Zagubiłem się na manowcach
Któż to czytał? Szkoda, bo trąba.

Za wiarę, nadzieję i godność
Zanucilem piosenkę żalobną
Jak kamień rzucony na szaniec

Wypłynęło szkło z mego oka
Zapomniane w śmierci okopach
Jam marzyciel, wariat, wygnaniec...



CUO MIEJEMY, CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

REŻYSERIA
ANDRZEJ STRZELECKI

REKONSTRUKCJO MUSEUM
JACEK BONIECKI

CHOREOGRAFKA
ZOFIA RUDNICKA

WYDOKRANTO
KATARINA WYDOKRANTO

PREMIERA
PAŹDZIERNIK 2013

WIDOWISKO MUZYCZNE

NA MOTYWACH OPERY WÓJCIECHA BOGUSŁAWSKIEGO I MUZYKA JANA SIEFANIĘGO
WYSTĘPUJĄ: SOLIŚCI, CHÓR, BALET I ORKIESTRA „MAZOWSZA”

250 LAT TEATRU PUBLICZNEGO W POLSCE 40 LAT TEATRU PŁOCKIEGO

21 LISTOPADA 2015, GODZ. 19:00, TEATR DRAMATYCZNY IM. JERZEGO SZYMAŃSKIEGO W PŁOCKU BILETY W KASACH TEATRU OD 14 LISTOPADA, CENA: 250 GROSZY

KRAKOWIACY I GÓRALE

W 1765 roku z inicjatywy króla Stanisława Augusta Poniatowskiego powołano Teatr Narodowy: stały, profesjonalny, publiczny i co najważniejsze grający w języku polskim. Jednym z najwybitniejszych twórców tego przedsięwzięcia był Wojciech Bogusławski, który napisał **Krakowiaków i Górali**, utwór uznany za pierwszą polską operę. Premiera odbyła się 1 marca 1794 roku w Warszawie.

W 1812 roku w dawnym kościele św. Trójcy w Płocku, z inicjatywy Rajmunda Rembielińskiego, powstał Teatr na Skarpie, działający nieprzerwanie do 1939 roku. Następnie rozebrany przez hitlerowców. W teatrze kilkakrotnie grał Wojciech Bogusławski. Tam też dorastała i występowała Mira Zimińska (Sygietyńska).

W 1968 roku powstało Płockie Towarzystwo Przyjaciół Teatru, które doprowadziło do odrodzenia sceny płockiej. 12 stycznia 1975 roku działalność Teatru Dramatycznego im. Jerzego Szaniawskiego (patron od 1980 roku) rozpoczęto premierą dzieła Bogusławskiego **Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale** w reżyserii pierwszego dyrektora Jana Skotnickiego.

Z inicjatywy Płockiego Towarzystwa Przyjaciół Teatru w 250. rocznicę teatru publicznego w Polsce oraz z okazji 40-lecia reaktywowania sceny płockiej odbył się pełen humoru i wzruszeń spektakl muzyczny o miłości, przyjaźni, konfliktach, ale przede wszystkim o pojednaniu i zgodzie odtworzony przez zespół Mazowsze, którego wieloletnim dyrektorem była płocczanka Mira Zimińska-Sygietyńska. **Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale**, tym razem w reżyserii Andrzeja Strzeleckiego i pod batutą Jacka Bonieckiego, wrócił do Płocka. W spektaklu wystąpili Płocczanie!

Nie odpychajcie od drzwi ubogiego.

Podzielcie się chudobą z potrzebny sąsiadem,

I życie dobrych ludzi psykładem,

A Bóg widząc Was godnych udzieli Wam dni swobodnych

ANTRAKTY

W zapraszającym folderze napisałem parafrazę tekstu Bogusławskiego:

Krakowiacy i Górale – toczą wojnę stale
Zamiast razem tańczyć, zamiast wspólnie śpiewać
Wolą debatować, dąsać się i gniewać
Mimo że ćwierć wieku wolną Polskę mają
Sami swe zasługi co dnia pomniejszają
Znajdź w sobie Górala Krakowiaku jeden
Podając do zgody rękę razy siedem
Niech nie żal Ci będzie Góralu piątaś
Za szczęście i zdrowie swego Krakowiaka
Wypijając społem herbatę bez prądu
Szacunek ogłoście każdego poglądu.
A widząc czyn ludu – Bóg dokona cudu!

Tradycją *Krakowiaków i Górali* są kuplety na końcu spektaklu, które odnoszą się do bieżących wydarzeń. Andrzej Strzelecki nie miał zastrzeżeń, ale realizatorzy z Mazowsza przestraszyli się konfrontacji z władzą. Dlatego moje dopisane kuplety zostaną tylko we wspomnieniach Konwentu prezesów izb lekarskich, który po przedstawieniu, podczas wspólnej kolacji w Hotelu Petropol, pod dyktando Beaty Herman śpiewał:

Pan Prezydent, Pan Marszałek
lubią Tumskie Wzgórze
Współpracują czasem razem
i w naszej kulturze
A więc kiedy do mazura
stanąć społem trzeba
Kłania wtedy się kultura
uchylamy nieba.

BEZDECH WOLNOŚCI

Raz na wozie raz pod wozem
województwo plockie
Obiecują, o mój Boże
całkiem niezłą młockę
Lud ambitny se poradzi
i bez wojewody
Bardziej byśmy byli radzi
z polityków zgody.

Taka będzie Polska cała
jakie rządy ludzi
Co nam władza obiecała
niech nadzieję budzi
A gdy szydło wyjdzie z wora
i zagra na dudach
To już będzie mniemam pora
pokazać nam cuda.

Niestety *Krakowiacy i Górale* toczą wojnę na stałe...

Ja, Piotr Rivière,

skorom już zaszlachtował siekierom swoją matkę,
swojego ojca, siostry swoje, brata swojego
i wszystkich sąsiadów swoich...



CAPITOL
TEATR MIASTO

09.11
2012

NAGA PRAWDA

Zadzwonił telefon. Nadawca przedstawił się skrótem brzmiącym z angielska i zapytał, czy jestem odpowiedzialny za BHP w izbie lekarskiej, co z trwogą pracodawcy potwierdziłem. Moje wyznanie dało sygnał do informacji, że nasza rozmowa jest nagrywana.

– *Dlaczego?* – wyrwało mi się i natychmiast utrwaliło na pliku mp3.

– *Dla pańskiego bezpieczeństwa* – usłyszałem.

– *Czy w takim razie jestem dla siebie niebezpieczny?*

– *Nagranie daje gwarancję, że wszystko, co zostanie powiedziane, jest prawdą* – mówił głos z oddali zanim z rozbawieniem podziękowałem i odłożyłem słuchawkę bez odebrania instrukcji o zmianie prawa i sposobie wieszania gaśnic proszkowych.

Po chwili poczułem ssące żołądek wyrzuty sumienia, że tak nagle zakończyłem ten niezwykle intelektualny dyskurs, szósty czy siódmy w tym tygodniu. Wcześniej dzwoniли w sprawie aktualnego atlasu samochodowego; telefonii, która chciała przedłużyć umowę na dwadzieścia lat bez dodatkowych opłat; sprawdzali przedstawiciele firm farmaceutycznych błakających się od gabinetu do gabinetu; sondowali na okoliczność wypisywania leków na receptę z podaniem dokładnej lub co ciekawsze, przybliżonej liczby specyfików danego producenta. Za każdym razem bezprzykładna rezygnacja z nagrania potwierdzała moją nieszczerłość, a co za tym idzie moje bezpieczeństwo, w myśl ostatniego nadawcy, mogło być zagrożone.

Wieczorem spojrzałem na nagrania telewizyjne zebrane w programie podsumowującym dzień, który właśnie mijał. Przed moimi oczami przesuwali się ludzie prawdy. Wyznawali szczerze swoje poglądy i plany. Nagranie ich uwiarygodniało, chociaż zdarzenia pokazywane z rozmachem przez telewizję i opisane w prasie, nie mają w wielu wypadkach nic wspólnego z prawdą. Nawet występujący w nich rozmówcy po obejrzeniu całości dziennikarskiego dzieła twierdzą czasem, że o czym innym mówili i co innego powiedzieli.

Na czwartym piętrze czynszowej kamienicy odbywała się alkoholowa libacja, której początku nikt już nie pamiętał, a końca niewielu zmęczonych mieszkańców się spodziewało. Tej nocy zaszła jednak niespodziewana zmiana, kiedy przed oknami sąsiadów przeleciał cień spadającego ciała młodej dziewczyny, a po kilkunastu minutach zajechała hałaśliwie karetka pogotowia ratunkowego.

Nic w tym zdarzeniu nie byłoby zapewne zaskakującego, gdyby nie media, które już nad ranem poinformowały o bandyckim ataku na spokojne lokatorki w środku wielkiego blokowiska i powtarzały pytanie: *czy możemy czuć się bezpiecznie?* Kolejne wywiady. Politycy. Socjologowie. Prokuratorzy. Policjanci. Wszyscy opowiadali o problemie, nie wiedząc, że dziewczę płocze uczyło się latać po kilkunastym ciągu wódczanym, dzielonym z przygodnymi przyjaciółmi, którzy przynosili datki w zamian otrzymując romantyczne wspomnienia.

Powiemy news. Z braku ciekawszych spraw postanowiono podjąć ważne społeczne kwestie, przy okazji jednego z wielu nieszczęśliwych wypadków. Otóż nic podobnego! Kiedy reporterzy zorientowali się, że porządna rodzina wcale nie jest taka porządna i ocalona cudem, pannica razi promilami w szpitalnej salce, postanowili pokolorować świat. Matkę nieszczęśliwie upadłej poddano kilkunastogodzinnej przemianie. Kąpiel. Manicure. Fryzjer. Kosmetyczka. Stylistka. Mieszkanie niestety nie nadawało się do pokazania w kamerze, w związku z czym opłacono pokaz innego lokalu w tym samym budynku, sąsiadki obok, która przez lata zносиła burdy cierpliwie, aż doczekała się telewizyjnej premiery wnętrz, wzbogaciwszy się ponadto o kilka złotych.

Przed blokiem ustawiono kamery. Jedna pokazywała okno. Druga tłumy ludzi, którzy zbiegli się ciekawie, zostając bohaterami programu informacyjnego. Trzecia nie odstępowała krążącego reportera, relacjonującego swoją wersję wydarzeń sprzed 18 godzin i przepytującego kolejnych gości, oskarżającego służby o nieodpowiednią ochronę dóbr zwykłych obywateli. Była więc i histeria zaniepokojonej starszej pani, że *pora umierać*. Był pan wymachujący lagą i wyrokujący: *Tych wszystkich*

bandytów trzeba powiesić albo zesłać do pracy w kamieniołomach. Przypadkiem przechodził polityk, który przygotowywał się do startu wyborczego i mógł obiecać poprawę jakości życia natychmiast, jeśli od niego zależeć będą losy każdego z nas. Były deklaracje. Lamenty. Ważne pytania. Filmik z izolatki na chirurgii. I ani jednego prawdziwego słowa.

Kiedy opublikowałem część tego tekstu w *Gazecie Lekarskiej* zatrzymała mnie pewnego dnia jedna z lekarek i dopowiedziała: *ta dziewczyna z pańskiego felietonu wyszła ze szpitala, ale kilka miesięcy później popełniła samobójstwo. Nie dała sobie sama rady. Nikt już wtedy jej nie pomógł!*

Kamery zostały wyłączone.

Tymczasem wokół jednej z przychodni krążyła Elżbieta Jaworowicz. Kazała nagrywać budynek, zbliżenia zamkniętych drzwi, napisy informacyjne. Była sobota. Nie umawiała się na rozmowę z szefami placówki. Przyjechała przygotować program. Na kilka godzin plan zdjęciowy ustawiono w domu chorego nieuleczalnie dziecka. Matka opowiadała, że nikt nie chce jej pomóc.

W telewizyjnym studio zająłem miejsce na widowni. Przysłuchiwałem się dyskusji ludzi, którzy na oczy nie widzieli historii choroby. Wszyscy deklarowali pomoc. Kolega lekarz dawał nadzieję i odsądzał od czci dotychczas sprawujących opiekę. Nigdy dziecka nie zobaczył. Obiecana przez niego pomoc skończyła się po sygnale finalnym i na początku ciągu reklamowego.

W telewizyjnym barku przy Woronicza 17 siedzieliśmy przy różnych stolikach. Koledzy z przebitek reportażu i Elżbieta Jaworowicz prostująca nogi po nienaturalnym ułożeniu podczas nagrania. Rozmawialiśmy. Było miło, ale nie zmieniło to scenariusza emisji. Prawda nie miała znaczenia. Chora zmarła kilka miesięcy później. Do końca opiekowali się nią wszyscy Ci, o których tak źle mówiono z ekranu.

Kamera i długopis potrafią udoskonalić lub zdeformować wszystko. Nie liczą się z niczym i nikim. Pozostawiają wrażenie, kształtują poglądy, radykalizują stanowiska. Walcząc o spokój i prawdę, wnoszą zamieszanie i fałsz. Zostaje zapis taśmy

i publikacja. Historycy potraktują je jako doskonałe źródła pracy nad przeszłością przyzwoitych ludzi. Pomyślą się!

Agata Duda-Gracz wyszła do foyer. Pożegnała się ze znajomymi przy drzwiach Telewizji Wrocław i podeszła niezdecydowanie do trojga nieznanych sobie lekarzy⁹³, którzy oglądali przez kilka ostatnich godzin inscenizację *Ja Piotr Riviere*⁹⁴ – dwuczęściowy, autorski, wizyjny spektakl o morderstwach bohatera, który najpierw zabił rodzinę, a potem całą wieś. Piotr Riviere i jego ofiary stają przed sądem (raczej nie ostatecznym) i opowiadają nam historię małej społeczności, w której zło i dobro mieszkają pod jednym dachem. Każdy przesłuchiwany zanim zacznie snuć swoją opowieść odzierany jest z ubrania, pokazując w zamiśle realizatorów nagą prawdę nie tylko swojej fizyczności, ale przede wszystkim wnętrza, własnego życia.

Od wielu lat, a mówię to jako lekarz, uważam że *szata zdobi człowieka*. I z wielką radością odkryłem w wywiadzie prasowym podobny pogląd Jana Englerta, dla którego jest wiadomym, że: *jak się ludzie rozbiorą, to niewielu jest zgrabnych*. Tym bardziej dziwi we współczesnym teatrze tyle brzydkiej nagości, bez retuszu. W odczuciu twórców – prawdziwej.

Ile szat porzuconych przez polskich aktorów zobaczyłem w ciągu trzydziestu lat, nie zliczę. Mój pierwszy raz zafundował mi spektakl o *Doktorze Fauście*⁹⁵. Z biegiem lat przybywało obnażonych panów i pań, a ich odwaga nie zawsze przekładała się na potrzeby inscenizacyjne. Czasem była żenująca, innym razem intrygująca. Zawsze prowokująca jałową dyskusję jak news.

Nagość sceniczna powoduje ciszę i przełykanie śliny. Milkną kaszle. Nikt nie szura nogami i nie poprawia się na fotelu. Nie otwierają się wówczas torebki i nie szeleszczą cukierki. Bywa natomiast, że ktoś ostentacyjnie wstaje i zmierza do wyjścia. Ale

93 byli ze mną: Leokadia Pielaszkiewicz-Kobyłska i Włodzimierz Nowatorski

94 Ja, Piotr Riviere, skorom już zaszlachtował siekierom swoją matkę, swojego ojca, siostry swoje, brata swojego i wszystkich sąsiadów swoich..., Teatr Capitol we Wrocławiu, Agata Duda-Gracz

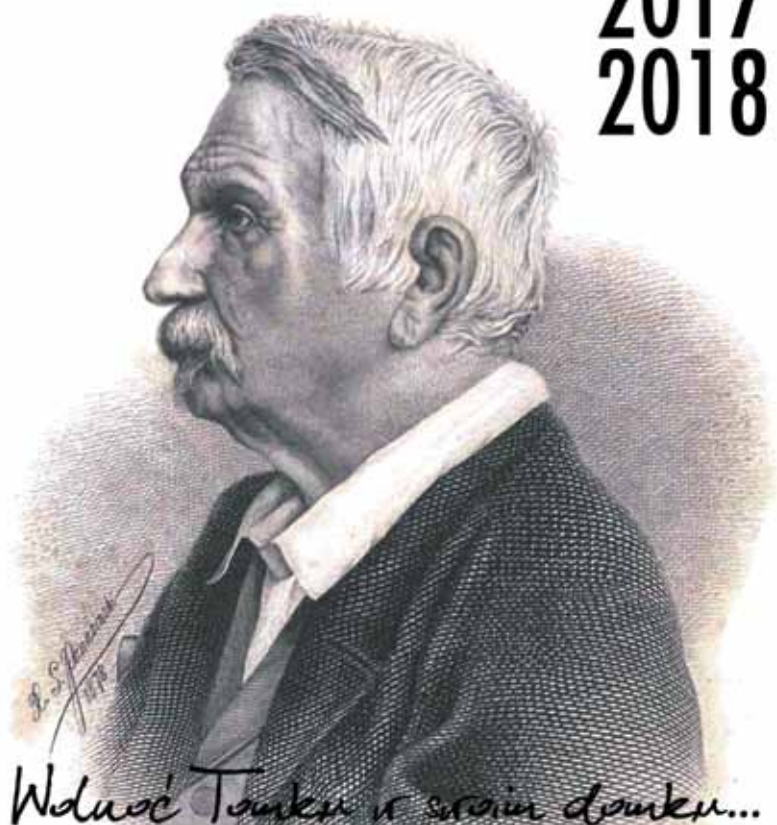
95 Teatr Witkacego w Zakopanem, Andrzej Dziuk

zawsze *po*, prawie nigdy w *trakcie*. Podobnie bywa z wulgaryzmami. Jak są, to obrażają. Jak ich nie ma, sztuka jest niewiarygodna.

Źle spałem. Śnił mi się Wielki Brat nagrywający z ukrycia każdy mój ruch. Skanowanie dni. Kopie godzin. Kalki podpisów, parafek, sygnatur, kodów paskowych, numerów, pieczętek. Przekleństwa mamrotane pod nosem i wyrzucane na cały głos w ulicznym korku. Elektroniczne zapisy zaświadczeń i instrukcji. Spisane czyny i rozmowy. Wszystko zaszyfrowane na twardym dysku zawieszonym w przestworzach kosmicznych na serwerze galaktyki BHP.

W telewizji śniadaniowej powtarzali ciąg nagrań z poprzedniego dnia. Dziennikarz z niecierpliwością oczekiwał dostawy nowych prawd i obnażenia bluźnierstw. Strony internetowe budziły się komentarzami, które podważały wczorajsze doniesienia.

2017
2018



Wdłuoć Tomka i siostrę donka...

WIECZORY FREDROWSKIE

WOLNOŚĆ TOMKU

Długo zastanawiałem się jak uczcić 50 lat Płockiego Towarzystwa Przyjaciół Teatru, którego coraz trudniejszym zadaniem jest propagowanie sztuki żywego słowa, krytyczna dyskusja, analiza realizacji scenicznych i ich porównania, ocena kunsztu kreacji aktorskich, mobilizacja twórców do stałego komunikowania się z publicznością, nie tylko poprzez łatwość farsy, ale oryginalność dramatu i zadawanie pytań podstawowych.

Długo się zastanawiałem i ryzykownie postanowiłem przypomnieć zawołanie *Wolność Tomku w swoim domku*, realizując rozpisane na wiele miesięcy *Wieczory Fredrowskie*, by sięgnąć do korzeni, patrzeć na polskie przywary, przez śmiech i doświadczenie przegranego weterana wojen napoleońskich, który wszystkiemu wbrew *uratował Polskę przed melancholią*.

Rozpoznanie wstępne Fredry postanowiłem przeprowadzić BOYEM. Pomogło mi w tym wznowienie polemik, recenzji i wspomnień lekarza, tłumacza, społecznika, pisarza i teatromana Tadeusza Boya-Żeleńskiego, który o naszym mieście zdania dobrego nie miał. Żywię jednak nadzieję, że bywalcy *Czerwonego atramentu* z tolerancją potraktowaliby dzisiaj *całokształt działalności* krakowskiego publicysty i na odczycie *o staropolskim obyczaju* pojawilibyśmy się *niezłomnie*.

W 1923 roku w warszawskim Teatrze Rozmaitości wystawiono *Zemstę*. *Niezwykłe znaki na niebie i ziemi. Bilety na premierę (...) rozchwywane na kilka dni naprzód, licytowane. Afisz... Co za afisz! Nazwisko w nazwisko, same tuzy. Najdrobniejsza rólka. A główne role to same chwały naszego teatru, z sędziwym Rapackim na czele.*

Wincenty Rapacki – urodzony w 1840 roku w Lipnie, uczył się w gimnazjum płockim i z pasją oglądał z jaskółki spektakle Teatru na Skarpie. Uwiedziony magią sceny 160 lat temu, *rzucił mundurek szkolny, rzucił rodzinę i powędrował w świat daleki, aby być sługą tej sztuki* – pisał sam o sobie. W Krakowie poznał Aleksandra Fredrę. Stał się przez kilkadziesiąt lat gry ikoną zawodu aktorskiego, a na rok przed

śmiercią dostał taką recenzję od Boya: *Idąc szykowaliśmy się na akt pietyzmu dla nestora naszej sceny; nie było mowy o niczym podobnym: furda pietyzm, zaznaliśmy rozkoszy artystycznej tak pełnej, tak mocnej, jak rzadko w teatrze zdarza się kosztować. Cóż za wielki styl tej gry! Co za pełnia życia! Ile szatańskiego dowcipu w każdym błysku oczu! To sam duch Fredry przemawiał do nas w tej postaci starca, będącej ucieleśnioną wizją przeszłości.*

Przejdźmy jednak do odczytywania samej **Zemsty**. Jedyna komedia Fredry – zdaniem Chrzanowskiego – *która kończy się Bogiem i odzwierciedla (...) duszę staropolską*. Wincenty Pol dodaje, że kiedy salonowe sztuki Fredry były obrazem powszechnego zepsucia (...), pozostanie **Zemsta** po wszystkie czasy obrazem uczciwego obyczaju, szczęścia i cnoty domowej...

Tymczasem Boy zażarcie *nicuje* wartość moralną minionego świata i przestrzega, by nie wmawiać w dzisiejszego widza, w młodzież zwłaszcza, że ciemnota i łajdactwo w kontuszu – byle podlane bigoterią – są pocziwością i cnotą, że są „królewskim blaskiem przeszłości”. *Stosunek fredrologów do Fredrowskiego świata demonstruje z całą naiwnością, ile jeszcze sarmatyzmu spod najciemniejszej gwiazdy pokutuje w naszych obiegowych kryteriach moralnych.*

Tadeusz Boy-Żeleński w **Mitach i Zgrzytach** sprzed dziewięciu dekad, w kontekście jowialszczyzny i raptusiewiczostwa pisze o naszych nagminnych *daltonizmach etycznych*, gdzie autor postępowanie swoich bohaterów uważa za wzór szlachetności, gdy w istocie jest zgoła przeciwnie (...) *A takie nieuporządkowanie stosunku do literatury musi ciążyć i na życiu.*

Dwa równie stare i szlachetne rody w Weronie, Soplicowie, na dziedzińcu z murem biegnącym pośrodku wskrzeszają zamęt przycichłej niezgody. O zamek toczy się sprawa

Ile razy powołując przykład sąsiedzkiej waśni, wszędzie tam, gdzie sami swoi, słyszeliśmy o wzniecanym na nowo konflikcie między dwoma polskimi plemionami Raptusiewiczów i Milczków? Ile razy stanęliśmy osobiście po prawej lub po lewej

stronie, nie patrząc na rację, przedkładając własny interes lub zaprzysiężoną zemstę? Ile razy w walce dwóch ogni obrywaliśmy dotkliwie nie za swoje winy czy obietnice, stając się Papkinem, popychadłem, posłem złej sprawy, źródłem doskonałej komedii?

Tacy sami, a ściana między nami zaśpiewało radio i ogarnęła mnie refleksja, że przecież w każdym niemal literackim rozdaniu od Szekspira po współczesność, pojawia się równocześnie poetycki bunt młodości i nadzieja, że mury runą, runą, runą i pogrzebią stary świat. Czy nie byłoby sposobu, ustąpiwszy ze stron obu, zapomniawszy przeszłe szkody, do sąsiedzkiej wrócić zgody? – pyta Cześnika od 185 lat Wacław i jak refren słyszy taką odpowiedź: *Wprzody w morzu wyschnie woda, nim tu u nas będzie zgoda.*

Moda na przeciwstawianie sobie ludzi, grup społecznych i idei trwa nieustannie, a porównywanie pozwala na dokonanie bardziej świadomych wyborów. W przeciwieństwie do polityki, w literaturze trzeba najpierw przeczytać, a potem gadać, mimo że i w tym wypadku zdarzają się analfabeci wygłaszający rozprawy o literach. Postawmy naprzeciw siebie pana i chama.

Pan Fredro. Czy tylko pan? Nie! Szlachcic. Ziemianin. Żołnierz. Pan Aleksander hrabia Fredro, herbu Bończa urodził się w Surochowie w 1793 roku. Mając 12 lat, recytował swoje pierwsze dzieło **Strach nastraszony**, zaś w wieku dojrzałym bez lęku uczestniczył w wyprawie napoleońskiej na Moskwę jako oficer ordynansowy. Poseł do Sejmu Stanowego w Galicji i Sejmu Krajowego. Polityk?

Cham Molier? Paryski mieszczanin Jean Baptiste Poquelin urodził się w 1622 roku. Prawnik, który zawodu nigdy nie wykonywał, w zamian włączając się z trupą teatralną i wystawiając zapomniane farsy średniowiecza i włoskie komedie dell'arte. Więziony za długi. Sławę przyniosły mu **Pocieszne wykwintnisie** przychylnie przyjęte przez Króla Słońce. Aktor z nakazem przestrzegania obyczajności. Obywatel.

*Znacie ten klucz: Molier to komedia typów, Fredro to komedia charakterów – pisał w swoich **Obrachunkach** Boy. Molier to syntetyczne ogólniki bez czasu i miejsca, Fredro to określone tło narodowe (...). Wszystko to są raczej złudzenia optyczne, wynikające*

z tego, że Fredro jest nam bliski, a Molier odległy czasem i miejscem; że tło komedyj Fredry czujemy bezpośrednio, podczas gdy tło komedyj Moliera trzeba by sobie dopiero odtwarzać z epoki i z warunków jego twórczości.

Czy Fredro to polski Molier? Nic bardziej mylnego. Towarzystwo teatralne prowokuje stereotypem powtarzanym przez przodków, aby pokazać, jak na podstawie pochopnie wyciąganych wniosków, wybiórczego dobierania cytatów i bezkrytycznego odczytywania tekstów, budujemy dumę narodową. A przecież artyzm Fredry jest niepowtarzalny i nieprzetłumaczalny na inne języki, a wizjonerstwo Moliera w krytyce hipokryzji jest wciąż cenzurowane.

Posłuchajmy pana hrabiego, który mówi do współczesnych: *Skąpiec dawniej w przenicowanej chodził sukni, trzymał ręce w kieszeni. Teraz sknera sknerą tylko w kącie; troskliwość o mniemanie przemogła miłość złota, i ubogiego hojnie obdarczy, byle by świat o tym wiedział. – Zazdrosny gryzie wargi i milczy. Tchórz mundur przywdziewa. Tyran się pieści: słowem wszystko zlewa się w kształty przyzwoitości. W każdym człowieku dwie osoby! Sceny musiałyby być zawsze podwójne jak medale, mieć dwie strony. Komedycja Moliera koniec wzięła.*

Francuską i polską scenę, mimo różnicy epok, łączy ceremonia turecka. Molierowski Jourdain, czyli *Mieszczanin Szlachcicem*⁹⁶ w pierwszym polskim tłumaczeniu został nazwany Prostakiewiczem (zwyczajnym chamem), który za cenę pochlebstw wierzy w każdą bajkę, a i turecki turban z próżności założy. Tymczasem Fredro w *Panu Jowialskim*⁹⁷ ciekawiej zawiązuje intrygę: *Przebierzemy się tak wszyscy i wmówimy w niego, że jest sultanem albo baszą w jakim nieznanym kraju (...). Przebierzemy się pierwszej, potem urzęda porozdajemy... Wszyscy razem grać będziemy i śmiać się do upadłego.*

Do mojego gabinetu lekarskiego wszedł Aleksander Fredro. Nie podał w rejestracji numeru PESEL. System ewidencji ubezpieczonych i tak zweryfikowałby go kolorem czerwonym. Nie czekał jednak w kolejce, mimo że sprawa nie była pilna. Skorzystał

⁹⁶ Teatr Współczesny w Warszawie

⁹⁷ Teatr Polonia, Krystyna Janda

z praw kombatanckich nabytych podczas wypraw napoleońskich. Przyszedł niechętnie razem z żoną, która zanim zaczęła mówić, mozolnie próbowała usiąść w swojej długiej sukni. Hrabia milczał *odpychając pyszny*, słuchając swojej Zofii: *Skazany od młodości na dwie ciężkie choroby: podagrę i hipochondrię, nie umie znosić cierpienia z cierpliwością i poddaniem się, bo nikt go nie nauczył dźwigania krzyża... Hipochondria, ta trucizna duszy, krok w krok mu towarzyszy, każdą przeciwność tłumaczy jako niezasłużoną chłostę, a żalobny kir rzuca na wszystko, co jest dobre, na życie domowe, na powodzenie i wykształcenie dzieci, na sławę literacką, na majątek wzrastający... We wszystkim widzi tylko stronę ujemną... Często – czasem niesprawiedliwie, osobliwie w cierpieniu i chorobie – unosi się gniewem, w tej samej chwili żałując tego, bo ma serce dobre, a charakter popędliwy.*

Podagra, artretyzm i dna moczanowa to nazwy jednej choroby. Z latami ból wielu stawów był coraz bardziej dotkliwy i Fredro całymi tygodniami nie mógł pisać, a nawet wstać z łóżka. Pod koniec życia zatrudniał kopistę, który przepisywał teksty ułożone przez pisarza. Hipochondria to zaburzenie nerwicowe, charakteryzujące się ciągłym lękiem o zdrowie. Zwykle mówi się o niej w kontekście depresji.

Fredro poruszył się niespokojnie na kręconym stołku i dodał: *sam sobie wyjaśnić nie mogę tej ciemnoty, która duszę mą ogarnęła. (...) Byłbym szczęśliwy, gdybym nie był Polakiem. W roku 1832 napisałem **Pana Jowialskiego**, o którym krążyły spreczne opinie, że był „miłym staruszkiem albo ponurym potworem. Uśmiechniętym idiotą albo uśmiechniętym mędrce. Polakiem, który głupio się śmiejąc, przyczynił się do klęski powstania listopadowego, i Polakiem, który smutnie się śmiejąc, klęskę powstania w istocie oplakiwał. (...) Lękam się ciągle strzały z nieznannej cięciwy, o Boże!... Jakżem biedny, że jestem szczęśliwy”.*

Zofia przerwała wspomnienia hrabiego, podając chusteczkę haftowaną rodowym herbem i kontynuując: *Ad rem panie mężu. Pojawiły się inne objawy, z tym przychodzimy: bóle głowy, bezsenność, napady kaszlu, ataki gorączki, brak apetytu, wreszcie dolegliwość zamulenia żołądka. Mowa zawsze jeszcze trochę utrudzona.*

Doktor Łatka zdjął okulary, podał plik skierowań, wyprostował się i powiedział: *Oto odlóż śmierci chwilę i weź się do kuracji, do doktorów, do kąpieli (...) Paraliż tknął twój rozum, ale ja zaczekam – mam nadzieję, że wrócisz do zdrowia.*

Hrabia wsparł się na swojej lasce zakończonej srebrną rączką w kształcie orlego dzioba. *Panie doktorze – odchrząknął – W długim moim życiu często zdarzało mi się płakać nad świeżym grobem. Ale rzadko kiedy mogłem powiedzieć: szkoda, że nie żyje! a bardzo często: dobrze, że już nie dożył.*

Mąż i żona poklonili się lekarzowi pierwszego kontaktu i wolnym krokiem poszli w kierunku dyliżansu jadącego do Lwowa. Stamtąd niedaleko do Rudek, gdzie pozostaną już na zawsze.

Zanim doktor Łatka⁹⁸ zawołał do kolejnego chorego, przekartkował pozostawioną na biurku książkę Jarosława M. Rymkiewicza ***Pan Fredro jest w złym humorze*** i półgłosem przeczytał: *Uspokojenie moje ciche, spokojne, niemal poważne; umysł więcej do smutnych dumań niż do pustej wesołkowatości skłonny, zyskał mi w rodzinie przydomek młodego staruszka. Rozdział założony był zaproszeniem na spektakl **Mąż i żona**. Ciekawe, czy ona to czytała?* – przemknęło przez głowę Łatki – *Następny proszę!*

Honoriusz Balzac we wstępie do ***Fizjologii małżeństwa*** powołuje się na słowa Napoleona wygłoszone w Radzie Stanu podczas dyskusji nad Kodeksem Cywilnym. Bonaparte mówił: *Człowiek jest niewolnikiem przyrody, a społeczeństwo ludzkie na niej jest zaszczipione. Prawa ludzkie są na usługach obyczajów, obyczaje zaś zmieniają się. Małżeństwo może zatem podlegać stopniowemu doskonaleniu, któremu podlegają wszystkie rzeczy ziemskie.*

Komedia ***Mąż i żona***⁹⁹ niespełna trzydziestoletniego Fredry wyprzedziła balzackie rozważania nad społeczną kondycją małżeństwa prawie o dekadę. Obydwa dzieła spotkały się ze skrajnie różnymi recenzjami: od oburzenia do zachwyty.

98 Dożywocie, Teatr Polski w Warszawie, Filip Bajon

99 Mąż i żona, Teatr Polski w Warszawie, Jarosław Kilian

Jedni przypisywali im sprośność, inni zrywający z hipokryzją opis rzeczywistości. Obydwa, mimo upływu lat i wielu podobnych w wymowie dzieł, które od tamtej pory powstały, są na swój sposób wciąż aktualne. O ponadczasowym zmyśle obserwacji polskiego pisarza przekonuje najnowsza premiera Teatru Polskiego w Warszawie. Reżyser Jarosław Kilian przeniósł akcję do warszawskiego salonu z dwudziestolecia międzywojennego, dialogi przeplatając doskonale wybranymi fragmentami starych melodii z tekstami Tuwima, Własta, Starskiego, Schlechtera i Friedwalda.

Pomysł na komentowanie małżeńskich perypetii piosenką nie jest nowy. Zastosował go kilkanaście lat temu Adam Hanuszkiewicz na nieistniejącej już scenie przy Puławskiej 37, łącząc *Męża i żonę*¹⁰⁰ z frywolnymi utworami *Sztuki obłapiania*. Wykorzystał wówczas przebój Gorana Bregovića. Sala razem z aktorami śpiewała: *Mój przyjacielu, byłeś mi naprawdę bliski, mój przyjacielu, wiesz, że byłeś mi jak brat, dałem ci wiarę, dałem ci spokój, dałem gitarę, dałem samochód i dach nad głową, a do sypialni wszedłeś sam.*

*Fredrę dla dorosłych – Mężów i Żon*¹⁰¹ można zobaczyć w doborowej obsadzie Teatru 6. Piętro. Wszystkie stołeczne realizacje mają wspólny mianownik, którym jest szerokie pojęcie moralności, interpretowane przez bohaterów sztuki sytuacyjnie, różne ze względu na płeć i pozycję społeczną. Boy widział tu *zuchwalstwo*, ale jednocześnie naiwnie wierzył, że miłość niweluje różnice majątkowe. *To wszystko bardzo śmiało* – pisał tak, jakby na scenie krakowskiej nie widział *Moralności pani Dulskiej* i tych wszystkich znudzonych Zbyszków, Waławów, Alfredów, kolegów od kart, kieliszka i pokątnych miłostek ze służbą. Ale medal ma przecież dwie strony i zaniedbywana żona potrafi znaleźć równoważne pocieszenie i wyzwolenie.

¹⁰⁰ Mąż i żona czyli Sztuka obłapianie, Nowy Teatr w Warszawie, Adam Hanuszkiewicz

¹⁰¹ Wcześniej spektakl wystawiany był w Teatrze Komedia w Warszawie

22 kwietnia 1939 roku spektakl *Mąż i Żona* został zaprezentowany w plockim Teatrze na Skarpie, przez zespół Cricot Józefa Jaremy z Krakowa. *Kurier Mazowiecki* oceniał wówczas sztukę jako oryginalnie ujętą: *z międzyaktami pióra Polewki i konkurującymi między sobą dwoma zakończeniami*.

Z roku na rok maleje w Polsce liczba związków małżeńskich. Jednocześnie lawinowo rosną sterty pozwów rozwodowych. Jako częste przyczyny rozpadu rodziny podawane są: niezgodność charakterów i niewierność. Skrywaną rolę odgrywa od zawsze alkoholizm. Balzac nazwałby to przesilenie *wojną domową* i zaraz potem dodał: *obyczaję są hipokryzją narodów; hipokryzja ta może być mniej lub więcej udoskonalona*. Tylko Breł zanuciłby razem z Fredrą: *Strudzeni trochę, bądź co bądź (...) na pole bitwy wyruszamy, żeby, jak co dzień, udział wziąć, w potyczce czulej dwojga serc, w serdecznej wojnie zakochanych*.

Parafrazując słowa przedwojennej recenzji, zakończenia wielu toczących się wokół nas spraw konkurują między sobą. W małżeństwie finał zależy jednak od dojrzałości mężów i żon. I daleki jest od komedii.

Andrzej Łapicki, twórca polskiej szkoły wystawiania Fredry, z oburzeniem opowiadał o realizacji *Ślubów panińskich* w Rozmaitościach. Nie zgadzałem się z opinią świętej pamięci Mistrza. Prawdopodobnie ten wybitny aktor i reżyser nie oglądał prowincjonalnych chałtur i aktorskich wprawek na lekturach pisanych przez hrabiego. Gdyby obiektywnie porównał wibracje pomiędzy publicznością i aktorami *Magnetyzmu serca*¹⁰² z Marszałkowskiej i własnej inscenizacji z Częstochowy¹⁰³, nie stanąłby w tak ostrej kontrze do nowoczesnego spojrzenia na dzieło Fredry.

*Śluby panińskie*¹⁰⁴ to sztuka dla dorosłych, najlepiej na polskich scenach zaprezentowana przez Englerta. Sielski, dworkowy wstęp do niebezpiecznych gier kochanków, igranie z uczuciami, które wystawiane na próby, znajdują właściwe i niby szczęśliwe zakończenie. Hrabia Aleksander to jednak człowiek przewrotny, a jego magnetyzm

¹⁰² Magnetyzm serca, Teatr Rozmaitości, Grzegorz Jarzyna

¹⁰³ Śluby panińskie, Teatr Miejski w Częstochowie, Andrzej Łapicki

¹⁰⁴ Śluby panińskie, Teatr Narodowy w Warszawie, Jan Englert; Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku, Tomasz Grochoczyński

z feministyczną Klarą i Don Juanem Guciem jest zaledwie prologiem do perwersji odgrywanej w *Mężu i Żonie*¹⁰⁵, ilustrujących jak i czy żyli długo i szczęśliwie.

Teatr w Gnieźnie powstał z inicjatywy społecznej w 1946 roku. To jedyna w Polsce scena dramatyczna nosząca imię Fredry. Przez 45 lat był to zespół objazdowy. W listopadzie minionego roku prowadziłem tam *III Festiwal chórów lekarskich*. Wypełniona po brzegi publicznością z dziesięciu izb lekarskich, kameralna widownia z balkonem, stała się naturalnym miejscem opowiadania o teatralnym patronie piastowskiej stolicy i jego dziełach. W mojej pamięci pozostanie *chóralna* recytacja wierszy z *Pana Jowialskiego* – *Paweł i Gawel* i *Bajeczka o osiołku* – doskonale znanych gościom. Poetyckie łączniki wprawiały w dobry nastrój między występami. Pokusiliśmy się nawet o łoskot muzyczny wyśpiewując kuplety Papkina z *Zemsty*, a capella.

Studenci warszawskiej Akademii Teatralnej świadectwo swoich mozolnych lektur Fredry nazwali *Świeczka (nie) zgasa!*, parafrazując tytuł *jednej sceny* napisanej około 1860 roku. Oto dwoje młodych ludzi, rozgniewanych z powodu wypadku dyliżansu, którym podróżowali, spędza noc w opuszczonej, leśnej chacie na odludziu. Oczekiwanie na pomoc wypełniają kłótnią przy gasnącej świecy. Nie trudno wymyślić zakończenie. Wybiegający do ratunkowego pojazdu Jadwiga i Władysław wołają: *Inną zapalimy, co świecić będzie nad miłością naszą, a ta... nigdy nie zgaśnie*.

Panie Fredro! Hrabio miły! W rocznicę debiutu komedii *Intryga naprędce, czyli nie ma złego bez dobrego*, chciałem *podbić bębenka* i odkryć, że *Świeczka (nie) zgasła*. Chociaż *kapie po głowie*, wciąż mam nadzieję, że *będzie zgoda* i mądrym wolnością Tomkowi, *Bóg rękę poda...*

¹⁰⁵ Teatr Telewizji, Jan Englert, spektakl obsypany nagrodami festiwalu „Dwa teatry” w Sopocie



TEATR NARODOWY

ZALOŻONY W BOKU 1765

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

WESELE

WESELE

Spodobała mi się czapka z piór. Leżała na mojej drodze do przyszłości i wielkimi, pawimi oczkami mrugała, żebym zapomniał o wszystkim, co ważne, ponadczasowe i twórcze. Kiedy tak lepiła mi się do rąk zdobna, ze wstążkami jak tęcza, wtedy prawdopodobnie, przy figurze ześlizgnął mi się ze sznurka na szyi róg. Szczerozłoty i piękny, z zaklętą melodią narodowej pobudki. Ale taki dumny byłem z tej chłopskiej korony na głowie, która spadła mi tak niespodziewanie, że zapomniałem o pospolitym ruszeniu i o bożym świecie. I teraz, kiedy na was patrzę, jak w letargu siedzicie przy stołach i stoicie pod ścianami, bezgłośni, zatrzymani w ruchu i półsłowie, przypominałem sobie o moim posłannictwie, które zostało zaprzepaszczone.

W rytm chochołów tańca, posuwiście, bezwiednie, z woskowymi maskami twarzy, ze sztucznie doklejonymi uśmiechami, z bajecznie kolorową tradycją i sloganami, które zamiast uwierać, unoszą jak orła skrzydła pośród tłuszczy pochlebców i codziennej hipokryzji, zatrzęsnięci w skorupie nawyków, stereotypów, prostackiej zawiści i wyścigu szczurów, ogarnięci marazmem i miazmatem, ośpieni i ogłuszeni wiadomościami z *dalekich Chin*, posłuchajmy o spotkaniu sprzed wieka w Bronowicach pod Krakowem.

Miałem złoty róg, miałem czapkę z piór. Zawołał mnie Gospodarz.

Tajemnica!

Chłopy z kosą!

Niech przed światem staną.

Bacuj u rozstajnych dróg;

Wróć nim trzeci pieje kur;

wtedy zadmij tego w róg,

to się taki wzmoże Duch,

jaki nie był od lat stu.

ANTRAKTY

Poleciałem. Wołałem. Dzwoniłem w okna. Zabawa w chacie rozkręcała się na dobre. Tańce, śmiechy, pijackie zwidy, duchy. I nagle, gdy już świtało, gdy nadchodził najważniejszy moment, wszystkich zmorzył sen, nie-sen, zapatrzenie, zasłuchanie. I nikt mnie nie słyszy i nikt mnie nie widzi. I nikt mnie nie poznaje. *Stoją wszyscy jak pośnięci.*

Krzyczę do was. Obudźcie się! *Chyćcie broni, chyćcie koni!* Ważny jest każdy gest, ukłon, pociecha z dzieci, praca u podstaw, wspólne działanie, tolerancja dla innych narodów i wyznań. Kultura! Nie czekajcie na jakiś wzniosły dźwięk, złudną nutę. Nie czekajcie na znak, błysk, grzmot, anomalie i kataklizmy. *Pieje kur, ha, pieje kur...*



OTCHŁAŃ BEZKRESU



TEATR IM. JERZEGO SZANIAWSKIEGO W PŁOCKU

dyrektor: HANNA WODZOWIECKA



OSTATNIA TASMA

SAMUEL
BECKETT

OSTATNIA TAŚMA

Powiedzieć, że przeczytałem kolejną książkę Jerzego Pilcha *Zuza albo czas oddalenia*, to tak jakby nic nie powiedzieć.

Jednym z najczęściej powtarzanych zdań w gabinecie lekarskim jest stwierdzenie, że starość nie udała się Panu Bogu. Czy tak uważają też młodzi? Oni także mają krytyczną ocenę jakości swojego życia. Dotykają oczywiście innych elementów. Zdrowie nie jest dla nich najważniejsze. Mają go najczęściej pod dostatkiem i trwonią z godną podziwu nonszalancją.

Człowiek pracuje, aby dotrzeć do emerytury, z którą wiąże dalekosiężne plany. Niektórzy planują swoją starość tak jakby w ostatnim dniu pracy właśnie dostali akt urodzenia, szykowali się do chrztu i rozpoczynali nową drogę życia. Ten plan zawiera wszystkie niezrealizowane marzenia, nieprzeczytane książki, niedopowiedziane rozmowy, nieprzespane noce. Co tu kryć – zawiera nadzieję na radość z wolności od zawodowych obowiązków i rzucenie jarzma odpowiedzialności. Im bliżej tego szczęścia, tym bardziej mgławicowa wydaje się przyszłość. Świadomość niespełnienia rośnie w miarę upływających lat. Można się oczywiście oszukiwać, ale najlepiej narzekać. Ostatnie przyczółki po kolei się poddają. Następuje gwałtowna korekta.

Szpula numer trzy, jeśli dobrze pamiętam, szpula numer trzy Krappa, zawiera taśmę z głosem młodości. Odtworzenie zapisu nie jest psychologicznie łatwe, zaburza stereotyp myślenia i działania. Pokazuje, że był czas polowania i jest czas oddalania.

Jacek Mąka w plockim Teatrze Dramatycznym doskonale zagrał Krappa. Odstęczał fizycznie. Powtarzał w koło te same czynności, zatrzymywał zegarki, a co za tym idzie wzbudzał wśród widowni ogromy niepokój. W pełni oddał celność obserwacji Becketta, które można przetworzyć byłoby w groteskę albo z bólem przyjąć prawdę o zbieraniu wspomnień, odsłuchiwaniu przeszłości i pustce na zawsze.

Najsłynniejszych wykonań *Ostatniej taśmy Krappa* nie widziałem. Nie dane mi było spojrzeć na Łomnickiego czy Zapasiewicza. Zdaję sobie jednak sprawę, jak wielki trud podejmowali i jaką musieli dysponować odwagą, by wystawić się na widok publiczny. Wiem to po reakcji widowni ludzi starszych, jeśli nie wręcz starych. Z tym samym zjawiskiem po raz drugi spotkałem się podczas koncertu *Śmiercie* Magdy Kumorek do słów Bolesława Leśmiana. Oburzenie. Wyśmianie. Wyjście. Niesmak. Wyparcie.

Opowiadanie starości, bólu i choroby szuka adresatów po omacku. Artystyczny pokaz i jego przerysowania są tylko pozorem. Gdyby były igraszką, nie wzbudzały takich emocji, nie zasłużyłyby na odrzucenie własnej sytuacji i odległej daty urodzin. Chcemy być dalej Zuzanną. Nikt nie przyzna się do tego, że jest starcem, podglądaczem z coraz mniejszym arsenałem możliwości. Nikt się nie przyzna, nawet Jerzy Pilch, który wyraźnie to podkreślając pokazuje, że prawda musi pozostać w niedopowiedzeniach oburzenia, wyśmiania, wyjścia i niesmaku. Można ją znaleźć w bucie, w szpuli, w teatrze, ale nie w swoim pokoju przystosowanym do niepełnosprawności. W głowie się nie mieści, żeby można było ją znaleźć tam właśnie. Lepiej szukać w burdelu, knajpie, w telefonie, w niemocy oczekiwania, że cud się może zdarzyć. Paradoksalnie najbardziej życiodajna staje się świadomość samobójstwa. Jeszcze trzymam Cię w rozdygotanych dłoniach, moja Zuzo, moja najukochańsza i nieobecna, najbliższa i najdalsza ma...

Życzymy sobie sędziwej starości. Z uznaniem patrzymy na świeczki zdmuchiwane w sekundowych relacjach telewizyjnych przez stulatków. Młodość podlicza starość w Księgach Rekordów Gunesa, w statystykach długowieczności, w pochwalę medycyny. Młodość nie przyznaje się, że dąży do starości, nie zauważa upływających lat i przesuwu cezury, od kiedy stanie się seniorem, tak samo jak przesuwiała granicę wejścia w wiek dojrzały.

Krapp przypomina sobie spotkanie na łódce. Pilch po raz kolejny opisuje demony, kobiety, książki. Oczy obydwu patrzą w dal, a szpule na magnetofonie kręcą się nieubłagane, mimo że już dawno zapis na taśmie się skończył.

Owacji teatralnej tym razem nie było.

LAMENT CHOREGO

Panie!

Kroplówek i drenów!

Panie!

Elektrod, basenów!

Panie!

Z oddechu testem!

Jeszcze jestem

Jestem

Panie!

Bólu i cierpienia!

Panie!

Mego przeznaczenia!

Panie!

Pocieszaj gestem!

Póki jestem!

Jestem!

Panie!

Zawrotów i szumów!

Panie!

W oblędzie rozumu!

Panie!

Myśli szelestem!

Nadal jestem!

Jestem!

16 LISTOPAD **2014**
NIEDZIELA
GODZINA 17:00



ZADUSZKI LEKARSKIE 2014
RATUJMY PŁOCKIE POWĄZKI
15 LAT AKCJI - WYKŁAD DOROTY ZAREMBY

WYPOMINKI LEKARSKIE W KAPLICY MIŁOSIERDZIA O 15:30

WIECZNY DYŻUR

Pani doktor miała zawsze pod gabinetem tłum pacjentów. Wraciała z pracy na oddziale i rozpoczynała przyjęcia, wizyty domowe. Zawsze w pogotowiu, niezależnie od pory roku czy doby. Takie były czasy. Inne wyzwania, dylematy, priorytety. Emeryturę spędziła samotnie, na uboczu, schorowana, bez najbliższych, których wcześniej pochowała, pożegnała, opłakała. Na drzwiach tabliczkę prywatnej praktyki zamieniono na wizytówkę z imieniem i nazwiskiem, a pewnego jesiennego dnia na skromny nekrolog, odręcznie wypisany przez właściciela zakładu pogrzebowego z sąsiedniej ulicy. Standardowy.

Na pogrzeb przyszło kilka starszych pań w czerni i jeden pan z laseczką. Ksiądz pomodlił się za duszę, a w pożegnaniu wyraził nadzieję na wspólne spotkanie w wieczności. W jednym zdaniu, obok imienia i nazwiska wypisanego na małej karteczce przez opiekę społeczną, dodał słowo *lekarz*, ale nikt nie zapytał: *jaki?*, *skąd?*, *gdzie?*, *jak długo?* A przecież jeszcze kilkanaście lat temu, kiedy ktokolwiek w miasteczku wymówił zdanie, że trzeba posłać po lekarza, wszyscy wiedzieli, do jakich drzwi należy zapukać, bo zawsze stały otworem, służyły poradą, lekarstwem, czasem bolesną prawdą, uściśnięciem dłoni lub bezradnością wobec choroby i śmierci.

W niewielkim mieszkaniu, złożonym z kuchni, małej sypialni, jadalni, schludnej łazienki, gabinetu i przedpokoju, który przez kilkadziesiąt lat był poczekalnią nadziei, znaleziono kilka starych sprzętów, biurko wypełnione pożółkłymi kartkami, małą biblioteczkę z książkami opisującymi symptomy, ryciny wysypek skórnych i narośli. Na ścianie wisiał krzyż i zakurzony od nieużywania fartuch na wieszaku, z którego kieszeni wystawała lira starych słuchawek połączona sparcałymi rurkami z lejkiem do osłuchiwania serc.

Panią doktor pochowano w ziemnym grobie z niewielką tabliczką, na której już po raz ostatni napisano imię i nazwisko z niezgrabnym, pospiesznym dopiskiem *lekarz*. Obok klepsydry pan z laseczką położył chryzantemę, a starsza pani zapaliła maluteńki

znicz, najmniejszy z asortymentu *ku pamięci*, proponowanego pod cmentarzem komunalnym. *Anielski pochód* zagłuszył deszcz i wiatr. A życie potoczyło się dalej i dalej...

Szanowna Pani Doktor, której imię i nazwisko zatarł czas, piszę do Pani podziękowanie za trud ratowania ludzkiego zdrowia i życia, za gotowość pomagania, godność zawodu, skromność i takt. Odeszłaś na wieczny dyżur, a my w łańcuchu pokoleń nieudolnie spełniamy Twój niemy testament...

Marcin Ehrlich podał Tadeuszowi Łuszczyńskiemu swoją książkę o białaczce wydaną w roku 1862, znając wieloletnią pasję doktora, podglądającego okiem mikroskopu nadmiernie rozmnażające się krwinki. Do sali kolumnowej płockiej izby lekarskiej przy ulicy Kościuszki 8, wszedł właśnie Tadeusz Garlej, kulejąc nieco z powodu rany odniesionej w pierwszych dniach kampanii wrześniowej. Zgodnie z obietnicą, przyniósł zakurzony egzemplarz swojej pracy *Jak płocką Petrochemię zmienić w oazę zdrowia?* Odświętnie nakryty stół, kolejnymi potrawami zastawia w milczeniu Stefania Kamińska, w czym pomaga jej mąż Kazimierz. Tymczasem Hanka Hejke-Mojzesowicz ustawiła przy rozświetlonej choince dwa legendarne krzesła, które swego czasu przyniosła z domu: jedno dla lekarza, drugie dla lekarza dentystry. Zbigniew Jędrzejewski po raz pierwszy będzie mógł usiąść na jednym z nich. Z przedpokoju słychać głosy schodzących się gości, których przy drzwiach wita, jak zawsze niezmordowany Aleksander Maciesza, burmistrz Płocka sprzed 110 laty. Pomaga mu lekarska młodzież: Marek Świtalski i Janusz Szaroszyk. Raz za razem dzwięczy domofon. Do sali wchodzi kolejno i siadają na oznaczonych miejscach, jak na starej fotografii przechowywanej pieczołowicie w Towarzystwie Naukowym Płockim: Bronisław Mazowiecki, Wacław Piasecki, Ludwik Ossowski, Ignacy Feinberg, Jakub Winogron, Czesław Kawecki, Chaskiel Bresler, Antoni Surzec, Czesław Wojciechowski, Hersz Kadysz, Witold Majda i Adam Beczkowicz. Ekumenicznie, zgodnie z przysięgą, że dobro chorego jest najwyższym nakazem. Na krętych schodach prowadzących do sali

Rady tłoczą się już pozostali: Władysław Ostrowski z *Listami ze Starego Rynku*, Aleksander Zaleski z plikiem kartonów architektury Szpitala św. Trójcy, Zygmunt Perkhahl zaczytany w relację z konferencji o *Natręctwach codzienności*, którą porównuje w myślach ze swoim projektem *poprawienia opieki nad obłąkanymi*. Towarzyszą im Mieczysław Themerson, Józef Kunig, Witold Piasecki, Tadeusz Kalaszczyński, Marek Osiecki i wiele, wiele innych odświętnie ubranych postaci plockiej medycyny sprzed lat. Wszyscy z hałasem zajmują wolne miejsca. Z okazji 145-lecia Płockiego Towarzystwa Lekarskiego, przybyła też nadzwyczajna delegacja z Jędrzejem Śniadeckim z Wilna, Ludwikiem Rydygierem ze Lwowa, Władysławem Biegańskim z Częstochowy i Aleksandrem Kremerem z Krakowa, których po rodzinnym mieście oprowadzali Bolesław Górnicki, Marcin Kacprzak i Edward Flatau. Ostatnie miejsce zajęła Pani Doktor, której imię i nazwisko zatarł czas.

Aleksander Maciesza zapatrzył się na rozświetloną katedrę za oknem. Czując napływające do oczu łzy, odwrócił się do zgromadzonych i tubalnym głosem zaintonował: *Bracia, patrzcie jeno, jak niebo goreje!* Odpowiedział mu chór lekarski, może nawet anielski, którego głosy nadziei odbijały się echem w każdym plockim domu, w przychodniach, szpitalnych oddziałach, karetkach i prywatnych gabinetach. Nagle kołęda ucichła. Pod 28, na sali porodowej, rozległ się pierwszy krzyk nowonarodzonego dziecka. *Zdrowia* – krzyknęli wszyscy życzenie i jakby kończąc przerwana melodię, zawołali znikając w smogowej mgłę: *...a my do Betlejem! Do Betlejem.*



Alfonsi

Giacomo Puccini
Madame Butterfly
Teatr Wielki - Opera Narodowa
Warszawa

PANI PINKERTON

Miłość demoluje poczucie czasu.

Realizacja *Madame Butterfly* w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie opisywana była jako nowatorska. Moja wycieczka po kilkunastu latach od premiery inscenizacji Mariusza Trelińskiego tej świeżości z folderu już niestety nie zobaczyła. Mimo to pięknie grano i śpiewano, ciekawe były rozwiązania scenograficzne Borysa Kudlički i niezmienna opowieść, którą tak lubię. Historia choroby miłosnej.

Kiedy zaczyna się miłość to doprawdy trudno zgadnąć. A jeśli już jest, jaką cenę potrafimy zapłacić za wierność złożonej przysiędze, za oddanie wszystkiego bez podtekstów i koniunkturalnej kalkulacji, bez liczenia się ze skutkami ubocznymi.

Na scenie malują nam dwa światy, dwie kultury. Inne prawa i zwyczaje, stroje, posiłki, domy. I dwoje ludzi. Kontrakt – zabawa z nudów, dla miłych wspomnień i klubowych przechwałek. A naprzeciw – spuszczone oczy, ukłon szacunku, odwaga w podejmowaniu decyzji trudnych i szukanie zmiany dotychczasowej rzeczywistości.

Wszystko dzieje się najpierw wolno, bo jeszcze do niczego nie doszło. A potem czas przyspiesza. Noce są takie krótkie. Każdy kolejny łyk miłosnego napoju wznaga pragnienie. Ale przecież życie toczy się dalej. Jest początek, jest koniec. Czasem to tylko przerwa.

Bez miłości o miłości zapomina się łatwo. Nie ma czego pamiętać. Zajęcia codzienności pochłaniają bardziej. Etykieta nakazuje rytm i wymusza zachowanie. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Butterfly karmi się nadzieją. Trud każdego dnia po przeplakanej nocy, po niekończącym się spojrzeniu w sufit i przewijaniu wciąż tej samej taśmy. Na filmie nic się nie zmienia. Zostaje smak wilgotnego pocałunku, drżenie od muśnięć opuszków palców, ten sam pot i jęk, masowanie małych stóp. Chwilo trwaj. Trwaj wciąż od nowa. Replay!

Czas zaczyna się dłużyć. Wspomnienie i nadzieja stają się koszmarem i wysyłaniem telepatycznych myśli, sygnału SOS, czasem myłonego z kolejnymi rozpaczliwymi zapisami esemesów. Zakochani są głusi i ślepi, nie widzą nowych dróg i nie słyszą dobrych rad. Niszczą wszystko wokół. W odstawkę idzie tradycja, rodzina, przyjaźnie... Zaczyna się szaleństwo.

Najlepszym rozwiązaniem nieodwzajemnionej choroby miłosnej jest śmierć. Madame Butterfly wybiera tę drogę, a potem w nagrodę długo kłania się za popisowe arie, za rozpacz, którą wydziera z gardła i serca, prosząc Pinkertona, by chociaż trochę ją pokochał. Chociaż trochę! Jej to wystarczy. Czasem trochę to jednak zbyt wiele, gdy życie wdepnęło w nowy trakt z panią w kapeluszu i chusteczką przy kąciku oka.

ile spraw rozwiązuje szept?

kiedy trzeba wstać

i z nadzieją iść

kiedy nowy puls

oraz świeży wdech

i nie boli nic

bo już tylko Ty

ile spraw rozwiązuje śmierć?

gdy nie trzeba wstać

gdy nie trzeba iść

kiedy żaden puls

ani żaden wdech

i nie boli nic

bo już tylko nic

kobieta z zapalkami

TEATR NARODOWY

DZIURA W PODŁODZE

Rezerwując bilety na spektakl z Magdaleną Cielecką gościnnie występującą na deskach studyjnej sceny Teatru Narodowego, pomyliłem tytuł. Wydawało się naturalne powiedzieć *Dziewczynka z zapalkami* zamiast właściwej ***Kobiety z zapalkami***. Skojarzenia z baśnią Andersena wydawało się oczywiste.

Realizacja Mai Kleczewskiej wymagałaby odrębnych studiów i interpretacji, na które mam coraz rzadziej ochotę. Wizje reżyserskie nie zawsze przemawiają, chociaż są ciekawą pożywką dla krytyki. Bardziej zaintrygowała mnie scenografia. Bajzel dużego pokoju, przez który przebiegała głęboka bruzda, wyrwa, zapadlina. Nie wiem, co grali. W moim odczuciu nic ważnego, chociaż roztrzaskiwano refrenicznie butelkę na głowie aktora. W świadomości pozostała jedynie rysa, pęknięcie fundamentu, które w miarę upływu zdarzeń i lat, może się już tylko pogłębiać, rozrastać, wciągać w otchłań samotności, cierpienia i niezrozumienia.

Toczyłem w myślach osobne przedstawienie.

Dwudziestosiedmioletnia kobieta odsłania zasinione ramiona. Znowu ją bił. Chro- niła dziecko, żeby nie wszedł pijany do pokoju i nie wytrząsał się nad dziewczynką. Wysłuchiwała kolejnej wiązanki obelg i skacowanych przeprosin nad ranem: *Kocham Cię*. Obdukcja. Błękitna linia. Policja. A ona płacze! *Ale ja bez niego nie będę miała z czego żyć!*

Pamiętam, jak na kręconym taborecie siedział czterdziestokilkuletni mężczyzna, nierówno ogolony, z ubytkami zębów, w czystym, ale zniszczonym ubraniu. Miesiąc temu wyszedł na wolność, z mocnym postanowieniem poprawy, z planem powrotu do normalności i przywrócenia szacunku do siebie i całej rodziny. Radość była wielka, chociaż z takiej podróży nie przywozi się prezentów. Świąteczny obiad. Wspomnie- nia. Żadnego alkoholu. Dzieci i żona. Teraz oni mieli być najważniejsi. Życie jednak toczy się dalej. Nikt nie chce przyjąć do pracy byłego więźnia. Nie ma zaufania do złodzieja rowerów i słoików z kompotami. W myślach powracają nagłówki prasowe:

Szajka okradająca piwnice i garaże za kratami!. Codzienne: Proszę znaleźć sobie inne zajęcie. Tylko jakie? Jego żona, wcześniej znana prostytutka, przychodziła wiele razy, podejmując próby wydobycia zaświadczeń pozwalających mężowi wyjść na krótką przepustkę z więzienia. Bo – jak mówiła – dzieci potrzebują ojca. Wreszcie wypuścili go. Zaczął pomagać w domu, a jednocześnie wszystkim przeszkadzać. Przyzwyczaili się do wolności bez męża i ojca, który nagle czegoś wymaga. Rytm dnia wyuczony w celi nie pasował do małego mieszkania, w którym każdy chodził jak chciał. Dzieciaki nie uczą się dobrze, a najstarszy wagaruje, średnia ugania się za chłopakami. Żul! Wrócił i się panoszy, Mamooo! Tata znowu nie pozwala mi wyjść. Niech on już lepiej wraca tam skąd przyszedł! Zbiera złom. Ganiają za nim urwisy osiedlowe i śmieją się za plecami. Już kilka razy nadarzyła się okazja, żeby coś buchnąć. Twardy jest – nie może złamać danego słowa, mimo że wymagania domowników są coraz większe. Oni też chcą, jak inni, mieć wszystko! A świat wariuje w mgnieniu oka dwa razy. Raz za razem. Najpierw umiera żona: krzykliwość zamienia się w ciszę. Choroba nowotworowa zabiera swoje żniwo szybko. Trzeba było jeszcze mocniej stanąć na nogi. Zaczął pracować. Mijały lata i nagle odmłodził i zakochał się pewnej wiosny, a potem zawisł na jednej z klatek schodowych z rozpaczy niespełnienia...

Dzisiaj nie kaszlę panie doktorze, ale przyszłam tak na wszelki wypadek – wyznaje osiemdziesięciolatka. Nauczycielka z powołania, która przynajmniej raz w tygodniu zagląda do przychodni po powtórkę kolejnej porcji leków. Na wszystkie razem mnie nie stać. Muszę kupować na raty. Idę właśnie z kościoła, ciągnęło od podłogi. A wczoraj byłam na pogrzebie. Świat się kończy. Młodzi umierają, a tacy jak ja ciągle żyją i przeszkadzają. Przeżyłam własne dzieci. Pan Bóg nie ma nade mną litości.

Za parawanem jednej z klinik położniczych, leżała siedemnastoletnia dziewczyna, drobniutka blondynka z podkulonymi nieco nogami. Płakała. Grudniowa noc syłała śniegiem. Na korytarzach co chwilę słychać było nieprzyjemny stukot trepów przebiegających między jedną a drugą myślą, nie pozwalając na skupienie, sen, odprężenie. Światło niewielkiej lampki, wyolbrzymiało sprzęty malując ich cienie na białych

ścianach. Zabolało. Skurcz po raz kolejny przypomniał o przyczynie, która od kilku tygodni była w niej, a za godzinę, może dwie, stanie się jedynie mglistym wspomnieniem bólu. I wstydu.

Kręte, drewniane schody prowadziły na poddasze. Na klatce schodowej, w rozbitych oknach wiał wiatr, poruszając grubo splątane pajęczyny wypełnione po brzegi nieostrożnymi w swoich wędrówkach owadami. Na kolejnych półpiętrach stali pojedynczo lub po dwoje mieszkańcy starej kamienicy, okutani w najprzeróżniejsze stroje domowe, stare, znoszone i brudne. Na podłodze wielkiego pomieszczenia, przerobionego na pokój z niewielkimi wykuszami w spadzistym dachu, walały się niezliczone butelki po wódce i piwie. Na zdezelowanym stole stały puszki przerobione na popielniczki, kilka talerzy z resztkami zastygniętego jedzenia. W powietrzu unosił się słodkawy swąd, podobny do prosektoryjnego, zmieszany z dużą ilością kurzu. Obok rozłożonej wersalki, zasłanej bez poszewek, wygniecioną poduszką i skłębioną kołdrą, leżał na brzuchu mężczyzna, z głową w dół, wtuloną między zaspany popiołem dywan a dostawioną pufę. Kierowca karetki zaparkowanej przed budynkiem wyłączył sygnały.

Siedmioletni Janek zamknął komputer. Wystarczy. Dzisiaj, w dniu hucznych urodzin, udało się w najnowszej grze przekroczyć pierwszy krąg i nie stracić życia, czego skutkiem byłby powrót do rozgrywki z wyuczonymi już ruchami joysticka. Gra okazała się trudna. Miała wiele zaskakujących momentów, co mogło spowodować niespodziewaną śmierć. Producent wiedział jednak, że należy dać więcej niż jedną szansę, zwłaszcza młodemu adeptom sztuki. Wyższe poziomy nie miały już jednak ulgowej taryfy.

– *Ja go zabiję* – krzyczała leżąc na łóżku porodowym i wypierając swoje dwunaste dziecko. Maleństwo po pierwszym hauście zapłakało. Umazane w płodowej mazi trafiło na brzuch przeklinającej matki – *Nie chcę cię ty mały brzydal. Zabierzcie go ode mnie i oddajcie gdziekolwiek. Niech zdycha, razem z tym swoim zapijaczonym ojcem. Wynocha!*

Zamykają się drzwi. Otwierają się drzwi. Kaszel. Ból brzucha i wymioty. Dusznosc. Wysypka. Korzonki. Wyciek z ucha. Ukąszenie. Złamanie. Bezsenność. Pękająca głowa. Wary. Skok ciśnienia. Żona go nie rozumie. Kołatanie serca i więcej chorób już nie pamiętam!

– Ale czy będzie, panie doktorze, refundacja? Bo my wydajemy ponad trzysta złotych miesięcznie na leki. A wie pan, jak to jest? Zięc na bezrobociu. Młodszy syn zaczął drugi fakultet. Starsza wnuczka wychodzi za mąż, bo rzekomo jest w ciąży. A mnie nogi bolą i spać nie mogę. Czuję jakby podłoga się pode mną zapadała.

DZIEWCZYNA Z ZAPĄLKAMI¹⁰⁶

ogrzałem rękę
zgrabiałą od zimna
przypadek
lekko
dotknąłem twojej dłoni

ogrzałem usta
spierzchnięte na mrozie
musnąłem
ciepło
twojego policzka

ogrzałem serce
zgorzkniałe krzykiem
słuchałem
twoich
słów żarliwych

zdmuchnąłeś płomień ostatniej zapalki

zamarzłem

¹⁰⁶Pierwotny zapis wiersza datowany na rok 1988, poprawiony 5 kwietnia 2011 roku

HENRYK SIENKIEWICZ
TRY
LO
GIA
JAN KLATA

ROZWIĄZANIA HONOROWE

Wydawało się, że niemożliwe jest przedstawienie całej *Trylogii* podczas jednego spektaklu. I w zasadzie pomyliłem się. Nie można oczywiście oddać wszystkiego: detalu, opisu, każdego słowa, ale treść, ciągłość, los bohaterów i owszem. Jan Klata to niezwykle reżyser. Na jednej z konferencji prasowych w odpowiedzi na głos niezadowolenia z realizacji *Tytusa Andronicusa*, odpowiedział, że nie jest producentem Coca-Coli, a co za tym idzie jego dzieło nie musi, a nawet nie powinno wszystkim smakować. To zdanie daje do myślenia. Po pierwsze jest dosadne, po drugie prawdziwe, a po trzecie i tu widzę jego najsłabszy punkt – wygodne. Mnie nie podoba się w polskim teatrze wiele, ale zawsze mogą zostać zakneblowani słowami wolnego wyboru artystycznego i szerokiej interpretacji, której z racji wykształcenia medycznego nie jestem w stanie zrozumieć.

Na szczęście tym razem nie trzeba było jechać do Krakowa, wystarczyło do Łodzi na Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych. Czterogodzinny spektakl w trzech odsłonach był mistrzowskim popisem Starego Teatru Narodowego. Jak za dawnych lat.

Nawiązuję do *Trylogii* z zupełnie innych pobudek niż wystawienie sceniczne. Sienkiewicz nie porywa mnie. Ale są w nim fragmenty, które przedstawiają bohaterów, w tak nieposzlakowanych zachowaniach, że nie można wprost uwierzyć, że tacy ludzie chodzą po świecie. Należą do nich Michał Wołodyjowski i Hassling-Ketling of Elgin.

*Kochanie to choroba, gdyż w niem, jak w chorobie, twarz bieleje, oczy wpadają, ręce się trzęsą i palce chudną, a człowiek o śmierci rozmyśla, albo w obląkaniu ze zjeżoną głową chodzi, z miesiącem gada, rad miłe imię na piasku pisze...*¹⁰⁷

Jednoczasowa miłość dwóch mężczyzn do uwikłanej zobowiązaniami kobiety nie jest odkrywcza dramaturgicznie. Może nawet jest banalna. Wydaje się, że takie farsy przytrafiają się ludziom na scenie życia znacznie częściej niż na deskach teatru. Są

¹⁰⁷ Henryk Sienkiewicz, Pan Wołodyjowski, Ketling opowiada o miłości

tylko antraktem albo całą serią odsłon intymnych. I różnie się rozwiązują: kryminalnie, melodramatycznie i komediowo. Czy honorowo?

Michał Wołodajowski powracający z *dzikich pól* dowiaduje się, że wybranka jego serca Krzysia, nieobojętnie patrzy w oczy Ketlinga, który dowiedziawszy się, że jest zaręczona z jego przyjacielem, postanawia wyjechać do Szwecji (sam!), zostawiając w objęciach innego miłosne marzenie. Wołodajowski dogania Ketlinga, chcąc odebrać satysfakcję za flirt, który w czasie jego nieobecności doprowadził do łez narzeczoną. *Deus ex Machina*. Przyjaciele wracają jako przyjaciele. Krzysia wpada w ramiona Ketlinga. A Wołodajowski?

Czy miłość może być tak wielka, żeby nie była zazdrosna, żeby można ją było oddać bez walki? Zwłaszcza kiedy się jest rycerzem niepokonanym.

*Bo ja, jak gram to gram,¹⁰⁸
 mnie nie wstrzymasz namową i siłą,
 a dziś zagrać chcę, było nie było,
 o Twą miłość.
 ...
 czy do szczęścia daleko, czy blisko,
 kiedy kocham – gram o wszystko.*

Duża część widowni wstała do oklasków. *Trylogia* na scenie okazała się przedsięwzięciem możliwym. Sala w szpitalu psychiatrycznym, łóżko obok łóżka, wariaci zagrali narodowych bohaterów i sen o miłości... A w pamięci pozostają strzały w tył głowy. Gdzie to było? W Kamieńcu Podolskim? W Krakowie starym? W Warszawie przy wejściu do kanałów? W Łodzi na Żeromskiego, gdzie teatr chciałby stać się powszechny? Może w Katyniu?

¹⁰⁸ Wojciech Młynarski, Gram o wszystko, Michał Bajor: Moja miłość

Z miłości do Ojczyzny potrafimy *na dnie z honorem lec*¹⁰⁹. Może nawet uda się nam krzyknąć coś przed ostatnim tchnieniem. W miłości do dziewczyny to rzadkie rozwiązanie. Tutaj strzały trafiają najczęściej w obiekt, który w swojej werbalnej ekspresji, tak kochamy.

Patrzyłem jak Wołodyjowski wyszedł z teatru. Padał deszcz kryjąc łzę ściekającą po twarzy małego rycerza.

*A gdy przegrywam to nie bywam smutny,¹¹⁰
a kiedy myślę wracam do minionych chwil,
z goryczą nie wymazuję ich, z pamięci płótna,
przynajmniej mi o coś szło, przynajmniej się miało styl...*

109 Morze, nasze morze

110 Wojciech Młynarski, Gram o wszystko, Teatr 6 piętro: Młynarski obowiązkowo

KRÓLOWA ŚNIEGU

J.CH.ANDERSEN



Teatr
Dramatyczny
im. J. Szaniawskiego Płocku

ZABURZENIA WIDZENIA

Świat, którego nie widać, to świat zupełnie innych doznań i bodźców, niezrozumiały dla widzących. Wielu pacjentów, którzy tracą wzrok w wyniku choroby, np. cukrzycy, ale także różnych stanów zapalnych lub szeroko pojętej neurologii, wchodzi w szarość, kwadranty zaciemnionych pól, nieostrość i kurzą ślepotę zmierzchu z ogromnym lękiem. Obawa, to nie tylko niemożność pracy, ale też zwyczajna nieporadność, nauka chodzenia, słuchania i dotykania.

Niewidzący od urodzenia jest w innej sytuacji. Nigdy świata w rozumieniu widzących nie widział. I razem z prawidłowym rozwojem intelektualnym i fizycznym poznaje otoczenie pozostałymi zmysłami, a oczy nie mają w tej wędrówce żadnego znaczenia. Dużo waży dźwięk.

W cyklu rocznym powtarzany jest w Płocku *Festiwal Kultury i Sztuki (dla osób niewidzących)*, organizowany przez Mazowieckie Stowarzyszenie Pracy dla Niepełnosprawnych, a głównie stojącą na jego czele Renatę Nych. Niestety nie jestem tam stałym bywalcem, bo ciągle mi na coś brakuje czasu. Jednak dzięki tej inicjatywie nauczyłem się propagować audiodeskrypcję, wykorzystywaną coraz częściej również do prezentacji spektakli teatralnych. Polega ona na opisywaniu zdarzenia przez lektora, który równolegle z widowiskiem mówi do słuchawek osób niewidzących. Budowany jest wówczas nakładający się obraz dźwięków rzeczywistych ze sceny z informacją: *podeszła, wzięła szklankę, odwróciła się, zdjęła ze stóp wysokie czerwone szpilki.*

Podczas jednej z bardzo licznych aktywności *Festiwalu* doszło do spotkania jego uczestników z Andrzejem Sewerynem, z którego zapamiętałem tylko jedną wypowiedź: *Musimy pana trochę dłużej posłuchać, aby poznać głos, który nie jest dla nas tak charakterystyczny, jak na przykład głos Piotra Fronczewskiego, który rozpoznajemy wszyscy od razu!*

W 1844 roku Hans Christian Andersen napisał oryginalną baśń o **Królowej Śniegu**, podzieloną na siedem opowiadań. Każdy o niej słyszał, ale nie każdy

ją widział, bo i sam autor nie przygotował scenariusza dramatycznego, ale jego baśń do teatru wraca nieustannie. I w zależności od możliwości technicznych oraz pomysłów realizacyjnych staje się fantastyczną wędrówką do zamku stu lodowych sal.

Przyjaźń, według wielu, ważniejsza jest od miłości. Przyjaźń jako jedyna nie oczekuje wdzięczności. Może być wstępem albo doskonałym zakończeniem miłości. Andersen, dziecięcą przyjaźnią i wiarą w zwycięstwo dobra nad złem, wypełnia cały utwór, bez przerwy na miłość.

Kiedy ciało obce dostaje się do worka spojówkowego, staramy się, aby klucie i łzawienie przerwać jak najszybciej. Próby ratownicze niejednokrotnie pogłębiają uraz i trzeba specjalistycznych działań, by wbity materiał usunąć, a później zakryć gałkę i podawać krople. Widzenie bez plamek, światłowstrętu i bólu nie zawsze powraca.

Okruch czarodziejskiego lustra wbija się w pole widzenia Kaja. I w ocenie Kaja zmienia się świat, a dla świata zmienia się Kaj, który nagle oszalał na punkcie nieznanym kobiecie (złej, a może tylko samotnej) widzianej przez sen. Wbrew logice Kaj podłącza sanki do wielkich sań i jedzie w nieznane. I nikt z Kaja pragnieniem wyrwania się z dotychczasowego kręgu nie może wygrać, gdy Królowa Śniegu okrywa chłopca niedźwiedzim futrem i całuje. Kaj czuje się szczęśliwy. Jego serce zamarzło do głębi i nie dostrzega zła.

Nie o każdego Kaja chce walczyć jakaś Gerda. Ile trzeba mieć w sobie uczuć, by poświęcić najlepsze czerwone trzewiki i ruszyć w niebezpieczną podróż w poszukiwaniu nabzdyczonego kumpla, który bezwiednie układa z lodu napis: *Wieczność*.

Można mieć sokoli wzrok i nie dostrzegać tego, co dzieje się w najbliższym otoczeniu. Emocjonalna ślepotą uniemożliwia spojrzenie na problemy innych. Zapatrzenie tylko w swój świat zasnuwa nieostro tło, wyłącza zmysły, zagłusza krzyk Gerdy, a może nawet Brela...

Czy Ty wiesz, najbliższa i najdalsza ma¹¹¹

Że ja od świtu aż do zmierzchu dnia

Wciąż bardziej Cię kocham...

Zakładam markowe okulary. Sople lodu roztopiają się z baśni Andersena pod wpływem łez, litera po literze. Dzieci wracają do domu i patrząc w lustro spostrzegają, że są już dorosłe. Czy oślepi ich miłość?

111 Brel, Pieśń starych kochanków, mix autora na podstawie W. Młynarskiego i J.J. Należytego

RÓBMY SWOJE

PIosenki
WOJCIECHA
MŁYNARSKIEGO



ATENEUM

Teatr im. Stefana Jaracza w Warszawie

Dziękuję

OD ODDECHU DO ODDECHU¹¹²

Kończyły się lata osiemdziesiąte. Ale jeszcze nie tak, żeby była wolna Polska. Poszliśmy na premierę spektaklu z utworami Wojciecha Młynarskiego *Róbmy swoje*¹¹³. Licealiści! Na premierę! Czuło się jakieś napięcie, oczekiwanie czegoś niezwykłego. Nie pamiętam, czy były jakiegokolwiek dialogi sceniczne. Jestem pewien, że cała historia opowiedziana została piosenkami. Dworzec, marazm, przez megafon nie słysząc zapowiedzi i ludzkie historie śpiewane przez kolejnych bohaterów, którzy czekają na pociąg, są w drodze. I z tych miniaturowych scenek tworzyła się całość i zmieniała się Polska. I dworzec wypiękniał na chwilę, by po kilku minutach *Mała Stacja Radość* zakryła się rusztowaniami. Za tymi dechami tliła się nadzieja na zmianę...

Jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy wykrzykiwała publiczność w finałowej odsłonie, a potem owacja, niedozwolona może, ale kto by o tym myślał, gdy na scenę wbiegł Wojciech Młynarski i refren śpiewał razem z nami.

Mijały lata. Na jednym z krakowskich dziedzińców autor *Polskiej miłości* obchodził swój benefis czterdziestu lat pracy i żegnał się ze sceną. Przy fortepianie Janusz Sent i przez dwie godziny śpiewane felietony skrzące ironią. *Wow!* Młynarski szukał nowych sensów. Odbyliśmy krótką rozmowę, wspominając płocki spektakl z października 1987 roku – jedyny wystawiony przez nasz teatr podczas Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Pozostał autograf i długa przerwa w twórczości, której końcem stały się ostatnie teksty dla Michała Bajora, Ireny Santor, Katarzyny Żak i Stanisławy Celińskiej: *że całkiem nie zniknę w życiu tym w tonacji moll*.

Czasem dopada nas smutek. Gubimy cel. Gasną nadzieje. Trzymamy się wówczas kurczowo wydeptanych ścieżek. Leżymy na wzór porzuconego łańcucha. Czy to choroba, czy tylko przerywnik aktywności? Antrakt przed kolejną częścią spektaklu?

112 Autorski zbiór utworów Wojciecha Młynarskiego

113 Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku, Marcin Sławiński

Wspomnienia nie dają ukojenia, a budowa przyszłości to wysiłek, by wstać i wykonać podstawowe czynności.

Teatr 6. piętro pokazał *obowiązkowy* autoportret Młynarskiego na aktorów i orkiestrę. Doskonały. Widownia powitała długimi oklaskami autora, który, o ile pozwalał na to stan zdrowia, przychodził (aż do śmierci) na przedstawienia złożone ze swoich utworów, a każdy z 25 zaśpiewanych niósł nadzieję:

*Jeszcze w zielone gramy, choć życie nam doskwiera,
Gramy w nim swoje role, naturszczycy bez suflera.
W najróżniejszych sztukach gramy, lecz w tej, co się skończy źle
Jeszcze nie, długo nie!*

W kulisach ***Benefisu Woya***, Piotr Fronczewski usprawiedliwiał swój pośpiech próbą wznowieniową spektaklu, podczas którego w niezwykle wzruszający sposób recytuje: *Ukochana, nie opuszczaj mnie. Nie wycofuj się... Inteligencjo!* Ateneum gra z powodzeniem nowe ***Róbmę swoje***, a w głębi jest *neon i mój Panteon – teatr z ulicy Jaracza* – miejsce, w którym powstały autorskie spektakle ***Hemar*** i ***Brel*** w reżyserii Wojciecha Młynarskiego.

Koniec przerwy. Dzwonek. Pierwszy. Drugi. Trzeci. Rozpoczął się czas powrotu. Trzeba robić swoje i wykorzystywać krótki czas następnej odsłony.

Włączyłem express. Renata kroci ciasto. Krzysiek włożył do odtwarzacza kolejny krążek i... cała nadzieja w tym, że *przyjdzie walec i wyrówna...*

Jeszcze się tam żagiel bieli, jeszcze w zielone gramy i jest jeszcze śledź w śmietanie, metafizyczne danie, więc nie patrz smutno, odgoń z czoła chmurę ciemną, dłoń mi podaj i wraz ze mną, kochaj jutro, bo to nieprawda, że żywot rycerza kresu dobiegł (...), on może odżyć we mnie, w tobie, by wyzwać los, uczciwość za uczciwość, a cios za cios.



SPIS TREŚCI

MYŚLNIK	3
PRZERYWNIK	5
Skala	7
Stopniowanie	11
Na bosaka	13
Pascha	15
Jak kazałeś, tak się stało	17
Lokomotywa	21
Hagada	25
Dona	33
Kolęda dla Druha	35
Wszechświat	39
Biblioteka	41
Tańczymy la ba da	43
Sewilla	45
Śpiewanie chórem	47
Scena narodowa	53
Moja Woya wina!	61
Wena i parnas	67
POMIEDZY	71
Dzień w teatrze	73
Modlitwa o zdrowie	77
Na przełęczy	83
Rewizor	87
Lustro	89
Nie ma ciała, nie ma zbrodni	93
Maskarada	97
Mariacka	99
Teatr Alfreda Nobla	101
Brat naszego boga	111
SZEKSPIR BEZ PRZERWY	119
Królowa i Szekspir	121
Sztuka lekarska	123
Królewicz duński	125
Skok z balkonu	131
Krew	135

SPIS TREŚCI

Bliźnięta	139
Okno na parlament	141
Psalm Samarytanina	145
Zazdrość	147
Kwiat jednej nocy	151
Sonet trojański	153
Wojna myśli niespokojnych	155
To idzie starość...	159
Czternaście wersów	163
Wypijmy za duszki pana Williama	165
Weronia	167
Planeta Szekspir – forever	169
BEZDECH WOLNOŚCI	175
Wolność	177
Chłopcy z placu broni	185
Szklane domy	191
2 Maja	193
Sonet VI	195
Kawiarenki	197
Konkurs piękności	201
Sonet IV	203
Krakowiacy i górale	205
Naga prawda	209
Wolność Tomku	215
Wesele	225
OTCHŁAŃ BEZKRESU	227
Ostatnia taśma	229
Lament chorego	231
Wieczny dyżur	233
Pani Pinkerton	237
Ile spraw...?	239
Dziura w podłodze	241
Dziewczyna z zapalkami	245
Rozwiązania honorowe	247
Zaburzenia widzenia	251
Od oddechu do oddechu	255
Spis treści	257

Jarosław Wanecki

CHOROBY MIŁOŚCI



TRAKTAT BADAWCZY

NOC i DZIEŃ

40 lat Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Dąbrowskiej w Płocku



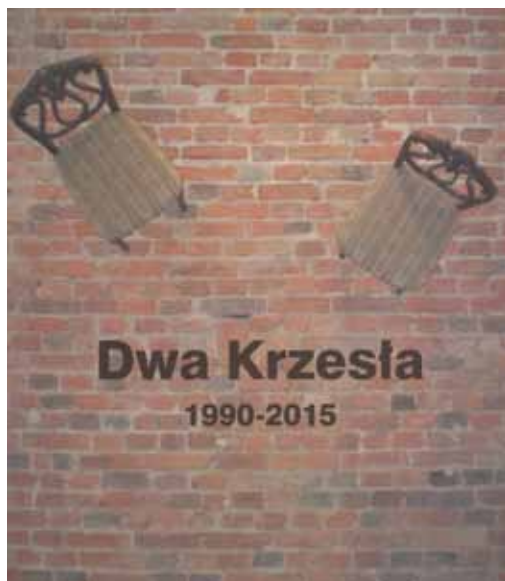
Jarosław Wanecki



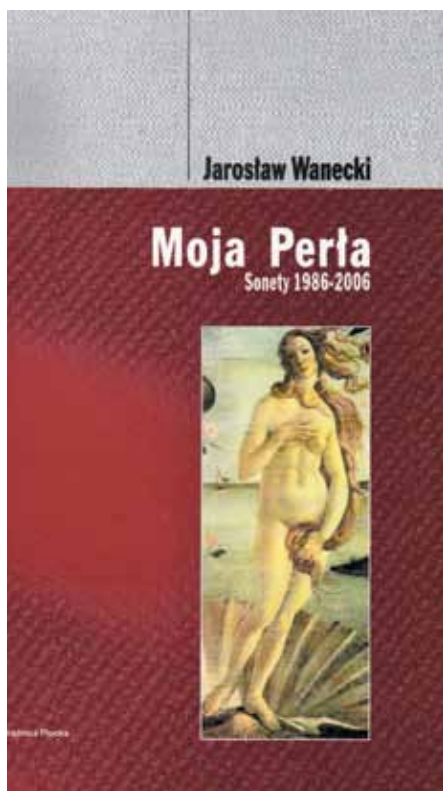
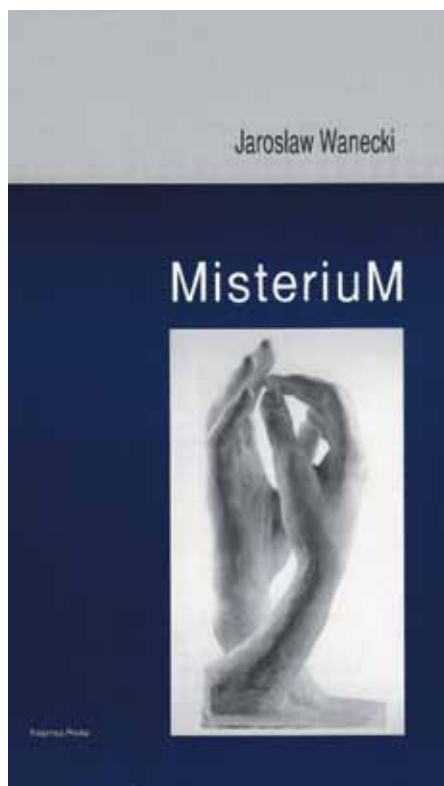
**Szpital Św. Trójcy w Płocku
1405-2005**
zarys monografii

KSIĄŻNICA PŁOCKA

SZPZOZ PŁOCK



Dwa Krzesła
1990-2015





ANTRAKTY to zbiór tekstów z teatrem i medycyną w tle, będących w większości wyborem lub kompilacją felietonów napisanych dla Gazety Wyborczej – Płock i Gazety Lekarskiej. Ilustracją kolejnych przerw są okładki programów teatralnych oraz wiersze i plakaty autora.

Jarosław Wanecki. Lekarz pediatra. Prezes Płockiego Towarzystwa Przyjaciół Teatru. Prezes Okręgowej Rady Lekarskiej w Płocku w latach 2009-2018. Przewodniczący kolegium redakcyjnego Gazety Lekarskiej i Komisji Kultury Naczelnej Rady Lekarskiej. Przewodniczący Komisji Rewizyjnej Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, wcześniej wiceprezes. Działacz Stowarzyszenia *Starówka Płocka* i Płockiego Towarzystwa Lekarskiego. Współwłaściciel Niepublicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej „Nasza Przychodnia” w Płocku.